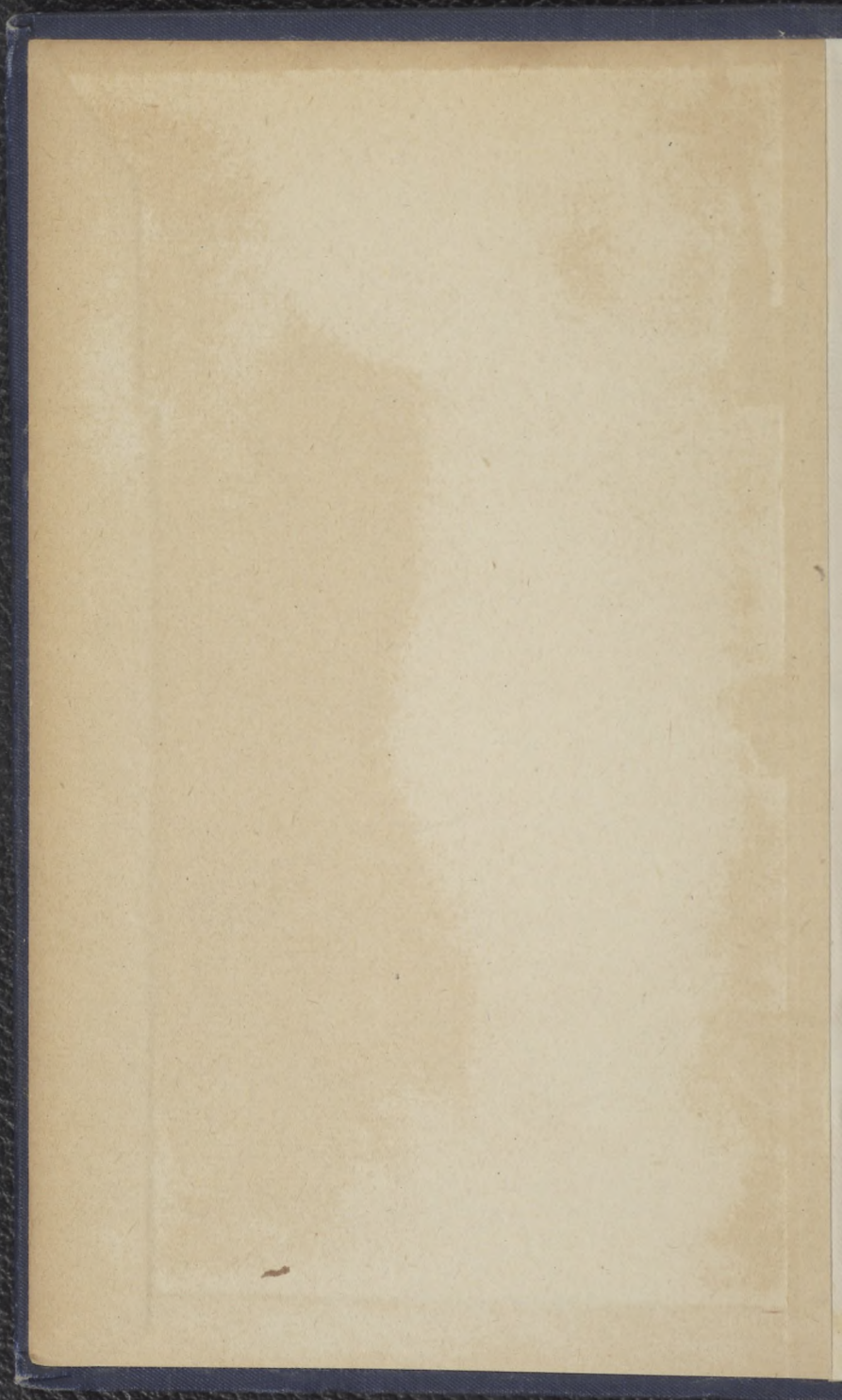
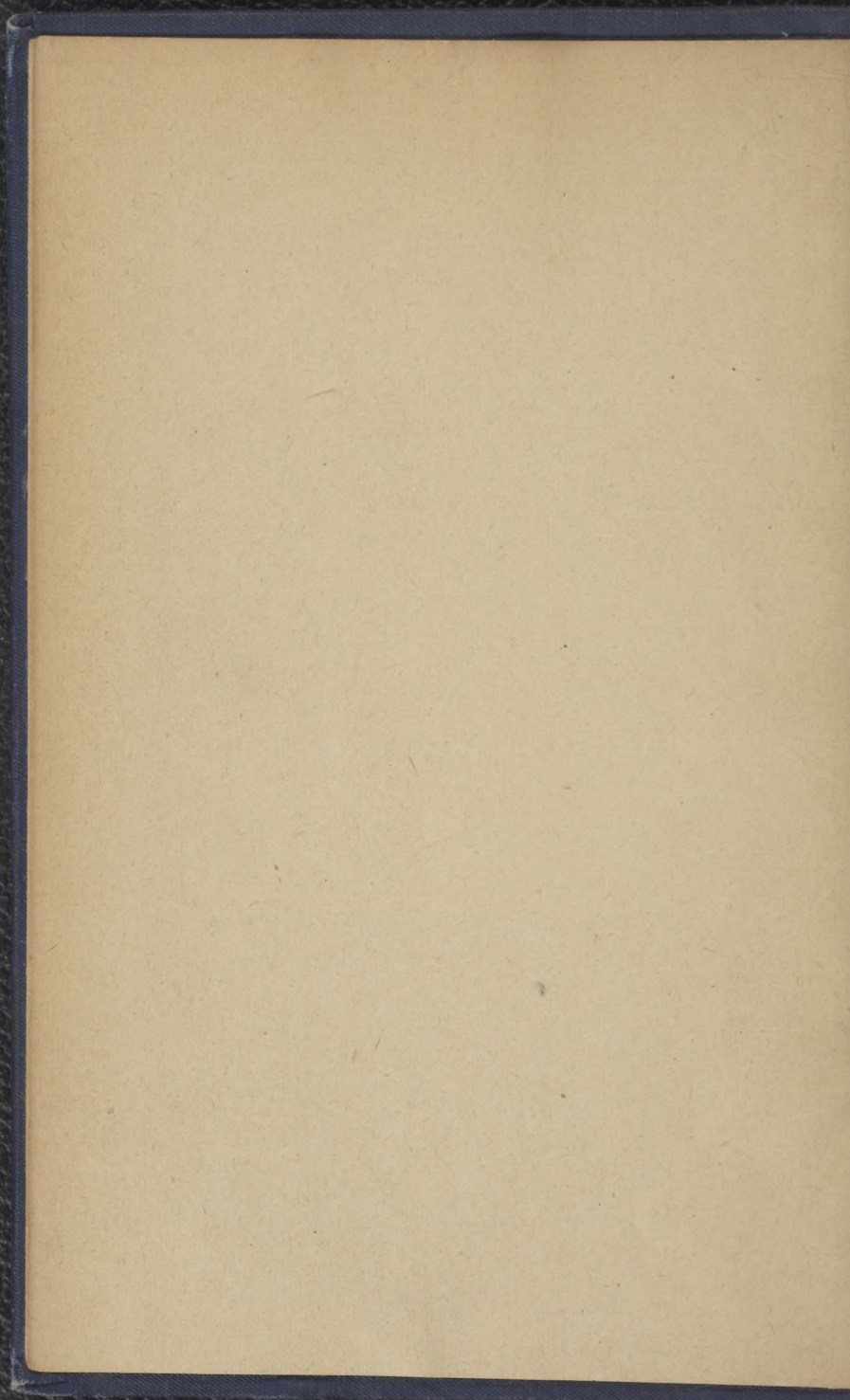


80

YE



Σ. 46. 177



3392

Her

POEZYE.



POEZYE
GUSTAWA ZIELIŃSKIEGO.

WYDANIE ZUPEŁNE,
POPRZEDZONE
ŻYCIORYSEM NA PODSTAWIE LISTÓW POETY SKREŚLONYM
I OCENĄ JEGO DZIAŁALNOŚCI
PRZEZ
DR. PIOTRA CHMIEŁOWSKIEGO.

(Z WIZERUNKIEM POETY.)

TOM II



TORUŃ.
WŁASNOŚĆ I WYDANIE RODZINY.
I-go ROKU XX STOLECIA.



Przedruk wzbroniony.



1.46.177

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001017094441

JAN Z KĘPY.

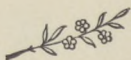
Urywek starej Legendy.

Death, having prey'd upon the outward parts,
Leaves them insensible; and his siege is now
Against the mind, the which he pricks and wounds
With many legions of strange fantasies;

Shakspeare — King John.

Śmierć pokonawszy i zdobywszy ciało,
Rzuca je zwolna, w oblężenie bierze
Duszę, i ją zaczyna kłóć i razić
Legionem marzeń i fantazyj dziwnych.

Szekspir — tłumaczenie J. Korzeniowskiego.





JAN Z KĘPY.

.....

X.

Głuchym, wśród bagnisk przybywając borem,
Gdy się do granic z łupami zbliżali,
Wpadli w zasadzkę. — Podcięty toporem
Las, z hukiem strasznym dokoła się wali;
Próżno w rozpacz, chcą jakim otworem
Ujść drzew i pogan, co ich obegnali;
Legło rycerstwa, legło koni siła,
Na resztę klęski noc swój płaszcz rzuciła.

XI.

Jan, uszedł rzezi — rycerz to wybrany,
Na kępie z jezior, miał swój zamek stary;
Księcia na Płocku lennik i poddany —
Wziął krzyż, i zwiódłszy pod chorągwie wiary

Młódź polskiej ziemi, wojował pogany,
Ogniem i mieczem psując ich obszary;
A chociaż wiekiem nie dorósł lat męża,
Szeroką sławę pozyskał z oręża.

XII.

Błąkał się w puszczy i strachem był zdjęty,
W nieznaną stronę tułać się po nocy;
Ludzi się nie bał — niechby z nich miał wstręty!
Lecz bał, złych duchów niewidomej mocy;
Wiedział, że każdy liść drzewa zakłęty,
W tej, pełnej czarów krainie północy;
Aby w szatańskie nie wpaść gdzie obierze,
Dobyl koronkę i szeptał pacierze.

XIII.

Jechał przez ścieżki za ledwie deptane,
Rozumem końskim kierując się w mroku;
Radby zapłakał na losów odmianę,
Gdyby łąza jeszcze znalazła się w oku;
Ulżył smutkowi, wspomniawszy na ranę
I miecz co wierny został mu u boku;
Lecz sił pozbywszy, puścił wodze z ręki,
Przykłonił głowę i wsparł się na łęku.

XIV.

W miejscu — gdzie wązka droga się rozszerza
Dostrzegł, że przed nim jakaś postać stoi . . .
„Ha!... zgiń!... przepadnij!...“ — uczynił znak krzyża

Postać się krzyża i zakłęb nie boi.
Podjechał bliżej . . . i poznał z paiza
Że to był rycerz . . . więc, miał się ku zbroi —
Rycerz kirysem czarnym był okryty,
Tylko mu z hełmu lśnił dyament z pod kity.

XV.

„Kto jesteś?“ spytał czarny nieznajomy —
„Jan z Kępy!“... — odparł krzyżownik mu śmiało.
„Janie! krwi twojej nie jestem łakomy,
Włóż miecz do pochew, i posłuchaj mało:
Strudzony jesteś i dróg nieświadomy,
A z puszczy tobie nie wybrać się cało;
Jedź za mną, ja ci ukazę gospodę
Kędy posiłek znajdziesz i wygodę.“

XVI.

Długo rycerze jechali w milczeniu
Nim się w głęboką spuścili dolinę . . .
Spocząwszy nieco przy rwistym strumieniu,
Weszli na lepiej utartą drożynę;
Już z chat, w wąwozu kryjących się cieniu,
Pierwszy kur zapiał północną godzinę,
Kiedy wstępując na szczyt stromej góry,
Ujrzeli zamek z warownemi mury.

XVII.

Trzykroć przewodnik zatrafił, — wzniesiony
Padł wzwód z łańcuchów z przeraźliwym brzękiem;

Przez most wjechali do bramy sklepionej,
A stuk od podków, głuchnącym oddźwiękiem
Szedł po sklepieniach — tak, zerwanej strony
Długo powietrze ostatnim drży jękiem.
Zbiegła się czeladź, konie od nich bierze . . .
Do narożnika weszli dwaj rycerze.

XVIII.

Po wschodach w górę wijących się kołem
Powiódł przewodnik. — Odemknął podwoje,
A z gmachu, z gwarem zmieszane wesolym
Żywego światła oblały ich zdroje;
Dwunastu mężów siedziało za stołem,
Przed nimi w złocie jadła i napoje;
Każdy mąż, czarną zbroją był okryty,
Każdemu z hełmu lśnił dyament z pod kity.

XIX.

Wszyscy dwunastu z miejsc swoich powstali
Witając gości pochyleniem głowy;
Dwa puste miejsca przybyłym wskazali,
I nić przerwanej zawięzując mowy,
Rzekł jeden: „Janie! ciebieśmy czekali
Jak oblubieńca na uczcie godowej,
Zasiądź... patrz!... oto puszcza naszych zwierzyna,
A w konwiach, miodu dostatek i wina.“

XX.

Jan, chętnie przyjął wezwanie rycerzy . . .
Lecz, zacóż maską kryją swe oblicze? . . .

Cóż znaczą ryte śród czarnych pancerzy
Herby czy godła jakieś tajemnicze? . . .
Miałżeby w ręce pogańskich żołnierzy,
Czy zdradnie w sidła zapaść rozbójnicze? . . .
Gdy tak domysłem wolne stawia pole,
Zabrał głos jeden z siedzących przy stole.

XXI.

„Janie! w gościnne kto wszedł nasze progi,
Ten, trosk codziennych zbyć powinien chmury;
Smutki, cierpienia, kłopoty i trwogi,
Nie mają wstępu w tego zamku mury;
Miłość, wesołość — oto dwie ostrogi
Które mi bodziem żywot rączopióry;
Wesołość — w ręce podaje nam czasie,
Bo jej przodkuje, miłość — godło nasze.

XXII.

„Dobrze w obozach słuchać przy ognisku,
Jak rotę ścinać i ukrwawić pole;
Lecz krwią przelaną na pobojuwisku
Nie brudźmy rozmów przy biesiadnym stole.
Tyś, z czynów głośny w naszym stanowisku;
A chcesz się bliżej dać poznać w tem kole,
Nie zdawaj liczby, jakoś państwa psować,
Powiedz nam, kogoś w swem życiu miłował? . . .“

XXIII.

— „Boga i kraj mój!“ . . . — „Nie o to pytamy
Co, jak powinność, w każde serce wryto;

My chcemy wiedzieć, czy wzrok pięknej damy
O twą pierś, jak o skałę niepożytą
Tępił swe ostrza; czyli też oczami
Wszedł, jak w warownią bez trudu zdobytą;
To, co pociesza, uzacnia i pieści,
Niech będzie twojej osnową powieści.“

XXIV.

Jan się zamyślił . . . — „Otom jest gotowy
Zadość waszemu uczynić żądaniu,
I choć nie myślę przestronnemi słowy
O każdym zbrojnym prawić wam spotkaniu,
Lecz powieść moja takiej jest osnowy,
Że, abym śpiewał o mojem kochaniu,
Muszę połączyć, i w jedne zlać dźwięki,
Pieszczoną miłość i oręża szczęki.

XXV.

„Kiedy pod sprawą wielkiego Gozdawy, ¹⁾
Szedł lud Mazowsza na pruskie narody,
Ja, miękkie sobie zmierzwszy zabawy,
Choć mech dopiero obrastał jagody,
Tak wielką w sercu czułem chciwość sławy,
Żem, jak o łaskę błagał wojewody,
By mi pozwolił, wśród krwawych zapasów
Nawyknąć zbroi i zażyć niewczasów.

XXVI.

„Daremnie w piersi bojów chęć urasta;
Prusak, swych granic ani ziem nie bronit,



Ale spaliwszy wkoło wsie i miasta,
W zamkach, bagniskach i lasach się chronił.
Rzadko, mąż zesły, dziecko lub niewiasta,
Których nasz żołnierz wytropił i zgonił
Plon nasz zwiększali. — Ja z plonu, podziałem
Prócz łupów. — starca i dziewczkę dostałem.

XXVII.

„Starzec — był ślepy pruski wajdelota,
Lat zima, brodę i włos mu bielila;
Dziewczyna — dziwnej piękności istota
Ślepego ojca za rękę wodziła.
Padła mi do nóg, obietnicą złota
I łzą — o wolność dla starca prosiła.
Jam sławy pragnął, nie brańców, ni łupu; —
Starcam wraz z dziewczką puścił bez okupu.

XXVIII.

„Niedługo potem, żal mi tego było,
Bo Ilhy pamięć w mem sercu została;
Wszystko, co dotąd miało postać miłą
Ona mi, smętną szatą przyodziła,
Bo po jej stracie nic już nie cieszyło;
Nawet gdy trąba wojenna zagrzmiała,
Ja się czczym lubej łudziłem obrazem,
Zamiast na sławę zarabiać żelazem.

XXIX.

„Sprzykrzywszy trudy, widząc korzyść małą,
Niechąc dać ucha radom starszej głowy,



Rycerstwo głośno powrotu żądało.
Wódz — widząc próżne groźby i namowy,
Nakazał odwrót — wojsko się cofało . . .
A wódz w rycerskim rzemiośle nie nowy,
Co noc z obozu, jak ostrożność każe,
Stał gęste wzwiady i zawodził strażę.

XXX.

„Ostatniej nocy — granic naszych blisko,
Byłem samotrzeć wysłan na podsłuchy . . .
Coś się przemknęło, ja do ziemi nisko
Przymknąwszy ucho, słyszę szelest głuchy
Jak się ktoś pod me skrada stanowisko . . .
Wyteżam pilniej i oczy i słuchy . . .
I przy niepewnej gwiazd tylko poświacie,
Że to był Prusak poznaję po szacie.

XXXI.

„Szpieg pewnie, wysłan dla wzięcia języka
Aby nas śpiących zesłi i pobili:
Ujrzawszy czujność.. wpadł na koń.. umyka..
Myśmy się za nim w też tropy rzucili . . .
Jużem kopiją sięgał przeciwnika,
Kiedy z blizkiego lasu, w teże chwili
Mój koń, niedźwiedzia posłyszawszy ryki,
Wspiał się . . . w bok rzucił i uniósł mnie dziki.

XXXII.

„Chciałem go wstrzymać... wtem, pękły wędzidła
Koń czując wolą, jeszcze bystrzej niesie . . .

Leci, jak gdyby sokole wziął skrzydła . . .
Przez pola, knieje i przez gęstwy drze się . . .
Wkoło mnie ludzie, duchy czy straszydła
Wstają . . . znikają . . . trzask i szum po lesie.
Niósł . . . i wpadł ze mną w takie trzęsawice,
Kędy łoś chyba przemknie swe racice.

XXXIII.

„I byłbym zginął w tych bagnach śród nocy,
Bo koń się rzucał jakby w zaspach śniegu,
Gdyby mi Pan Bóg nie zesłał pomocy
W kładce, po której doszedłem do brzegu.
Tam — tchu cokolwiek nabrawszy i mocy,
Koni paszy, a ja szukałem noclegu;
Pod dębem, który gałęźmi szeroko
Oślaniał wzgórze, usnąłem głęboko.

XXXIV.

„Sen, słodki w trudach i cierpieniach ludzi
Nowemi siły ukrzepiał me ciało.
Wtem czuję . . . ktoś mnie całowaniem budzi . . .
Oko się naprzód ze słońcem spotkało . . .
Czy to blask jego? . . . czyli zmysł mnie łudzi? . . .
Czy to zjawienie, co z mych snów powstało? . . .
Widzę przed sobą klęczącą dziewicę,
A w niej poznaję — moją niewolnicę.

XXXV.

„Ilha!“ — rumieniec oblał jej jagody.
— „Ty żeś to Panie?! . . . więc to nie są czary,

Powiedz, jakimi dziwnymi przygody
Przyszłość snu szukać pod temi konary? . . .
To, dąb nasz święty, gdzie wzajem ugody
I wielkim Bogom czynimy ofiary;
Tu wszystkie wstępy zbrojno są strzeżone,
Chyba ptak obcy zaleci w tę stronę.

XXXVI.

„Miałebyś tedy? . . . nie, temu nie wierzę,
Tych bagnisk ludzkie nie przechodzą nogi.
Może to moje sprawiły pacierze
Że mi cię dały opiekuńcze Bogi! . . .
Patrzysz tak dziko! . . . O! wyznam ci szczerze
Ja drzę o ciebie! . . . bo to Poklus srogi
Zbłąkał cię w drodze i zawiódł w te strony
Abyś w cześć jego żywcem był spalony.

XXXVII.

— „Ilho! — przerwałem miłej szczebiotanie —
Teraz nie pora z błędów się sprawować,
Bo mnie tu zgubi przydłuższe mieszkanie.
Oreżem, mógłbym drogę przetorować
Alem go stracił — a wkoło poganie! . . .
Jeśli chcesz . . . jeśli możesz mnie ratować,
Wszak znasz te miejsca! . . . siadaj na koń ze mną
I wskaż mi drogę przez tę puszcę ciemną“.

XXXVIII.

„Jedziemy . . . dziki wokoło manowiec,
Nigdzie i śladu nie znać ludzkiej stopy:

Tu wyschłe bagno, tam, gęsty jodłowiec
W ciemne z gałęzi przyjmuje nas stropy;
Jedziem ostrożnie . . . cicho . . . — jako łowiec
Gdy zwierza goniąc odszukuje tropy;
Czaty, zasadzki objechawszy kołem,
Pocichu z Ilhą rozmawiać zacząłem.

XXXIX.

„Kędy twój ojciec?“ — „Ojciec!“ — i westchnęła,
„On, trzy dni temu poszedł z naszym ludem,
Wielkie, jak mówił, dokonywać dzieła.“
— „Teraz mi powiedz Ilho, jakim cudem
Przyszłaś mi w pomoc, i jak cię chęć wzięła
Dla wroga z takim poświęcić się trudem?..“
— „Powiem ci — rzekła — od dębu za borem
Jest blisko chatka nad wielkiem jeziorem;

XL.

„Tam, sama wczora siedząc przed wrotami
Długom w noc ojca z powrotem czekała,
I kiedym w niebo usiane gwiazdami
Szukając sercu pociechy — spojrzała,
Jedna się gwiazda nad memi głowami
Z łona błękitnych sklepień oderwała,
Leci ku ziemi, ślad ognisty ryje . . .
Ach! rzekłam z płaczem, mój ojciec nie żyje.

XLI.

„To jego gwiazda z Dungusu zrzuciona
Wiecznie na jasnym zgasła kołowrocie;

Już się u jego nie uwieszę łona,
Już nikt łez nędznej nie otrze sierocie;
Od łkań i płaczu padłam snem zmorzona,
Mgły mię objęły, a przedemną w złocie
Jawił się ojciec i w takiej piękności
Jak gdyby wyszedł ze stoku jasności.

XLII.

„Córko, rzekł — spieszę do ojców krainy,
Grono rycerzy do niebieskich progów
Ciśnie się, lepszej skosztować zwierzyny
I słodsze miody pić z bawolich rogów;
Pragną śpiewaka — któryby ich czyny
Przed oblicznością opowiedział Bogów;
Dążę za nimi, bo już cna gromada
Na górnym gmachu do uczyty zasiada.

XLIII.

„Nie płacz — ja z liczby żyjących wyjęty
Dłużej nie mogę być ci poradnikiem,
Ale go znajdziesz, gdzie rośnie dąb święty:
On tobie będzie ojcem, przewodnikiem
Do szczęśliwości jakiejś niepojętej,
Której, tym ludzkim nie nazwać językiem.
Spiesz się . . . w daleką przygotuj się drogę,
Bądź zdrowa . . . więcej mówić ci nie mogę“ . . .

XLIV.

„Już słońce na świat z kąpieli wstawało,
Gdym się zbudziła — przyszła na myśl droga,

Z płaczem żegnając mą zagrodę małą,
Poszłam do dębu... Zrazu, święta trwoga
Ścisnęła serce, bo mi się zdawało
Że widzę puszcza władającego Boga;
Tak twoja zbroja srogi blask miotala.
Cóż? — kiedym ciebie o panie, poznała!“

XLV.

— „Ilho! . . . o miła Ilho! . . . zawołałem.
Tak, jużes moją i moją na wieki;
Od ojca władzę nad tobą dostałem,
I nikt mi danej nie wydrze opieki;
Służyć ci — moim majątkiem i ciałem,
Bronić — dopóki nie zawrę powieki,
I póki Bóg mnie w swej łasce zachowa,
Stwierdzam pieczęcią rycerskiego słowa.

XLVI.

„Jest u mnie zamek murowany z cegły
W pośród dwóch jezior — ma obrony liczne:
A z wieży zamku, jak widok rozległy
Tak moje włości ciągną się dziedziczne;
Tak moje puszcze dokoła zaległy; ²⁾
Tam — będziesz panią, znajdziesz sługi liczne,
Tam, będziem żyli szczęśliwi, jak w niebie,
Bo serce — dawno należy do ciebie.

XLVII.

— „Serce!“ — i łkanie wypadło z jej łona —
„Nie mów mi tego, choć słuchać tak miło,

Kiedy dziś klęcząc nad tobą schylona
Czułam nieledwie, jak tve serce biło,
Tyś przez sen, różne powtarzał imiona,
Imienia Ilhy w twych ustach nie było;
A jedno imię, w obcych imion reszcie,
Czułam, ach! czułam że było niewieście.

XLVIII.

„Boś je powtarzał z takim dzwięcznym brzmieniem,
Patrz!“ . . . — i z pod rąbku co jej pierś okrywał
Ukaże, z lekkim twarzy zapłonieniem
Nóż, co przy piersi zatknięty spoczywał.
„O Panie! wyznam, tyś mnie tem imieniem
Ostrzej, niżeli tym nożem przeszywał;
Jam nóż chwytąła, ach! bo w chwili szału
Chciałam mieć twoje serce bez podziału.

XLIX.

„Ale mi zaraz stanęła w pamięci
Twa dobroć — kiedyś nas, jeńców na wojnie,
Mimo odwieczne rodowe niechęci,
Nadał swobodą i obdarzył hojnie;
Któż dawnych uraz chętnie nie poświęci
Patrząc na sen twój, jak uśmiech spokojnie
Błądził po ustach, boć się słodko śniło! . . .
Cóż? . . . — kiedy Ilhy w twoich snach nie było!

XLX.

„Najmilsza — rzekłem — cóż ci w dowód złożyć,
Przysięgi, kłątwy, czy wszystką krew moją? . . .

Że żadna miłość nie zdołała pożyć
Mojego serca — że, zakute zbroją
Tyś pierwsza Ilho umiała otworzyć,
Tyś ogrzać mogła niewinnością swoją;
I że ta miłość pójdzie ze mną wszędzie,
I jak jest pierwszą, tak ostatnią będzie.

LI.

„Snów nie pamiętam . . . O! niech cię nie trwożą!
Nie cień, nie imię żadnej miłośnicy,
A chyba usta co z młodu się włożą,
Senne, nuciły hymn Boga-Rodzicy.
O! poznasz kiedyś Rodzicielkę Bożą,
I ty, hołd oddasz przeczystej dziewicy,
Gdy do tajemnic wejrzysz naszej wiary;
A wtenczas wspomnisz, coć ojciec rzekł stary.“

LII.

„O! oświeć proszę, oświeć mnie,“ — błagała.
Jam jej tłumaczył, w co wierzym, co święcim,
Co jest Bóg prawy — a ona słuchała
Z taką pokorą i z takim zajęciem,
Że mi aniołem modlącym się zdała.
Ach! czy pościgła wszystko swem pojęciem? . . .
Koiń, rącho bieżał, przebywał gęstwinę,
I z lasów zchodził w głęboką dolinę.

LIII.

Przed nami widok odstonił się mglisty
Jak gdyby rąbkiem błękitnym odziany.

„Patrz!... patrz najmilsza!... to mój kraj ojczysty
Widzisz jak piękny, jakie bujne łąny;
A tam, tam, gwiazda co śle blask ognisty
To krzyż!... — nie słucha, lecz wzrok upłakany
Zatapia w puszcę zarosłą jodłami,
Co w szybkim locie ucieka za nami.

LIV.

„Wstrzymaj się... wstrzymaj... daj chwilę...
[pół chwili,

Niech sobie westchnę, żalem uciśniona,
Wszakże ojczyznę rzucam... któż wie?... czyli...“
Wtem brzękła z gęstwy strzała wyciśniona...
Krzyk przerwał mowę — widzę jak się chyli,
Blednie, — lecącą chwytam w me ramiona,
Tulę do piersi... bo w rozpaczę wierzę
Że z mych ją objąć sam Bóg nie odbierze.

LV.

„Lecz kiedym dostrzegł śmiertelne jej drgania,
To oczy moje gęstym zaszły cieniem;
Zwałem pomocy — choć moje wołania
Tylko się z pustyń łamały milczeniem;
Bóg myśl mi zesłał — że blizkim skonania
Chrzest święty, wraca zdrowie ze zbawieniem;
Więc pędzę konia, w bok ostrogi wkładam,
I jako piorun na dolinę spadam.

LVI.

„Staję, gdzie Ossa rwie wybrzeża swoje...³⁾
Tamując ręką krew co z rany bucha,

Drugą na głowę lałem zimne zdroje . . .
I „w imię Ojca, i Syna i Ducha“
Włożyłem na nią Chrystusową zbroję.
Niebiańska w oczach maluje się skrucha;
Twarz cudownemi oblekła się blaski,
Bo na nią z góry padał promień łaski.

LVII.

„Żegnaj rycerzu, rzekła mi ze łzami,
Z za których oko strzelało weselem;
Myśmy tu byli . . . o nie! . . . nie wrogami . . .
Ty byłeś moim zbawcą . . . przyjacielem . . .
Ujrzym się kiedyś nad temi zdrojami . . .
I już się nigdy . . . nigdy nie rozdzielim . . .“
Całując chciałem spędzić śmierci mroki,
Lecz duch z mych objęć wyrwał się w obłoki.

LVIII.

„Odtąd — krzyż Pański przywdziałem na zbroję
Krzyż — każdy postrzał od serca odtrąca —
Posty, modlitwy, niewczasy i znoje,
Pożar siół pruskich i mordy bez końca,
To życie moje! . . . O! nie! . . . życie moje
Jest to myśl, wiecznie do niebios lecąca
By zerwanego ogniwa łańcucha,
Znowu w krainie spotkały się ducha.“

LIX.

Skończył. Rycerze milcząc poglądali,
Ściemniały światła i gmach był ponury;

Razem, gwar dźwięczny rozległ się po sali,
Żywą jasnością powlekły się mury;
Wszyscy mężowie z miejsc swoich powstali
I pełne czasy podnosząc do góry:
„Słuszna, o Janie! wychylić toasty
Za twoje zdrowie i pięknej niewiasty.“

LX.

Rzekli — i razem odkryli przyłbice;
Spadają hełmy, oko niebem strzeli,
Włos, pierścieniami spada na zbroice;
Pryskają zbroje . . . O cudy! . . . i w bieli
Na miejscu mężów tak piękne dziewice
Z palmami w ręku — jak Pańscy anieli.
A ta, co inne swą krasą zgasiła,
Jan spojrział . . . poznał . . . tak, to Ilha była . . .

CI.

.
.
.

CII.

Polscy rycerze z krzyżem na odzieniu,
Którzy pogańskich sideł uszli cało,
Po wielu trudach i długiem błędzeniu
Znaleźli drogę — a kiedy odniało
Schodząc w dolinę, przy Ossy strumieniu
Poznali martwe Jana z Kępy ciało.

Jan, na mogile dawnej, głowę wspierał,
Ręką miecz dzierżał i w niebo pozierał.

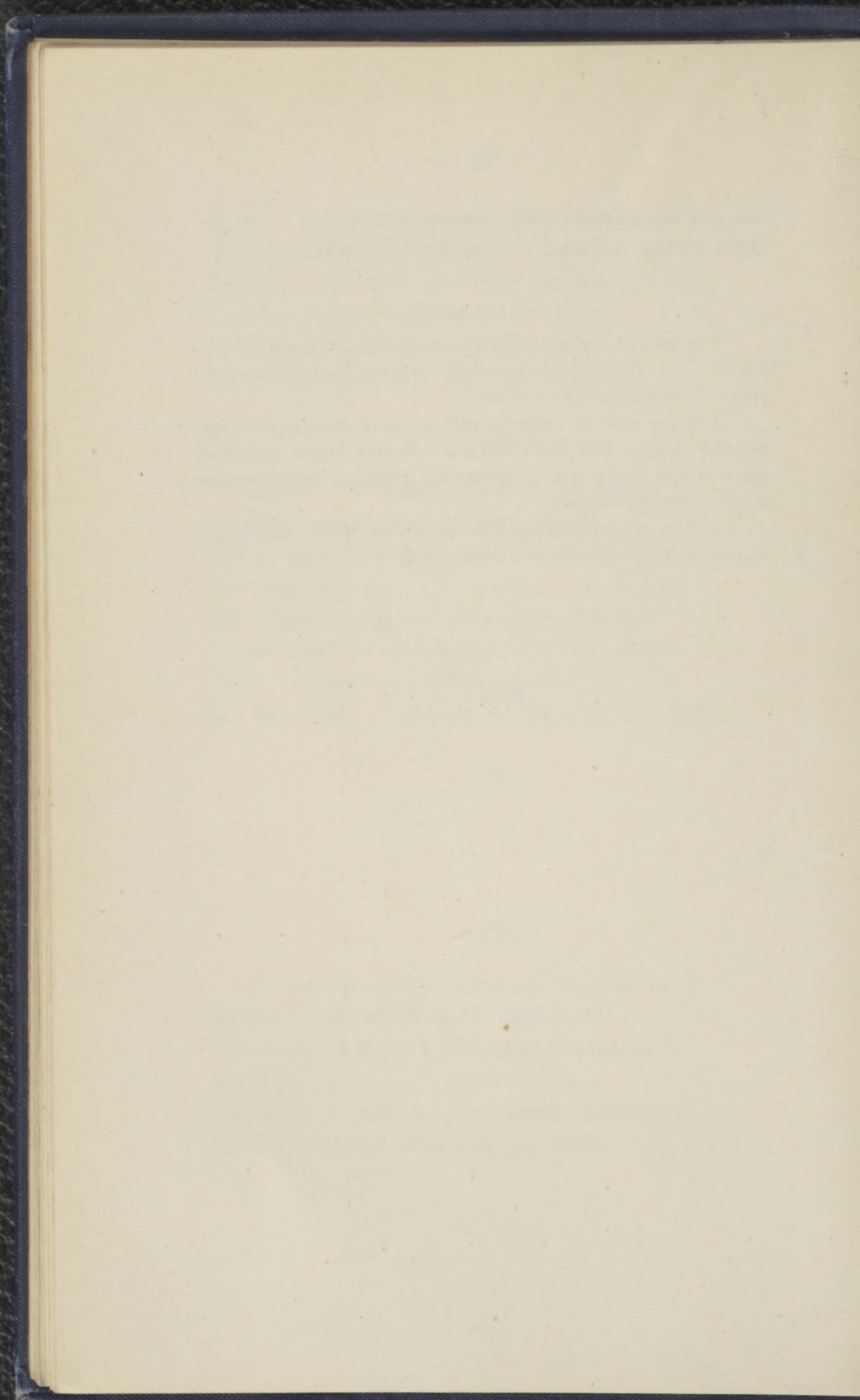
Objaśnienia.



¹⁾ Krystyn, herbu Gozdawa, wojewoda, znamienity wojownik za czasów Konrada księcia mazowieckiego, od współczesnych Wielkim był nazwany.

²⁾ Autor miał tu najwyraźniej na myśli, swoją późniejszą siedzibę Skępę, wśród dwóch jezior i dużych lasów położoną, gdzie dotąd widać jeszcze grodzisko prastare, nad brzegiem jeziora. (*Przyp. Wyd.*)

³⁾ Ossa, rzeka poniżej Grudziądza do Wisły wpadająca, odgraniczała kiedyś Prusy i Mazowsze.





 GIERMEK. 

EPIZOD.

Les récipiendaires juraient :

De craindre, révéler et servir Dieu religieusement, de combattre pour la foi de toutes leurs forces, et de mourir plutôt mille morts, que de renoncer jamais au Christianisme. Que l'avarice, la récompense, le gain et le profit, ne les obligeraient à faire aucune action, mais la seule gloire et vertu. Que sur toutes choses ils seraient fidèles courtois, humbles et ne failliraient jamais à leur parole pour mal ou perte, qui leur en pût advenir etc.

„*Le vrai Théâtre d'honneur et de Chevalerie*“
par Vulson de la Colombière.





GIERMEK.

EPIZOD.

I.

W Płocku — na zamku, huczne wesele.
Księżę Ziemowit, do swego grodu
Zaprosił gości dostojnych wiele,
Książąt i panów zacnego rodu.
Dzień to już trzeci, jak grając z wiatry
Na wieży zamku wielki proporzec
Zdaleka świadczy, że pański dworzec
Dla wszystkich uciech stoi otwarty.
Bo ledwie w okna wpadnie blask dniowy,
Ochoczo tłumy spieszą na łowy,
Lub kopje kruszą wybrani gońce;
A skoro w Wiśle zatonie słońce,
Gmach się tysiącem błyszczy kagańców,
I brzmi — od biesiad, pieśni i tańców.

II.

W Płocku — u tumu, cichość głęboka;
Noc, z swym orszakiem ćmy i milczenia
Weszła, pod wzniosłe, krągłe sklepienia,
I nieprzejrzana, gęsta pomroka
Zaległa kościół; a tylko w dali
Bładym połyskiem siekąc ciemności,
Jak duch wchodzący w progi wieczności,
Jedna, wisząca lampa się pali;
A tylko — w ciszy tajemnic pełnej,
Jakiś szmer głuchy i niezupełny
Czasem w załamy sklepień uderzy.
Czy to odgłosy szumne, pijane,
Z gmachów zamkowych aż tu zbłąkane? . . .
Nie . . . to westchnienia i szept pacierzy.

III.

Któż się tam modli? . . . Jeżeliś ciekawy,
Wejdz w sień zamkową; gdzie dębowe ławy
Przy ostrem świetle wielkiego komina
Obsiadła dworu popieczna drużyna.
Siądź i posłuchaj: — jak wąsate koło,
Miód, piwo pije i gwarzy wesoło.
Mowa — o giermku, ulubieńcu księcia,
Co wzięty na dwór w sławnym mieście Rawie,
Wzrósł na usługach od lat pacholęcia;
Na dworze płockim nie znano go prawie,
Bo Płock niedawno z dzielnicą Warszawy
Zwiększył puścizną książęce dzierżawy.

Starzy dworzanie, co jeszcze służyli
Ojcu książęcia, mocno się dziwili
Zkąd taki młody miał zasług tak wiele?
Gdzie był? ... co zdziałał? ... i za co w tej chwili
Odbywa próbę, czuwaniem w kościele? ...
A jutro, jak chcą rycerskie zakony
Weźmie z rąk księcia swój miecz poświęcony?
Ten przedmiot, długim rozmowom dał treści,
Z ust do ust wątek przechodzi powieści,
Śród ciągłych zwrotów, wykrzyków, odskoków,
Rubasznych żartów sypiących się z boków,
I przerywany, takim głośnym śmiechem,
Że mury zamku trzęsły się pod echem.

IV.

„Książę, wiadomo, że kochał się w łowach;
Raz, kiedy ptastwo w sokoły polował,
Sokół, którego nad wszystkie miłował,
Jakimciś trafem zginął mu w parowach.
Gniewa się książę ... a straszny gniew pana;
Świszcza, wołają smutni sokolnicy,
I z siół pobliskich gromada zebrana
Szuka, lecz próżno, — w całej okolicy
Płaczą kmiotkowie, wiedzą, że nie minie
Ciężka ich pomsta, skoro sokół zginie;
Bo jeśli przyjdzie księciu ptaka stracić,
To żal mu drogo potrzeba opłacić.
Gdy tak szukają — chłopiec lat dziesięciu
Przybiegł i przyniósł sokoła książęciu

Mówiąc: że w blizkim jarze przy strumieniu
Nagle, sam sokół siadł mu na ramieniu.
Rozśmieł się książę — musnął go pod brodę
I rzekł: „Pachole! jaką chcesz nagrodę?“
Zmieszał się chłopiec — przydworni co stali
Wokoło niego, w ucho mu szeptali:
„Bieź — uderz czołem, proś o pańską rękę . . .
„Proś, niech ci pieniądź rzuci na sukienkę“ . . .
Lecz chłopiec, bawiąc się z sokolem pierzem
Rzekł: — „Daj mi konia, abym był rycerzem.“
„Cha! cha! cha! — krzykną przydworniznać zucha.“
A drudzy mruczając — „O! jabym kmieciucha
„Osmagać kazał za ten język płochy.
„Patrzcie go, chamu nie chce się do sochy!
Książę przez groźne wokoło spojrzenie
Zamknął im usta, i — przerwał milczenie:
„Zaprawdę chłopiec nie od rzeczy prawil!..
„Gdzie masz rodziców?“ — „Jam sierota panie.“
— „Bóg o sierotach kazał mieć staranie,
„I bez opieki ciebie nie zostawi;
„Piotrze z Gulczewa, wziąć na dwór pachole
„I niech ma pieczę o moim sokole“ . . .
Kazał . . . spełniono . . . — Cały dwór się dziwi,
Lecz któż się woli żelaznej sprzeciwi?
Chłopiec w usługach rósł, mężniał u dworu:
Ujeżdżał konie, oręża się imał,
W sztuce szermierskiej innym przodek trzymał
I do dworskiego nawykał poloru.
Książę go wielce upodobał sobie,
I zrobił giermkim przy swojej osobie.

Tak się zdarzyło, że raz, w krwawej bitwie
Przeciw pogaństwu, Tatarom czy Litwie,
Książę zapałem zbytnim uniesiony
Rwąc obce szyki, z nagłą oskoczony,
Gdy sobie odwrót przecina żelazem,
Padł koń ubity i książę z nim razem.
Giermek, gdy w ciężkim razie pana zoczył,
Jak błyskawica na pomoc przyskoczył,
Podniósł — własnego konia mu podstawił,
I więzów — któż wie, może śmierci zbawił.
Książę się zaklął na wszystkie świętości,
I na Zygmunta królewicza kości,
(A temu nigdy nie skrzywił zakłęcia),
Że, da Bóg, z wojny szczęśliwie powróci,
Swemu, jak go zwać przywykł, pacholeciu,
Rycerski łańcuch na szyję zarzuci.
Aby wypełnić co święcie poślubił,
Ogłosił turniej, — bo książę pan lubił —
Gdy nikt krajowi jego rozległemu
Wojną nie groził — lubił po staremu
Otworzyć zamek, loch i pańskie stoły,
I miłych wczasów użyć z przyjaciół.
Pokrewne pany i możni lennicy
Radzi wezwaniu, zdaleka i zblizka,
Dworno do Mazowsz przybyli stolicy
Widzieć i dzielić marsowe igrzyska.
Bo właśnie jutro, jako w dzień patrona,
Najokazalsza uroczystość będzie,
Gdy młody giermek, przy świętym obrzędzie
Rycerskich zasług odbierze znamiona.“

V.

Taką to powieść przy krążącym dzbanie,
Swiadomsi rzeczy, prawili dworzanie;
Wtem, jeden z starszych długo trzęsąc głową:
„Niech kto chce wierzy w tę powieść jałową,
„Wiem, bom od ludzi słyshał godnych wiary,
„Że i ów sokół i owe Tatary
„Były to rzeczy naprzód ułożone,
„Czy też podobno zręcznie w słuch puszczone;
„Bo . . . — dodał z cicha i z miną znaczącą —
„Bliższe stosunki giermka z księciem łączą.“
Tak zawiść, wszędy nieuśpiona czuwa
Jak niedojrzany gad, co się przesuwa
Śród kwiatów, i tchem od jądów kleistym
Rdzę pozostawia na ich listku czystym.

VI.

O! jest świat drugi, świat duszy — do niego
Nie każde oko się spuści — dlaczego?...
Wielu w głąb' patrzy, a rzadki odgadnie
Czyli tam potwór, czy perła śpi na dnie.
Giermek miał wielu zawistych przy dworze,
Lecz wzrok ich tępy zsuwał się po wierzchu,
Widzieli tylko — że łask pańskich zorze
Jemu świecące — ich zostawia w zmierzchu;
Widzieli drobne przywary, cień — który
Do skazitelnej przykowan natury;
Ten pył, gdy oko poziome zapruszy,
Już niedostępnym zrobi mu świat duszy;
Choć wszystkie wady nicują z kolei,
Żaden nie wykradł z młodzieńca źrenicy

Jednej, dla niego strasznej tajemnicy,
Że kochał — tylkoż kochał bez nadziei.

VII.

Książę Ziemowit, był już pan niemłody,
Trudy — skrzepiły w nim siłę i męstwo;
Gdy wdowiec — pojąć w powtórne małżeństwo
Zamyślił, pannę precudnej urody
Jadwigę, córkę księcia na Zembicy.
Tak była piękna, że goszcząc na dworze
Karła cesarza, nad nią, w owej porze
W Niemczech, nie było piękniejszej dziewicy.
Dumne landgrafy, cesarstwa lennicy,
Korząc swe czoła, dali hołd powinny
Królowej wdzięków; a śpiewacy Minny,
Biorąc natchnienie z ócz słowiańskiej dziewy,
Jej poświęcili i arfy i śpiewy,
Zowiąc w języku zalotnej grzeczności,
Gwiazdą turniejów i słońcem piękności.
Książę — gdy głosy jej chwałę rozniosły,
Z prośbą o rękę, wyprawił swe posły;
I jakież tryumf możnowładcy dumie!
Gdy w licznym książąt i rycerzy tłumie
Chcących zawładnąć tym skarbem na ziemi,
Jemu pierwszeństwo dano przed wszystkiemi.
Książę — swą żonę kochał aż do szału;
Nie był to ogień młodzieńczej miłości,
Lecz jakaś głównia sztucznego zapału,
Skrząca iskrami dumy i zazdrości.
Bo na sam widok tej książęcej pary,

Rzekłbyś — że promień zabłąkany wiosny
Ozłocił jesień — że powój miłosny
Różowym wiankiem owinał dąb stary.
Giermek ją ujrzał — dość mu było razu
Spojrzeć na piękność, by zginąć w jej oku,
I cudownego odbicie obrazu,
Z całą grą życia, blasków i uroku,
Złożyć w swem sercu, wiecznie w niem piastować
I jako świętość od skazy zachować.
Bo mógłże, nawet myślą ośmieloną,
On, co z nędznego wiódł swój ród poddaństwa
Wznieść się aż do tej — która była żoną
Władcy — takiego rozległego państwa?

VIII.

Giermek się modlił gorąco i szczerze.
Mówił Ojczy nasz, i Zdrowaś i Wierzę,
Lecz przedzę ducha nić świecka splątała;
Młodości! bystry lot twych wyobrażeń!
Modlitwa jeszcze na ustach mu drżała,
Myśli bujały po krainie marzeń.
„Jakaż noc długa . . . jak nudno czekać . . .
Zda się umyślnie chwile przewlekać —
Cóżbym dał za to, gdyby już . . . gdyby
Biały poranek spojrział przez szyby;
O! pożądane pośpieszaj słońce! . . .
Zniosęż tę radość? . . . gdy dzwon uderzy,
Naród tłumami w kościół przybieży;
Tyle dam . . . tyle ksiąząt, rycerzy . . .
Na mnie się zwróci oczu tysiące . . .

A przecież — z tego oczu tysiąca,
W jedneby oczu patrzył bez końca.
Msza późno wyjdzie . . . biskup, prałaty
Wdzieją najdroższe kapy, ornaty;
Msza taka długa . . . jak im sił stanie
Całą godzinę prawić kazanie . . .
O! zadrżysz serce, gdy po mszy świętej,
Biskup z swym klerem, ludem, księżęty
Zgiąwszy kolana i korząc czoła,
Ducha świętego z niebios przywoła.
Zacnie się obrzęd — Lud się gromadnie
Jak na dziw rzuci . . . spiętrzą się głowy,
Ścisną się rzędy, ścichną rozmowy . . .
Najcięższa próba . . . można tak snadnie
Zmieszać się . . . załąc . . . — Nie! . . . nadto blisko
Ludzkie przekąsy i pośmiewisko;
Bo, dla tej pustej dworskiej czeladzi
Śmiech, — druga strawa . . . oniby radzi
Ośmiać, wyszydzić . . . ha! . . . znają oni
Jakiej na śmieszków dobywam broni;
Gdybym był księciem, to, skarż mnie Boże!
Czyby się jeden ostał przy dworze . . .
Zaprawdę — czegoż mam być wzruszony? . . .
Jednak, przyjmując miecz poświęcony
Jednych się oczu lękam potęgi . . .
O, nie! nie spojrzę ja ku tej stronie,
Bom gotów zmylić rotę przysięgi . . .
Czyżem ja marzył gdym pasał konie,
Że kiedyś, pierwszych rodów dziewice,
Przyjdą mnie stroić w świetną zbroicę? . . .

Jam ją przymierzał w kuźni płatnerza,
Prześliczna zbroja . . . godna rycerza.
Co za hart, połysk i jakie nity
A pas . . . srebrnemi gwiazdy nabity . . .
I puklerz, gwiazdą ozdobić dałem,
To moje godło . . . innych nie chciałem . . .
Czyż się domyśli? . . . może zapyta
Jaka myśl leży godłem spowita? . . .
Gwiazdo nad gwiazdy! . . . jesteście to zbrodnią
Żem cię za gwiazdę obrał przewodnią? . . .
Nie . . . nie domyśli . . . i nie powinna . . .
Gdybym dał poznać? . . . precz! . . . myśl dzie-
[cinna . . .
Gdyby wiedziała? . . . możeby . . . może . . .
Milcz serce! . . . przebacz tym myślom Boże!
Módlmy się . . .

Ojcze nasz, któryś w niebie,
Święć się twe Imię . . .

Oh! złym na siebie.

Na lada wzmiankę o tem imieniu,
Zaraz twarz moja staje w płomieniu . . .
Będę ostrożny . . . na mnie z uboczu
Tyle jaszczurczych czatuje oczu . . .
A ci dworzanie! . . . niech tylko zgadną,
Cień prawdy złowią . . . O! jestem pewny
Doniosą księciu . . . księżę tak gniewny . . .
Oni tak podle do łask się kradną! . . .
Ha! . . . jutro to mnie jedno pociesza
Że ujrzę . . . obym prędzej był świadkiem,
Z jaką zawiścią przydworna rzesza

Będzie z podełba patrzeć ukradkiem,
Gdy podczas uczy, siądę za stołem
Panów i książąt otoczony kołem;
Tych książąt, panów, co do tej chwili
Tylko mnie dumą swoją śmieszyli.
Jeśli wystąpię zbrojnie do szranków,
Chciałbym, by mi się zręcznie udało
Wyrzucić z siodła, i zdeptać mało
Choćby jednego z tych dumnych panków;
Toż mi to oklask sypną z krużganków!
Mnie — nie tak łatwo zachwiać w strzemienu . . .
Mój siwosz także, siłą się chlubi . . .
Szlachetne zwierzę . . . jak on mnie lubi,
Jak on posłuszny memu skinieniu —
Piękniejszych koni znajdzie się więcej,
A przecież, z całej stajni książęcej
Mając na wybór — jego wybrałem;
Jam go ujeźdżał, ja ugłaskałem,
Taki był dziki — teraz, jak dziecię,
Dałby się dosiąść nawet, kobiecie.
Nie . . . mnie przy dworze nie można zostać . . .
Widzieć ją ciągle, tę śliczną postać . . .
Słyszeć ją co dnia — i schnąć . . . choć słońce
Z siebie promienie daje żywiące —
Dość tej męczarni! . . . pójdę w świat długi . . .
Ach! tam Jadwigi nie znajdę drugiej . . .
Czemuż nie jesteś wiejską dziewczicą? . . .
Wierzaj mi! . . . wszystko, czem mnie zaszczyca,
Sławę, godności, lenna, dostatki,
Rzucę — dla jednej poziomej chatki,

Gdziebyśmy z sobą byli we dwoje . . .
Tak! . . . w świat się puszcę . . . na krwawe boje,
Zginę! . . . o! pewnym, — wzrok jej niebieski,
Nie . . . nie odmówi choć jednej łezki . . .
Pójdę do Węgier . . . nie . . . do cesarza,
Ona tam była . . . usłyszę o niej . . .
Cesarz, rycerskich ludzi poważa
I potrzebuje walecznej dłoni.
Kraj tam bogaty! . . . snadnie, za męztwo
Dadzą mi jakie hrabstwo lub księstwo . . .
Wówczas powrócę . . . przylecę ptakiem
Z licznym i świetnym dworzan orszakiem.
Będą się dziwić ci, co mnie znali . . .
Ona się zdziwi . . . kto wie . . . w tej dobie . . .
Książę już stary . . . może w żałobie . . .
Może . . .“

I myślą nie śmiał iść dalej.

IX.

Lube marzenia przerwał niespodzianie
Daleki szelest — przybliża się . . . wzmaga . . .
I obudzona na ten szmer uwaga,
Coraz wyraźniej rozróżnia i słyszy
Chód — wolny, ciężki; i kija stukanie
Co zgrzybiałości zwykle towarzyszy.
Wnet baczne oko wyłamało z cienia
Formę postaci przez kościół sunącej,
Która doszedłszy do lampki wiszącej,
Drżąc, zapalała świecę u płomienia.
Byłto mąż stary — kapłan — człowiek święty;

Stem lat złamany, do ziemi przygięty,
Nieprzesłyszana nawiedzion głuchotą.
Swych sił ostatek — choć tego nikt zgoła
Po nim nie żądał — poświęcił z ochotą
We dnie i w nocy usłudze kościoła.
Chleb, woda — jego pożywienie dzienne;
Noce — na modłach przepędzał bezsenne;
A suknia, równie jak on, wiotka, stara,
Już dawno z czarnej zrobiła się szara.
Lecz złość głosiła — że pod szatą nędzy
Kryje się miłość ostatnia — pieniędzy.

X.

Starzec, u lampy zapaliwszy świecę,
Obrócił kroki w poboczną kaplicę;
Wszedłszy — dokoła obejrzał się z trwogą,
Badając pilnie czy nie ma nikogo.
Potem — gdy dotknął sprężyny tajemnej,
Stopień ołtarza powstał w górę głazem;
Starzec się schylił, i z kryjówki ciemnej
Wyciągnął skrzynię okutą żelazem . . .
Odłonił wieko . . . blask co padł na lice,
Żółtym jak chciwość oblał je kolorem;
Jak wilcze, tak mu zabłyśły źrenice,
A śmiech . . . o! wtedy starzec był potworem.
Dobył swe złoto, po sztuce rachował,
Oglądał każdą i każdą całował,
I zatopiony w martwych pieszczot świecie,
Cieszył się złotem i bawił jak dziecię;
Potem, skarb cały zebrał, zliczył, złożył,

I nową sztukę do dawnych przyłożył.
Z żalem, w kryjówkę spuścił ciężką skrzynię
Jakby w dół zimny przyjaciela zwłoki;
Zagasił światło, i leniwe kroki
Wspierając kijem — opuścił świątynię.

XI.

„Giermku!“ głos jakiś szepnął. — Giermek słucha,
Patrzy wokoło . . . nie . . . nikogo nie ma . . .
Lecz ledwie nazad zwrócił się oczyma,
Głos, jak wąż raję wcisnął się do ucha.
— „Giermku! los tobie uśmiecha się wdzięcznie
Wiesz skarb . . . sprężynę . . . i jesteś bez świadka,
Wierzaj mi, umieć korzystać, a zręcznie,
To cała życia ludzkiego zagadka.
Lękasz się następstw? . . . słuszna . . . nie zna szkody
Kto się przed burzą schroni za pogody.
Złoto ułatwi ucieczkę . . . za rzeką
Króla Kazmierza państwa, niedaleko;
Nim na modlitwę zabrzmiał dzwon poranka . . .
„Ależ skarb cudzy?“ . . . „Słuchaj . . . kto gołębia
Wyzwoli ze szpon chciwego jastrzębia,
Czyż go nie nazwie swem dobrem nabyciem? . . .
Skarb taki, wprost się uważa — „odkryciem“,
Tak, jak kruszcowej żyły wśród pieczary.
Bo czyliż sądzisz, że gdy umrze stary,
Kto jego złota dotknie lub użyje? . . .
O nie! . . . w głąb ziemi sknera je zaryje,
Zaklnie, w moc odda nieczystemu wrogu,
A tak, ni ludziom pożytku, ni Bogu.

Lepiej zawczasu skarb uprzątuj sknerze;
By zaś osłodzić gorycz jego doli,
Gdy złotych więźniów wypuścisz z niewoli,
Podrzucić mu kamień, niech go jak smok strzeże.“
„A jeśli umrze?“ . . . „Dasz za jego duszę . . .
Więcej dlań zrobisz niż on sam dla siebie,
Jeszcze za tobą przyczyni się w niebie,
Że mu czyscowe skróciłeś katusze.
Śmiało skarb zabierz! . . . O nie . . . nie na zbytek,
A na najlepszy jak można użytek.
Skarb, że jest znaczny, rozdziel go na poły:
Część, dasz ubogim, opatrzysz kościoły;
A druga . . . tyle zostanie ci złota,
Że i rycerskie mieć będziesz ostrogi,
I nie dość — pańskie zniżą ci się progi,
Ale i Niebo otworzy swe wrota.
Odważ się tylko! . . .“

Giermek już nie słucha,
Bo czuł, że to był poszept złego ducha,
Co mu modlitwę psuł i serce kaził.
Ale ze skrucłą łzawą i serdeczną,
Błagał na klęczkach tę mądrość przedwieczną,
Którą, przez jedną błędną myśl obraził.

XII.

I modlitwa cicho płynie,
Żal ją z piersi goni szczery;
Tyś ją słyszał Cherubinie,
Tyś ją poniósł w górne sfery

I na świecznik złożył Jego —
Tam, wśród cieniów lśni żywota
Jak ta lampa co blask miota
Przed ołtarzem Przedwiecznego.

XIII.

Zegar na wieży pół nocy wybijał . . .
A dźwięk ostatni, jakby jęk żałoby
Jeszcze się echem wśród sklepień odbijał;
Gdy wielki kamień, co przykrywał groby
Zatrząst się . . . ruszył . . . odwalił do góry.
I padł, na ciemne posadzki marmury.
Wyskoczył szkielet i zgięty nad grobem,
Innym podawał, rękę wyschłą, białą,
Dźwigał ich na wierzch — tak, że tym sposobem
Dziesięć wymarłych pokoleń powstało.
Tłum, co z trzechwiecznych poruszył się leży,
Złożon — z dam, panów, księży i rycerzy,
Zwiększył się jeszcze orszakiem dość licznym
Piszczków, bębniaków z naczyniem muzycznym.
Muzycy — siedli u bocznej kolumny,
W piszczel spruchniałą dmąc niby w piszczałki,
Na miejscu kotłów mieli wieko trumny,
A mniejsze kości służyły za pałki.
Zgodnemi tony zagrała muzyka
Owe cmentarne, przeraźliwe śpiewki,
Gdzie skrzyp blaszanej z dachu chorągiewki,
Hukanie sowy, kwilenie puszczyka,
Niesforną nutą przypada do miary.
Brzmią . . . Tanecznicy pobrali się w pary,

Najstarszy lochów podziemnych mieszkaniec,
Dał znak — i długi poprowadził taniec.

XIV.

„Giermku! . . . czy widzisz? . . . oh! . . . końca
[nie czekaj! . . .

Tak głos tajemny ostrzegał go z boku,
„Już się ruszają . . . nie utrymuj kroku,
Będzie zapóźno . . . już idą! . . . uciekaj!
Masz drzwi otwarte . . . ucieczka nie splami,
Wszakże nie z ludźmi sprawa, a — z trupami.
Tysiące śmierci widziałeś na wojnie,
I mogłeś na nie spoglądać spokojnie
Bo tam śmierć piękna, laurami okryta,
Sen nagły, który w pełni życia chwyta;
Lecz kiedy wyschła, z obliczem obrzydłem,
Groźnym przy tobie zjawi się straszycłem
By się odsłonić i porwać w swą nicość;
I oko w oko patrząc w tę śmierć nagą
Śmiesz dotrwać? . . . Giermku! . . . miej nad sobą
[litość . . .

To zaślepieniem zwie się, nie odwagą“ . . .
Giermek, głos ducha swojego czy wroga
Mimo się puścił — a choć drżał jak listek,
Potęgą woli zebrał swój duch wszystkim
I złał w gorące westchnienie do Boga.

XV.

Para za parą, ciągnął orszak biały,
A kości światłem błękitnem świeciły,

Muzyka brzmiała, kości w takt trzeszczały,
I wiało stęchłe powietrze mogiły.
Niektóre trupy wlekły z sobą szmaty,
Resztki szat, które zbutwiały i spadły;
Na innych świecił blach niegdyś bogaty,
Dziś, szczątek zbroi, wpół od rdzy przejadły,
Co o kość bijąc, taki odgłos szerzy,
Jak gdy kto młotem w pękły dzwon uderzy.
Ten rej wiódł grobów najstarszy mieszkaniec,
Za nim ochoczo suną pary skoczne;
Orszak zawrócił w galerye poboczne,
I coraz więcej ożywiał się taniec.
Widzieć tam było — umizgi, zaloty,
Nadskakiwania i ściskania ręki;
I jak bez zębe, wpół spruchniałe szczęki,
Jeszcze się w uśmiech krzywiły pieścizoty.
I znowu środkiem taniec śmierci toczy . . .
Dostrzegli giermka . . . nie idą — już lecą! . . .
I z oczu — z dołów kędy były oczy,
Wszystkie nań iskier potokami miecą;
Zewsząd naciera wychudła gromada,
Wyciąga ręce, wznosi groźne pięści,
Zda się, zdruzgoce, rozerwie na części! . . .
Ale na giermka żaden cios nie pada;
Bo jak z dyamentu zrobiona paiza,
Tak go w krąg świętość okryła pacierza.
Para za parą, odszedł orszak cały,
Mocniejszym światłem kości zaświeciły,
Muzyka brzmiała, kości w takt trzeszczały,
I wszystko nazad weszło do mogiły.

XVI.

I milczenie znów ponure
Gmach zaległo — w cieniów łonie,
Błado, jedna lampka płonie,
A jej promyk lecąc w górę
Krążkiem światła strop pokrywał,
Jak obłoczku śnieżny rąbek,
Lub jak gdyby Duch gołąbek
Nad świątynią ulatywał.

XVII.

Noc była cicha — chmur czarne orszaki
Co wisząc, długo zdały się spoczywać,
Zwolna ruszyły, jak wędrowne ptaki
W daleką drogę. — W przerwach się odkrywać
Zaczęło niebo; wychłonięty z chmury.
Wszedł księżyc pełny na niebios lazury.
Przez długich okien szyby malowane,
W środek świątyni bladym światłem błysnął,
I sieci szklane któremi się wcisnął,
Z ich tłem jaskrawym przerzucił na ścianę,
A słupy światła w kościół zstępujące
Ukośne, ciche, tajemnicze, drżące,
Jasnemi smugi gąszcz cieniów rozdarły.

XVIII.

Nagle — drzwi boczne na wściąg się roztwarły
Drzwi, co łączyły przez krużganki kręte
Książęcy zamek i to miejsce święte.
W nich — staje postać anielskiego wdzięku,

Z rozwianym włosom, lampą w jednym ręku,
I lekkiej szacie, która jak śnieg biała
Drżąc, nad bijącym, wpół rozkrytem łonem,
W powiewnych składach po nodze spływała.
Śliczna! . . . dlaczegoż z okiem niewzruszonym? . . .
Giermek się modlił, lecz gdy postać zoczył,
Zgubił nić skruchy i ku drzwiom poskoczył.
„Boże! . . . to księżna“! . . . krzyknie z uniesieniem.
Postać, na głos ten, jak ze snu ockniona
Upuszcza lampę — gwałtownym płomieniem
Płyn się rozlany rozbłysnął — a ona,
Blask urażliwy do oczu rzucony,
Zda się odpycha i z przed siebie zgania,
Jakby ten widok co się jej odsłania,
Chciała słabemi odeprzeć ramiony.
„Gdzież? . . . ach! . . . gdzież jestem! . . . i kto mnie
[tu woła? . . .
„Sen-li? . . . nie! . . . zda się widzę głąb kościoła
„I ciebie giermku . . . tak! . . . to niedospany . . .
„To sen mój . . . tylko na chwilę przerwany . . .
„Znów ciebie widzę o lube widziadło! . . .
„Nie! . . . nie! . . . to nie sen! . . . oh! nie wierz
mej mowie,
„Słowo bez związku z ust moich wypadło . . .
„Wirem kołują myśli . . . odmęt w głowie! . . .“

Światło zagasto — ale blask księżycyca
Z długiego okna padając — oświeca
Księżnę — co drżąca, z licem zapłonionem,
Ręką na piersiach, nieład szaty zbiera;

I giermka — który okiem zachwyconem
W rozkryte wdzięków tajniki się wdziera.

„O! teraz widzę . . . choć oczom nie wierzę! . . .
„Widzę . . . poznaję . . . te mury, te stropy . . .
„Ciebie mój giermku . . . Ach! i strach mnie bierze,
„Gdy myślę, jakim sposobem me stopy
„Zasły w te miejsca? . . . czarów-li zaklęcia
„Mnie senną z komnat uniosły książęcia? . . .
„Zbłąkana . . . w progach kościoła . . . śród nocy,
„Cóż teraz pocznę? . . . gdzie wezwę pomocy! . . .
„Nie śmiem iść naprzód, nie śmiem dotknąć proga,
„By tym nieładem nie obrazić Boga;
„Nie śmiem się wrócić — bo tam straszno . . .

[ciemno . . .

„Zbłądzą w krużgankach, odstąpią mnie siły . . .
„Strach, aż za serce mnie chwyta . . . o miły
„Giermku! jeżeli masz litość nademną,
„Podaj mi rękę . . . z tobą o mój drogi! . . .
„Cóżem wyrzekła! . . . strach słowa mi płacze . . .
„Uchodźmy prędzej z tych miejsc pełnych trwogi;
„Czując przy sobie twe ramię obrończe
„Odetchnę wolniej, bo będziemy razem . . .

— „Pani! twe słowa, winny być rozkazem
„Wiernemu słudze — lecz, chceszże mej zguby? . . .
„Jestem na próbie, i wczora wieczorem
„Na święte kości wykonałem śluby,
„Że przez noc całą, pod żadnym pozorem
„Na krok nie wyjdę za kościelne progi.
„Pani! za jedno posunięcie nogi

„Kara i wieczna sromota mnie czeka.“
— „Giermku, miej litość! . . . droga niedaleka . . .
„Wrócisz za chwilę . . . nikt nie będzie wiedzieć. . .
„Słyszysz! . . . na zamku brzmi uczta pijana,
„Księżę ją zechce przeciągnąć do rana,
„Komuż myśl przyjdzie, winem pełnej czary
„Odstąpić — aby kroki twoje śledzić? . . .
„O! wiem, że wielkiej, wymagam ofiary,
„O! znam jej wartość . . . to mi poda zręczność,
„Za twą przysługę okazać ci wdzięczność;
„Bo nie sądz — pocóż będę taić dłużej,
„Choć czas, ni miejsce wyznaniom nie służy,
„Nie sądz — że twoje spojrzenia ogniste
„Padały ciągle na serce skaliste;
„Któż wie — gdy kręte przejdziemy krużganki,
„Czy cię tam uścisk nie czeka kochanki . . .
„Niedobry! . . . pocoś wyrwał mi wyznanie,
„Które z mej piersi nie powinno było
„Nigdy wystąpić . . . które niespodzianie
„Zalękłe serce przez usta zdradziło.
„O! śpiesz, pofolguj memu udręczeniu,
„Gdy cała pomoc w twojem jest ramieniu.
„O! nie . . . nie zechcesz by cel twej miłości,
„Stał się ofiarą dzikiej nieczułości . . .
„Patrz jak drży ręka . . .

I k'niemu miłośnie
Wyciąga dłonie i błaga litośnie
Tą czarnoksiężką pięknych ócz wymową,
Której najczulsze nie zastąpi słowo.

Giermek się zachwiał, bo tyle ponętnych
Blasków rozkoszy w jego myśli padło,
Że w nich odbite, jak tęczy widziadło
Grało urokiem wszystkich farb namiętnych.
Obrazy — których nigdy w swem marzeniu
Odtworzyć nie śmiał — teraz śmiało goni;
Czuje . . . jak wsparta na jego ramieniu
Oddaje uścisk jego twardej dłoni;
Z jej ustek chwyta najczulsze imiona
Jakiemi miłość przemawia . . . a ona,
Ta śliczna postać, drży w jego objęciu . . .
Jeszcze krok jeden — raj, niebo posiędzie . . .
Krok tylko — z ludzi najszcześniejszym będzie.
Wtem — niby ciemna przez myśli zasłona
Migła mu pamięć, co winien był księciu;
Pierzchły obrazy . . . jak gromem rażony,
Już w samym progu stanął niewzruszony.
„Giermku! . . . co tobie? . . . co tak martwo stoisz?
„Słaby człowiecze! . . . i czegoż się boisz?“ . . .
„Pani!“ pierś mając od żalu wezbraną
Ledwie mógł mówić — i zgiąwszy kolano:
— „Pani! przysięgam w tej świątyni Boga,
„Że w sercu mojem nie powstała trwoga;
„Doświadczy, niech jutro w szrankach stu rycerzy
„Co najdzielniejszych wystąpi, uderzy
„Na mnie jednego, ja dotrwam im kroku,
„I na sto śmierci chętnie się narażę,
„Za jedną tylko, jedną łzę w twem oku . . .
„Mogę zapomnieć co powinność każe,
„Zdeptać cześć, sławę i wszystko dla ciebie,

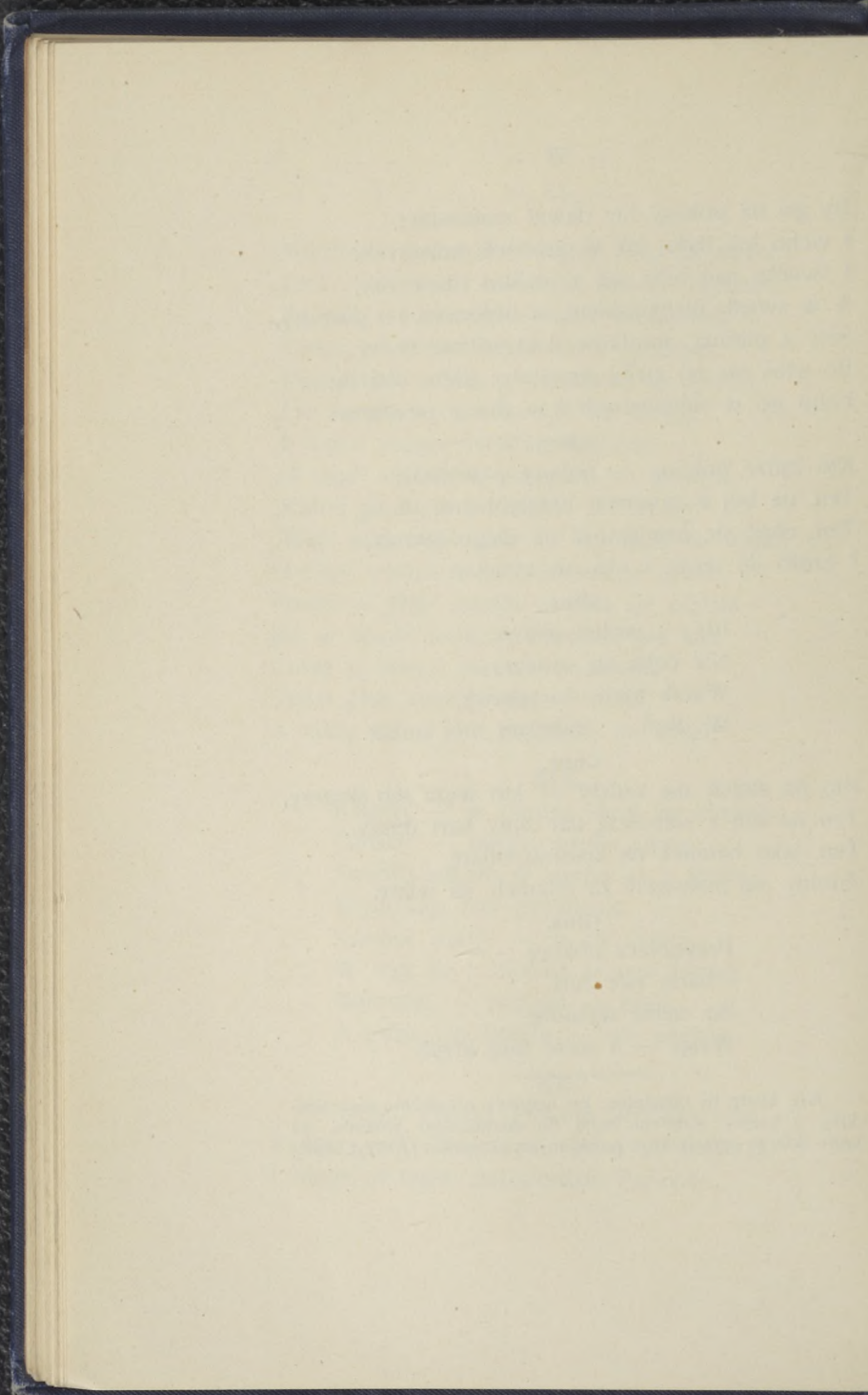
„Mógłbym zapomnieć, że jest Bóg na niebie . . .
„Lecz czyste życie, niecnym splamić czynem,
„Za łaski — zdradą odplacić nikczemną
„Temu, co kiedyś przez litość nademną
„Podjął, jak własnym zajmował się synem,
„Do swego serca otworzył mi drogę,
„I ciągle swoją ufnością zaszczyca —
„O pani! ufność to przepaść — granica,
„Której ja nigdy przestąpić nie mogę!“ . . .
„Więc mnie zapomnij . . . zapomnij na wieki! . . .
Słysząc westchnienia i stłumione łkania,
Postać w głąb' ganku zwolna się oddała.
Już w cieniu tonie, a ciemność jak fala,
Coraz ją więcej zasuwa, pochłania;
Tylko głos giermka dolata daleki,
A może echo? — „zapomnij na wieki!“

XIX.

Księżyc — w ciemne skrył się chmury,
Gmach — zaległy grube cienie;
Światło spadło w lampę — z której
Wymykają trzy promienie.
Symbol wiary — co dla ziemi
W trzy się z niebios szczepi błaski:
Mądrości — miłości — łaski;
A gdzie ich źródło — nie wiemy.

XX.

U stopni ołtarza, giermek krzyżem leży,
Z duszy mu zdrój płynie gorących pacierzy,
I błaga ze łzami miłosierdzie Pańskie,



SAMOBÓJCA.

POEMAT.

Na własnej piersi skrwawiłem me pięście,
Przeciw niebu ich nie wzniosłem.

Mickiewicz.

SARABOJA

1872

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
PRESS

DO CZYTELNIKA.

Poemat ten napisany w roku 1835, parę razy już był drukowany, nigdy jednak w całości; treści do poematu dostarczyła śmierć młodego człowieka, który z tęsknoty za krajem, odebrał sobie życie. Autor bynajmniej nie miał na myśli pisać apologii samobójstwa, owszem jako Chrześcianin potępia je w zupełności, choćby nawet i ze szlachetnych pobudek brało swój początek.

Przedmowa napisana w trzydzieści lat później, to jest 1865 r. swoją treścią nie wiele ma łączności z poematem, chyba o tyle tylko, że znamionuje rozwój owych ujemnych idei, przeciw którym dziś rządy występują, a które w kwestyi samobójstwa sprawiły, że to, co w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia, objawiało się jako fakt pojedynczy i odosobniony, zamieniło się obecnie w jakiś stan chorobliwy społeczeństwa. ¹⁾

¹⁾ Autor, napisał te słowa „*Do Czytelnika*“ w 1878 r. i pomieścił je na czele, pierwszego kompletnego wydania „*Samobójcy*“ w Toruniu, z tegoż roku. (*Przyp. Wyd.*)



UNIVERSITY OF CHICAGO

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.

Faint, illegible text at the bottom of the page, possibly a signature or date.



W MIEJSCE PRZEDMOWY.

I had a dream, which was not all a dream.
Byron.

Kończyłem drogę — wtem nagle przedemną, . . .
Ujrzałem przepaść straszliwą i ciemną;
Paszcza otchłani jak krater ziejąca,
W obie się strony ciągnęła bez końca;
Iść niepodobna . . . ni też cofnąć biegu,
Więc smutny siadłem na skale przy brzegu,
I wzrok miłości w tę stronę zwróciłem,
Gdzie wiodła droga, którą już przebyłem. —

Szlak ów przebyty nie wciąż był kwiecisty,
Rosły tam ciernie i sterczały głązy,
Lecz jak w pustyni dzikiej i piaszczystej,
Tu owdzie, wdzięczne migały oazy; —
Dalej, za szlakiem, był horyzont mglisty,
Gdzie w mgły przezroczu, tak cudne obrazy,
Że jako dziecię do swej matki łona,
Ku nim się rwała dusza utęskniona.

Długo wzrok miłym poitem widokiem,
Aż mnie z głębokiej obudził zadumy,
Jakiś krzyk dziki, rzucony przez tłumy,
Co do przepaści rączym biegły skokiem;
Tłumy w pół nagie, całe w krwi i pianie,
Gnane przez Furję z ochydnem obliczem,
Smagane, z węzów ukreconym biczem;
Jak potępieńcy spadały w otchłanie.

Jedna z tych Furyi, widząc mnie na stronie
Zwróciła kroki i staje przedemną: —

„Czego tu szukasz? . . . i oko twe tonie
„W ów świat miniony, odziany mgłą ciemną.
„Patrz! jak się niebo zaciąga chmurami,
„Patrz! jaka burza zrywa się za nami;
„Gdy gromy hukną, gdy luną zatopy,
„Ziemia z pod twojej usunie się stopy.“ —

„My spieszym zdobyć dla siebie świat nowy,
„Idź z nami, — widzisz chorągiew na przedzie
„Krwawą, i napis ognistemi słowy:
— „Wszystko godziwe co do celu wiedzie,“ —
„Świat naszych życzeń jeszcze noc okrywa,
„Ale mrok pierzchnie gdy rzucim paliwa,
„I błysnie łuna z tak licznych płomieni,
„Że przy niej słońce w obłok się zamieni.“

„Tam w głębi, słyszysz, świst machin i młoty;
„To są cyklopów dzisiejszych roboty;
„Olbrzymie łuki przez przepaście wiążą,

„Nurt rzek zwracają, łono ziemi drążą.
„Oni przez lądy i przez oceany
„Ścielą nam drogi do prędszej wygranej;
„I zajdziem dalej, parci siłą pary,
„Niż wy, na skrzydłach fantazyi i wiary.“ —

„Przepaść nie straszna! . . . tylko się odważyć! . . .
„Ale kto z nami, musi się obnażyć.
„Zrzucić strój zdarty odwiecznej roboty,
„Sumienia, wiary, i sławy, i cnoty;
„Nam, co idziemy posiąść nowe światy,
„Potrzebne szersze, wygodniejsze szaty,
„Niż te, co nosił syn cieśli — którymi
„Wolę i rozum skrępował na ziemi.“ —

„Życie za krótkie, i czekać za długo,
„By świat zdobywać pracą i zasługą.
„My chcemy — dziejów poczynając kartę,
„Wydrzeć — co tylko może być wydarte;
„Burzyć — to nasza idea przewodnia;
„A środki — sztylet, trucizna, pochodnia.
„Gdy wszystko stare wysieczem i zwałem,
„Wtenczas wzniesiemy nową Jeruzalem.“ —

— „O! nie! nie!“ . . . rzekłem. „W pokorze i wierze
„Chrześcianie palmę wynieśli ze zgonu.
„I z Bogiem w sercu, szli dawni rycerze
„Zatknąć znak święty na murach Syonu.
„A wy! bez Boga, bez cnót, bez zapału,
„Bez żadnej myśli dodatniej — przewodniej —

„Wy karły, z piętnem podłości i zbrodni,
„Frymarkiem, chcecie dojść do ideału?!“ —

„Do wielkich czynów, wielkich cnót potrzeba!
„Pokory! aby dostać się do nieba! . . .
„Wam niegdyś bratnie, Timura zastępy,
„Znikły w pustyniach, pożarte przez sępy;
„Bo zbrodnia krótko dzierży berło świata.
„Bóg dobrej sprawie tylko da zwycięstwo.
„Cóż wam zostanie? . . . sława Herostrata! . . .
„I wieczne! . . . tak, wieczne przekleństwo! . . . —

„Ja tu zostanę z mą lutnią na brzegu,
„Nim ją na wieki do przepaści rzucę;
„Nim brzeg zapadnie, ów kres mego biegu,
„Ustępną, podjętą w mej drodze, zanucę.
„Pieśń to nie nowa, i stare już dzieje,
„Smutna — jak wichur, co po grobach wieje;
„Prosta — jak życie, złamanej istoty,
„W której nie wygaś głoś prawdy i cnoty.“



I.

1.

W krainie bujnej w plony i pamiątki . . .
Gdzie dziś mieszkanięć marzy jakby we śnie
O dawnej sławie, — i patrzy boleśnie,
Na rozburzone tylu świątyń szczątki,
W które grom nowy po gromie uderza; —
W krainie niegdyś wielkiej i zasobnej
W chleb i żelazo — a dzisiaj podobnej
Do ranionego wśród walki Rycerza,
Który rzucony na boleści łożu,
W śnie gorączkowym, i śród nocnej ciszy . . .
Zda mu się — odgłos trąb wojennych słyszy! . . .
Chwyta miecz . . . ale go dźwignąć nie może:
I przez gwałtowne sił wątych zużycie,
Na zgon niechybny naraża swe życie, —
W tej to krainie — w którą stronę okiem,
Pociągniesz — z smutnym spotkasz się widokiem:
Plony są bujne, lecz spodem pod niemi
Ileż krwi wsiąkło i łez do tej ziemi.

2.

Śród pól obszernych podnosi się wzgórze,
Sypane ręką natury, czy ludzi,
Czas zdmuchnął ślady, a gminnej powieści
Raz tylko zgasłej już nikt nie obudzi;
Na wzgórkę sterczy krzyż dawny — a róże
W cieni zaplecione, jak uśmiech w boleści
Wieńczą pagórek i krzyża podnóże.

3.

Pod krzyżem starzec w żałobnej odzieży, —
Na kiju wspierał głowę posiwiąłą;
Widać — że przeżył, przecierpiał niemało,
Bo, na zmarszczkami sfałdowane lica
Gorzka, niejedna łza z oczu wybieży —
Przy nim jak anioł klęcząca dziewica
Z zapalem wiary domawia pacierzy.

4.

Dwie te postacie pod krzyżem zbawienia,
Jedna klęcząca, druga nachylona,
Jak dwa posągi wykute z kamienia,
Jakby im życie zgasło w głębi łona,
Ciałem są tylko przybite do świata,
Bo dusza, skrzydłem modlitwy niesiona,
Cała cierpiąca — do niebios ulata.

5.

Starzec, z odbiegłą już złudzeń krainą,
Z sercem wystygłem na powaby życia,

Z myślą noszącą już ślady rozbicia,
Starzec dla ziemi był tylko ruiną,
Do której, pamięć przeszłości ubiegłej
Jeszcze się czepia, jak liście bluszczowe,
Kiedy się wydrą z pod zwałonej cegły,
Aby owinąć kolumny bezgłowe.
Starzec, — chciał świętej modlitwy promieniem
Wznieść się wysoko, do swej wiary szczytu;
Ale niestety! . . . jak skałą granitu
Tak był do ziemi przybity — cierpieniem, —
I zamiast, coby po długiej wędrówce,
Spoczął, odetchnął — i podobny mrówce
Spożył owoce trudów i prac długich —
I zamiast — coby gasnące już siły,
Na schyłku życia, nad brzegiem mogiły
Ukrzepił, szczęściem własnem — albo drugich, —
On, wszystko stracił i straty te przeżył.
A z uczuć, które z wiekiem nie wyłały,
Jedne zagasły, inne się zmieszały
W jednym uczuciu — milczącej rozpaczy! . . .
Lecz własną ręką życia nie uderzył,
Bo żył cnotliwie, bo głęboko wierzył,
Że Bóg tej zbrodni nigdy nie przebaczy.

6.

Dziewczyna młoda — i cóż ją zasmuca? . . .
Po co łąą cierpień błyszczą jej źrenice?
Czy jest aniołem, który ziemię rzuca,
By prędzej wrócił w niebios okolice? . . .

Czyli już ziemia dla niej ponęt nie ma?
Że tęskną myślą, tęsknemi oczyma
Pogląda w niebo — jak gdyby na niebie
Prawdziwe szczęście znalazła dla siebie.
Młoda i piękna! — i gdzież są przyczyny
Łez i cierpienia? . . . czyż w duszy dziewczyny,
Gdy się jej młodość w każdym kwiatku śmieje,
Gdy ją świat wabi, gdy ją rozkosz nęci,
Czy smutek może wytrącić z pamięci
Że na nią czeka — przyszłość i nadzieje? . . .
Przyszłość! nadzieja! . . . ach! te dwa wyrazy,
Gdy w okół młodej myśli się obwija,
Jakże czarowne nawodzą obrazy,
Jak noszą duszę za światów granicą!
Niech staną we śnie — sen urozmaicą,
Niech zabrmią w pieśni — a pieśni ożyją,
I młodość wierzy w tym pierwszym zachwycie,
Że najpiękniejszym darem niebios — życie.
I czemu wtenczas smutek? — chmurka biała,
Która na chwilę blask słońca zaciemi,
Powieje wietrzyk, a ona przeleci,
Lub w mgłę się zmieni i we mgle opada:
I znów pogoda — i znów słońce ziemi,
Młodości — szczęście zaświeci.

7.

S T A R Z E C.

«Dopókiż na mem chyłacem się czole
«Zbierać się będą cierpienia i lata?
«I pókiż będę na ziemskim padole

- «Świecić, jak lampa gasnąca dla świata? . . .
«Dni mego życia od dawna przewiały,
«Boleść, jak robak, serce mi przejada;
«Ja sterczę dotąd jak ów dąb spruchniały,
«Którego czoła liść już nie zieleni,
«Który się kłoni pod szronem jesieni,
«A dotąd jeszcze na ziemię nie pada.
«Byłem szczęśliwy! . . . dawno! . . . miałem syna . . .
«Lecz szczęście ludzkie jest, jako roślina,
«Z której czas, listek po listku odpina,
«Aż wszystkie zerwie! . . . z mego szczęścia wiązki
«Tyle już padło liści — jedna, mała
«Tylko mi jeszcze gałązka została.
«Ale ja żyłem życiem tej gałązki. —
«Pomnę! . . . gdy mego wątlęgo dziecięcia
«Z obawą pierwsze kształciłem pojęcia;
«Bo lada powiew, serce starca trwoży
«Kiedy pogląda na swe dziecię — ale
«Gdym patrząc na nie, ujrzał — jak wspaniale
«Swoim promieniem, twórczy oddech Boży,
«Na młodej duszy nie mającej skazy
«Coraz piękniejsze malował obrazy . . .
«Gdym ujrzał jak się w młodziana rozwinął —
«Wtenczas, od przeczuć złowrogich daleki,
«Marzyłem sobie, że na jego łonie
«Przy jego sercu zamknę me powieki.
«Próżne marzenia! . . . on chciał młode skronie
«Otoczyć laurem — i bez wieści zginął.
«Panie! jakżeś mnie zasmucił głęboko;
«Lecz niech się dzieje wola twoja święta;

«Ja nie chcę szemrać, bo wiem, że twe oko
«O najdrobniejszym robaczku — pamięta.
«Spojrz na me oczy, łez im już nie stało;
«A więc zatrzymaj serca mego bicia;
«Tyś wziął mi duszę — jakże chcesz, by ciało
«Jeszcze walczyło z burzą tego życia? . . .»

8.

D Z I E W C Z Y N A.

«Ukwieciła wiosna łąki,
«Wonność leją kwiatów dzwonki,
«Słowik w gajach pieśń zanucił,
«A mój miły nie powrócił.
«Tu na wzgórk u stóp krzyża,
«Który dziś ku ziemi zniża,
«I swe czoło niegdyś wzniosłe,
«I swe barki mchem porośłe,
«Tu nam serce żywiej biło,
«Tu spotkanie nasze było.

«Prędko uciech wyszło źródło,
«Dziś miłości naszej godło:
«Zwiędła róża w wieńcu cierni,
«I krzyż — co się nad nią czerni!
«Ach! mnie teraz nie zachwyca,
«Ani piękna okolica,
«Ani miejsca gdzie nam wzajem
«Wszystko w okół było rajem;
«Miejsca gdzieśmy się kochali,
«Gdzieśmy wiecznie się rozstali.

«Wiecznie — lecz tylko na ziemi,
«Bo dusza skrzydły lekkimi
«Wyleci i w całym niebie,
«Luby! szukać będzie ciebie —
«I tam, z twoją duszą, społem,
«Jak duch czysty z swym aniołem,
«Jak w harmonii pienie z pieniem,
«Jak światełko z swym promieniem,
«Znów się złączy, w jedność spłynie,
«W hymnie, w gwiazdzie, w Cherubinie.»

9.

Jesienne szumią wichry — na wzgórek do krzyża,
Orszak cichy, żałobny powoli się zbliża;
Czarna chorągiew w przodzie . . . ksiądz — za nim
[w milczeniu

Sześciu ludzi niosących trumnę na ramieniu;
I kilka bab z pacierzem, które szły z nałogu
Odprowadzić zmarłego do wieczności progu.
W trumnie spoczywał starzec . . . proch . . . wracał
[do ziemi;

Dusza jego niesiona skrzydły anielskimi,
Wolna od więzów ziemi i od cierpień ciała,
Z modlitwą, z przebaczeniem, ku niebu wzlatała.
Orszak stanął u krzyża — ścisnęło się grono,
Ksiądz odprawił modlitwy, i wodą święconą
Pokropił martwe zwłoki, przytomni pospołu
Lin ujęli, i trumnę spuścili do dołu.
Każdy rzucił garść ziemi, i wzrosła mogiła,
Która śmiertelne szczątki na wieki przykryła.

10.

Przez łany zbóż szumiących, szedł lirnik wio-
[skowy,
Przechodząc koło wzgórza, kroki swoje zwrócił,
Aby spocząć pod krzyżem; gdy dostrzegł grób nowy
Westchnął, i na ton smutny, taką pieśń zanucił:

«Było dziewczę śliczne, hoże,
«Ciche, skromne, jak fijołeczek;
«Z lic lilijowych kwitły róże;
«Z oczek, niby z dwóch gwiazdeczek
«Promień szczęścia lśnił.

«Jak gołąbek śnieżno-pióry
«Chciała unieść się skrzydłami,
«Myśl jej wzięła lot do góry,
«Duch jej pobiegł za myślami
«I w niebo się skrył.

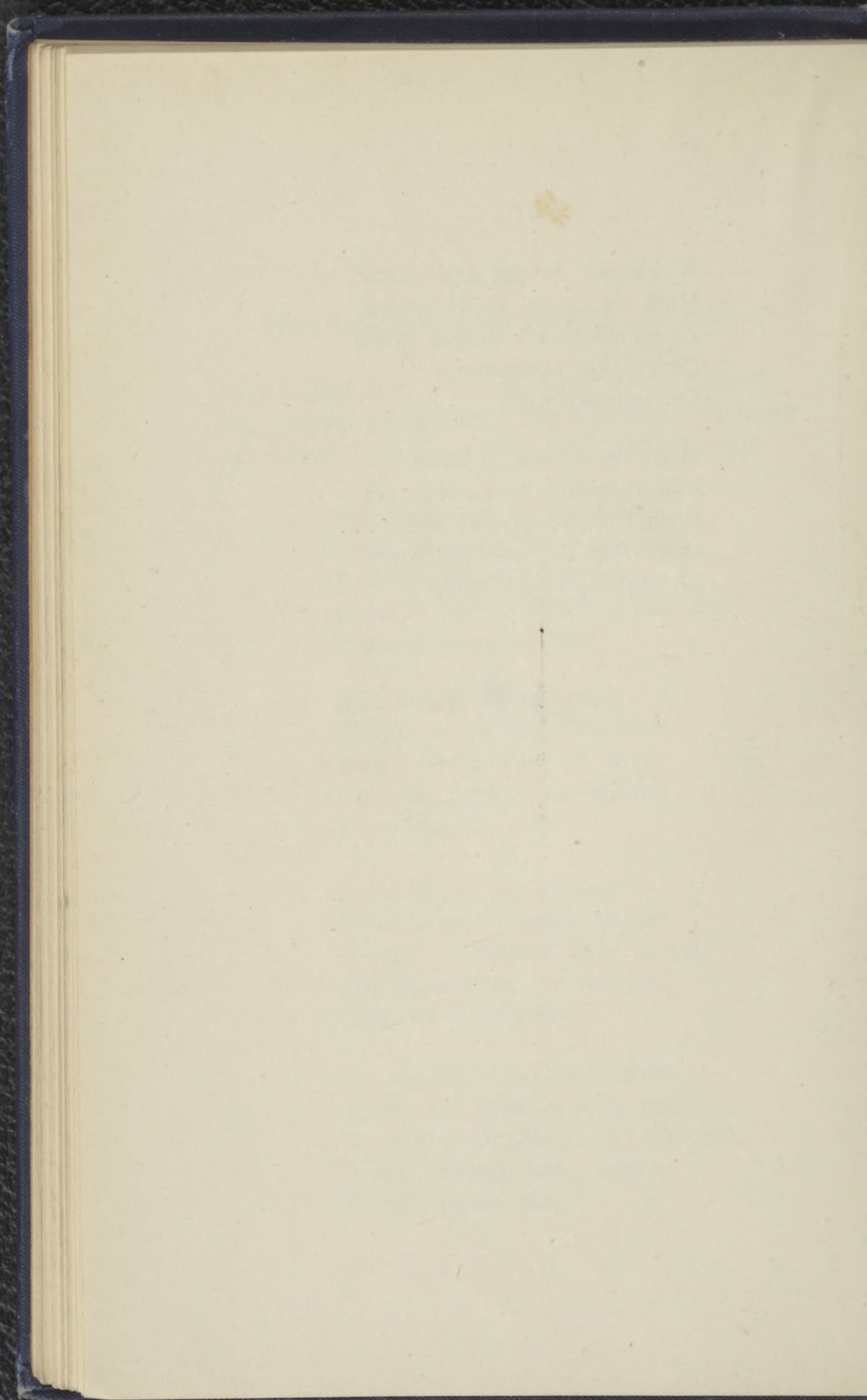
«Pełne blasku zgasto życie,
«Świat je grobu nakrył deską,
«A czas — ziemskie zdjął okrycie;
«Bóg piękniejszą, bo niebieską
«Szatę na cię wdział.

«On cię odział w jasny rąbek
«W pas dał barwnej tęczy prążek.
«Z ramion skrzydła — jak gołąbek,
«A nad główką, jasny krążek,
«W rękę palmę dał.

«W błogiej, świętej dziś postaci,
«Módl się czysta, wniębowzięta,
«Za najmiłym z twoich braci;
«Dusza jego odepchnięta
«Od jasności wrót.

«Módl się za nim, o aniele!
«Jeśli zgrzeszył, to z rozpaczy;
«Kochał wiele, cierpiał wiele! . . .
«Może Pan Bóg mu przebaczy,
«W nagrodę twych cnót.»





II.

1.

Znam loch podziemny, z warownemi mury,
Nad którym wisi półkrągłe sklepienie;
Światło tam gościem, bo oknem u góry
Słabo się dzienne wciskają promienie:
I te się łamią w gęstej okna kracie,
I w brudnej sieci co pająk rozkłada; —
Milczenie — niby w grobowej komnacie; —
Czasem je tylko na chwilę przerywa
Kropla wilgoci, gdy ze sklepień spływa
I na kamienną posadzkę upada.
Za sprzęt w tym lochu, jedno twarde łoże,
Sen, śpiących na niem, nie darzy pokojem,
Ale widziadeł strasznych ściga rojem,
Których dzień nawet rozproszyć nie może.
Gdy cię los popchnie w to miejsce podziemne,
Napis u wnijsćia moc twej duszy złamie,
Straszniejszy — niżli na Dantejskiej bramie
U wchodu piekła — „więzienie tajemne“. —

I tam — jak niegdyś Daniel do lwiej jamy,
Rzucony własnym myśлом na pożarcie,
Nie wiesz, do kogo zwrócić się po wsparcie,
I w koło wodzisz błędnymi oczami;
Bo ci się zdaje, że nawet do Boga
Ciężkim wrzeczędzem zaparta jest droga.

Zamiast, stanąwszy za fatalnym progiem,
Zgiąć umysł hardy, pojednać się z Bogiem,
Przebaczyć ludziom, i swą duszę chorą
Do dalszej walki, ukrzepić — pokorą, —
Ty, dumny, niby w przestępstwie szaleństwa
Zaciskasz pięście i miotasz przekleństwa
Na świat, na ludzi, że ci w jednej chwili
Wszystko wydarli, że cię pozbawili —
Do czego każda istota żyjąca
Ma pełne prawo, — powietrza i słońca.
I w nowym szale myśl ci rozżalona,
Podsuwa dzieje ślepego Samsona,
Pewny, że siłą własnego ramienia
Złamiesz te kraty, skruszysz mur więzienia, —
I znów się spotkasz, z sercem gorejącem,
Z czystszym powietrzem i jaśniejszym słońcem; —
Rwiesz za mur, kraty rozrywasz rękami;
Mur nie ustąpił, ni wrzeczędz, ni krata;
Opadły ręce — i zalany łzami
Rzucasz — przekleństwo i wzgardę dla świata.

Czas — burzę serca, powoli ukoi; —
Gdy się twe oko z ciemnością oswoi,

Nie tak grobowo zdaje ci się cela;
W pająku, szukasz sobie przyjaciela;
Przez starte szyby i w sieci pajęczej,
Światło w kolory rozkłada się tęczy;
Sam widok tęczy, nadzieje twe budzi,
Znowu się sercem nawracasz do ludzi,
I szukasz śladów ich łez, ich niedoli,
I oko twoje dobywa powoli
Ze ścian pomroki, niewyraźne rysy,
Słowa urwane, w pół starte napisy,
Myśli bez ciągu, choć nie bez znaczenia;
W nich odgadujesz uczuć związek bratni,
I że nie pierwszy, ani też ostatni
Idziesz tą drogą krzyżową cierpienia.
Aż mur — jak ciemna pergaminu karta,
Z nieznanej księgi żywota wydarta,
Stanie przed tobą. Zadziwiony pytasz,
Czy to nie własne swoje dzieje czytasz?

2.

„Sam jestem . . . mur więzienia, rdzą osiadła krata,
Odgrodziły mnie całkiem, od ludzi, od świata.
Niedolatując nieba, oderwany z ziemi,
Rzucony jakby w mętne krainy chaosu;
Gdzie w pomoc mi nie przyjdą zmysły, ni dar
[głosu,
Kieruję się uczuciem i myślami memi.

Myśl i uczucie, starczyć muszą za świat cały!
Więc nie sam jestem, w tym żyjących grobie:

Mam całą przeszłość: — gdy przypomnę sobie
Te dźwięki życia co mi w piersi grały;
Mam całą przyszłość: — gdy mam ideały, —
A z ideałów piękniejszy świat zrobię.

Bo na tym starym świecie, tak już wszystko staro;
Pierwszy objaw zachwytu, pierwszą łzę zapału,
Uniesienie — ten poryw młodzieńczego szału,
Odepchną oziębłością, wystudzą złą wiarą,
Skrepują władze ducha, zamachem zbrodniczym,
I zechcą wmówić zimnym rachunkiem rozumu,
Że człowiek, tylko cyfrą liczebnego tłumy,
Lub gorsza, — że człowiek niczem!

Niczem — być może me ciało
Kiedy je dusza porzuci;
Gdy do tych pierwiastków wróci,
Z jakich cudownie powstało.
Ależ dusza! . . . siłą dzielną
Oderwie się z więzów ziemi,
I wzleci skrzydły orlemi
W ten obszar światów bez końca,
Gdzie słońca, słońca i słońca!
Bo dusza jest nieśmiertelną.

Tak! mam ją w sobie, i jak działa, czuję.
Z jej działań myśl się rodzi, rozwija i snuje.
A choć me ciało, moc żelazna trzyma,
Na moje myśli nigdzie kajdan niema.
Bo myśli, żadna ziemską nie zwiąże potęgą!

Szybsza niż piorun, błyska i przelata
Z jednego końca w drugi koniec świata
I tronu Boga dosięga.

3.

Bogu najpierwsze należą się pienia;
Gdy w tym wielkim dniu stworzenia,
Potęgą jednego słowa
Stała światów budowa.
On, dobył je z zamętu, na wrębach osadził,
Z których On tylko kiedyś potrafi je zwalić;
Jednym tchnieniem milijony brył w ten ruch wpro-
[wadził,
W ten ruch, którym się zdają swego Twórcę
[chwalić.
Chcąc godnie pojąć ogół tej harmonii nieba,
Myśli wzniosłej, nie szkiełek astronomów trzeba.

Boże! kiedy samotny, w rozmyślań godzinie,
Myśl moja swoje pióra ku Tobie rozwinie,
Gdy zmysły upadają pod ziemi pomrokiem,
Gdy Twą wielkość ogarniam czystem duszy okiem,
I umysł się w badania bez końca zacieka,
Przed Twoich dzieł ogromem muszę się ukorzyć,
I dziwić, że gdy mogłeś przez miłość świat stwo-
[rzyć,
Poco rzuciłeś piekło do uczuć człowieka?! . . .

4.

Człowiek o władnął ziemię, dumny, niespokojny,

Lichy robaczek, choć w nim iskra Bóztwa świeci,
Sprykrzywszy z sobą, z Bogiem chciał spróbować
[wojny.

Bóg skinął, — i w straszliwej żywiołów zamieci
Znikły ludy, — i góry zatoneły w morzu.
Jedna tylko od Boga wybrana rodzina
Po wód bezbrzeżnych żegluję przestworzu,
I ona zbawia ludzkość — i dzieje poczyną.
Świat znowu się odrodził i ludy powstały;
Ale to były tylko robacze mrowiska,
Żyły, — lecz żyły bez chwały
I ginęły — bez nazwiska.

Świetniejsze cnót i męstwa stawią nam przykłady,
Synowie dawnej Hellady;
Każdy zakąt ich ziemi, ich pomników szczątek,
Każdy odłamek świątyni, kolumny, grobowca,
Dla badacza i wędrowca,
Są dzisiaj światem pamiątek.
Ileż tam widzi męstwa i poświęceń ile? —
Trzystu broni Termopyle
Przeciw nieprzeliczonej nieprzyjaciół sile,
Trzystu legło, w obronie swych praw i wolności.
A ów wąż dzikimi najeżony skały,
Przetrwał ciąg wieków — jako pomnik chwały,
I przejście — do nieśmiertelności. —
Ufny Pers w swych służalców milionowym roju,
Przeraził ziemię — gdy swą potęgę rozwinął,
Marzył, — o świata podboju,
A pod Maratonem — zginął. —

Wstrzęsły się morskie głębiny,
Gdy znów, z nadbrzeży Azyi wionął w mnogie żagle,
Ale jak błysły nagle, tak i znikły nagle,
Po zwycięstwie — Salaminy.

Przecież nie samem męztwem ta ziemia jaśniała,
To promień — oderwany z wielkiego ogniska.
Patrzaj, z jakim zapałem śpieszy Grecya cała
Na Olimpijskie igrzyska.

Tam, pod urokiem piękna, wśród szału zabawy
Jedno czucie góruje, — zdobyć wieniec sławy;
I widzisz, jak w zapasy wstępują atleti,
I słyszysz, jak rumaki niosą wóz do mety,
Bo Grek, w ćwiczeniach ciała, kołysał wiek młody.
Lud, okrzyka zwycięzcę, przysądza wygranę;
Tam: rozum, cnota, męstwo, odbiera nagrody
Przez całą Grecyą przyznane.

Tam, ze źrójów kastalskich, czerpnąwszy nat-
[chnienia

Stają śpiewacy, z lutniami złotemi;
Lud ich otacza, i wśród zachwycenia
Wierzy w pieśń — że wiek złoty powróci do ziemi.
A gdy w narodzie nastrój wojennego tonu,
To rapsod z dziejów Ilionu
Do sławy i do swobód, serca rozpłomienia.

A przy trybunie mówcy, wśród wspaniałych grodów,
Pod pięknem niebem, tam się lud wolny gromadzi,
O szczęściu swych spółbraci, o swym kraju radzi;
To było życie narodów.

Tam, w cieniu drzew rozrosłych, wśród przepychu
[sztuki,
Zbiega się młodzież żądna wiedzy i nauki,
A mędrcy — długich badań rzucają nasiona;
Wszystko przeminie, lecz ich słowa nie przeminą,
Bo nieśmiertelnym blaskiem, nad Grecyi krainą
Zajaśniał — genjusz Platona.

Czyjeż? choćby zastygłe serce, nieroztleje,
Czytając z bronzu lane, dwóch Brutusów dzieje?
Gdzie każdy czyn w olbrzymiej jawi się postaci.
Tu, Kokles jeden tłumy najeźdców odpiera,
Kurcyusz w przepaść się rzuca, by zbawić współ-
[braci, —

I wielki Katon dla prawdy umiera.
Tu, gdzie sława rozkochana
Tylu wodzom wieńce wiła,
Gdzie nawet grób Koryolana
Od zniewagi ocaliła:

Rzym upadł, ale sława ruiny okryła. —

Nieraz, obchodząc te gruzy i łomy,
Stawał przedemną genjusz starej Romy,
I ukazywał — przez jakie to trudy
Karty swych dziejów zdobywają ludy;
Ile to trzeba krajów i miast zburzyć?
By u potomnych na rozgłos zasłużyć.
Ile wiar musi i posągów runąć?
Ażeby ludzkość krok naprzód posunąć.
Ile krwi przelać? — nim prosty krzyż stanie
Śród Kolizeum i na Watykanie.

Czem są Grecyi i Rzymu dzieje, dla młodzieńca
Gdy myśl, ledwo zbudzona, o wielkości marzy?

One tworzą zapaleńca,
W którego łonie, pożar zniszczenia się żarzy.
Radby jak Alcyd, dusić hydry i poczwary,
Jak Sokrates, wypijać trucizny z kielicha,
I nieśmiertelne bogom odebrać nektary.
Do wodzów dawnych jak do braci się uśmiecha,
Chce ich przewyższyć, — a on im zrównać nie
[może. —

I łamiąc przeciwności, po świata obiegu,
Kiedy z wystygłem czuciem, stanie u dni brzegu,
Przeklina życie w jakiej wygnania krainie;
Marzył o sławie, a bez wieści ginie,
Albo więzienne zalega rogoże.

5.

Znowu ludzkości dzieje zmieniają oblicze:
Sypią się z pustyń Azji hordy najezdnicze,
I w gruz się wali świat gnuśny i stary.
Gdzie było światło, gdzie jaśniała cnota,
Tam się rozparły: dzikość i ciemnota;
I naraz znikły — trony, ludy, wiary,
Wszystko znikło, — świat w nową kolebkę rzu-
[cony,
Długie i bez pamiętek miał lata dziecinne,
Nim ziemię znowu w bujne pokrajał zagony,
Nim ziemi prawa nadał i nazwy rodzinne. —

Ażnadszedł wiek młodości, wiosny strojny kwiatem,
Zabrzmiały pienia Bardów, zabłysły orężę,
Z rycerskich zamków, zbrojni wystąpili mężę,
I z młodym, pełnym wiary i zapału światem
Ruszyli w krajach sławy zapisać swe imie.
Krzyż, wiedzie tłumy — pieśń, w boju ośmiela,
Plemię żelazne, walczy o grób Zbawiciela;
I sztandar wiary powiał na Jerozolimie. —

Wiara i miłość — dwa uczucia serca bliźnie,
Gdy z młodzieńczego wytrysną zapału,
Podnoszą ludzkość w kraje ideału.
I duch marzący o lepszej ojczyźnie,
W pielgrzymce ziemskiej, wzniosłe cuda tworzy.
Wieszczów i mistrzów nieśmiertelne dzieła
Tak się zjawiły, — Miłość je natchnęła,
A wykołysał duch Boży. —

Męztwo i miłość — godła rycerza, kochanka:
Dla lubej i dla sławy na kraj świata goni,
Olbrzymom stawia czoło, i niewinność broni;
Dla czego? — dla zdobycia laurowego wianka,
Dla jednego uścisku ukochanej dłoni,

Ach! znikły, znikły niestety
Czyny rycerskich turniejów;
Średnie wieki — gwiazda dziejów,
Dziś już — marzeniem poety.
Składać wawrzyny
U stóp dziewczyny,
Minęło z rycerzy chwałą.

Rozwalin szczątki,
W pieśniach pamiątki,
I nieliczne Arcydzieła,
Które myśl Boża natchnęła:
Wszystko, — co po nich zostało.

6.

Z huraganu młodości, powstał wiek dojrzały
Wziął ku pomocy, proch, magnes i druki,
Zdobyl ziemię i niebo rachunkiem nauki,
I tém tylko ma prawo do świątyni chwały.
Bo chociaż rozum wdarł się do tajników wiary,
Ku niecnym celom nagiął Zbawiciela słowa;
Chciał mieć sam berło ziemi, i wstała budowa
Pełna zdrad i obłudy, i żądry bez miary.
Zbrodnia, co dotąd skrywała się w cieniu,
W płaszcz się odziewszy królewskiej purpury,
Wzięła za godło — rozbój i tortury,
By ludzkość trzymać w wiecznem upodleniu.
Miałże świat uledez tej szatańskiej mocy? . . .
Nie! bo w niej samej jest siła burząca.
Ludy krzyknęły: — ustąpcie ómy nocy! . . .
My także dziećmi światła . . . chcemy słońca! —

Nad brzegami Sekwany powstał naród dzielny,
A krwią ludzką wezbrane popłynęły rzeki,
Wśród mordów i tryumfów wyrosł nieśmiertelny,
Na którego wydanie siliły się wieki.
Ludzkość, opadłe z kajdan wzniosła k'niemu dłonie,
Pewna, że mąż przeznaczeń zamknie starą księgę,

I na wolności ludów oprze swą potęgę.
Sława mu najpiękniejszy wiła laur na skronie;
Lecz ulubieniec szczęścia, w szalonym zapale
Chciał świat objąć rękami od żądy drżącemi,
Chciał zostać Bogiem na ziemi,
Skończył jak człowiek — na skale. —

Odtąd tę Bozką iskrę, cóż w ludach roznieci?
Gdy świat jakby w letargu zapomnienia drzemie,
I traci do wielkości dawne swoje prawa.
Dziś — żadna gwiazda ludzkości nie świeci;
Zaledwie czasem z puszcz nowego świata,
Dalekiem echem dolata,
Waszynktona wielkie imie,
I Kościuszki cicha sława.

7.

Każdy naród w swych dziejach ma ciernie i kwiaty;
Lecz narody jak ludzie, starzeją się z laty,
Nadchodzi wiek zgrzybiały; gdy już śmierci goniec,
Złowrogą przepowiednią odchyli mu koniec,
Radby się pozbyć trawiącej go pleśni,
Ale daremnie — zegar śmierci bije.
Szczęśliwy naród, który sławy nie przeżyje,
A w puściźnie potomkom, zostawi swe pieśni.
Bo pieśń, to żywe słowo: ona nieraz ludzi
Z wiekowego uśpienia, wstrząśnie i obudzi,
Z mgły przeszłości dobędzie pamięć lepszych cza-
[sów,
Zaszumi im harmoniją dzikich puszcz i lasów,

Gór i skał niedostępnych powietrzem owieje,
Majowym deszczem zrosi, i słońcem ogrzeje,
Pól rodzinnych, czarowną otoczy ich wonią.
Aż wszystkie echa hymnem wolności zadzwonią
I naród zmartwychwstanie!

8.

Śpiewałem dzieje świata, zaśpiewam i moje.
Cóż dopatrzę w tej drobnej człowieczej isierce?
Wzburzone namiętności, z sobą niepokoje,
A nie kiedy — czułe serce.
Czułego serca, jakież są dzieje?
Miłość, i miłość bez końca,
Od której serce więdnije,
Jak kwiat, od promienia słońca.
I dlaczegóż być czułym, gdy naokół głązy?
Poco myślą obłądną czcze widziadła gonić,
I wzniosłe tworzyć obrazy? . . .
Poco kochać? . . . i całej ludzkości plemiona
Do czułego garnać łona,
Jeśli nikt na mym grobie nie ma łzy uronić?
Ależ w tej ciągłej uczuć i rozumu wojnie,
Gdy serce wre, i drogi dociekania mąci,
Możnaż ponad przepaścią zasypiać spokojnie
Z tą wróżbą, że namiętność do niej nas nie strąci?
Czy też, wygasić ogień zimnemi rachuby,
Każdą rzecz pierwej cyrklem badania wymierzyć,
Patrząc okiem spokojnym, wśród łez i zaguby,
I żyć z sercem zamkniętym? — o! lepiej pierw nie żyć.
Bo chociaż na obszernej człowieka dziedzinie,

Którą zaległy pokoleń milijony,
Milijonami odbite doleczą się tony,
A żaden w serce twoje harmoniją nie wpłynie, —
Jeżeli czystym ogniem i duszą młodzieńczą,
Ukochasz ludzkość całą i dłońmi silnemi
Pragniesz na chwilę z martwej poderwać ją ziemi,
Choć twych wzniosłych zamiarów ludzie nie
[uwieńczę,
I twoje imię strącą w zapomnienia fale:
Nie zginie praca dla dobra ludzkości,
Gdy płynie z źródeł najczystszej miłości, —
A to, co było kwiatem w ideale,
Może dać owoc — w przyszłości.“ —

9.

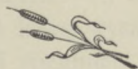
Tu koniec — ale w rogu przeciwległej ściany
Był ustęp, zda się ręką już inną pisany;
Choć oba pisma, związek między sobą miały,
Drugie, nosiło ślady myśli już dojrzałej.

„Szczęśliwy ten, kto w każdej dni swoich godzinie,
Może być w zgodzie z sobą, ze światem i czasem;
Bez przeszkód, w port zbawienia łódź jego zawinie,
Z pomyślnym wiatrem, z niemylnym kompasem,
Uniknie burzy, i skały ominie;
Ani się rozum jego nie obłąka,
Jak owad w sidło zdradzieckie pająka. —

Lecz biada temu, kto przebiegłszy kraniec
Rzeczywistości — w kraj marzenia goni;

Zapomni, że on tej ziemi mieszkaniec,
I tchem owiany czarodziejskiej woni,
Na idealny puszcza się manowiec,
Tworzy istoty, odziewa je w szaty
Własnej fantazyi, uczuć i miłości;
Nie te, — któremi Bóg zaludnił światy,
Rozumne — ale z ogniem namiętności. —

Tak wśród piaszczystej pustyni wędrowiec
Spalony słońcem, dręczony pragnieniem,
Wzdycha za źródłem, za oazy cieniem; —
W tém, naraz oku, przez tumany mgliste,
Błysną jeziora, i palmy cieniste;
Cudowna ustroń, tak już niedaleka!
On zdwaja biegu, a ona ucieka. —
Już blisko! . . . nagle złudny obraz ginie,
A on się w dziksze pogrąża pustynie,
Gdzie z nim przepadnie, wśród grobowej cieśni,
Świat jego marzeń, i świat jego pieśni.“



Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page. The text is arranged in several paragraphs, but the characters are too light and blurry to transcribe accurately.

III.

1.

Mrok — z poranku znikł uśmiechem,
Ogniem płoną krople rosy,
W tém — odbite setném echem
Psów i strzelców słychać głosy:
Hop, hop; hop, hop; hop, hop;
Na obszarach głuchéj ciszy
Zwierz się zbudził — i zadumiał,
Bo tej piosnki którą słyży,
Ani słyżał, ni rozumiał.
Szum, trzask, wrzawa, psów szczekanie,
Huk wystrzałów, trąbek granie,
I śród zgiełku — zamięszane
Dzikiej pieśni dzikszé tony,
I znów w jeden akord złane,
W jeden obraz ożywiony,
W jeden okrzyk: „Polowanie!“ —

Héj myśliwcze! serce twoje
Nigdyż ciebie nie obwini? . . .
Że z uśmiechem wśród pustyni
Z płochym zwierzem staczasz boje? . . .
Może dowieść chcesz rozumem,
Że ta wrzawa wnet zagłuszy
Inne czucia, które tłumem
Wówczas cisną się do duszy! —

Ej myśliwcze! . . . rzuć mozoły,
Chwile szczęścia krótko świecą;
Myśli młode — to sokoły,
Puść je — niechaj wolne lecą;
Kilka piórek im potrzeba,
By się unieść aż pod nieba; —
I oderwać od trosk ziemi; . . .
Bądź wesoły, z wesołemi;
Słyszysz! . . . trąbka szumi w lesie,
Grzmią wystrzały! . . . bój wydany,
I zwycięstwa okrzyk znany,
Echo wtórzając w stępy niesie;
Na ho ho; na ho ho; na ho ho;
Trąbka, strzały, strzelców krzyki,
Las, przepaście, nagie góry,
Odgłos dziki — obraz dziki —
I zabawy i natury. —

2.

Daléj, daléj, coraz daléj,
Huk i wrzawa w szmér się zmienia;

Psy i strzelcy w ślad jelenia
W las się głuchy rozsypali,
I już ucho ledwie słyszy,
Jak głos trąbki oddalonej
Słabnie — głuchnie — i wśród ciszy
Swe ostatnie gubi tony.
Zmilkło, — tylko słysząc czasem
Jak spłoszony z swej ustroni
Kruk, nad ciemnym krąży lasem,
I grobową pieśnią dzwoni;
Zmilkło; — i znów strome skały,
Las, przepaście, nagie góry
Na lat wiele zadrzemały
Nieprzespanym snem natury. —

3.

W miejscu odludném, na góry urwisku,
Które cud wspierał nad topielą wody,
Podobny nocy błędnemu zjawisku,
Na strzelbie wsparty dumał strzelec młody.
Sam — w swém uczuciu i natury ciszy,
Szukał ochrony od zgiełku i wrzawy;
Bo się oderwał z grona towarzyszy,
I nie chciał dzielić myśliwskiej zabawy.
Przed nim kraj piękny, na którym spoczywa
Myśl jego tęskna i smętna żrenica;
Ach! bo czarowną była okolica,
Co mu się w prawo i w lewo odkrywa.

4.

Pod nogą, przepaść, na której brzeg stromy
Wzburzona rzeka mętne fale ciska;
A nad przepaścią — jak olbrzymów domy
W dziwnych kształtach sterczą gór urwiska.
I na widnokrąg, półwieńcem rzucona
Nadbrzeżna ściana zniża się i ginie;
I widać rzekę — jak w biegu skręcona,
Nadaje życie spokojnej dolinie.
W głębi doliny, którą wiosny tchnienie,
Śród pieszczot, stroi w różnobarwne szaty,
Widać gdzieś rozrzucone chaty —
Spokojnych ludzi — spokojne schronienie;
Dalej, las ciemny, nad nim góra spływa,
A czoło góry znowu las odzięwa.
Lasy i góry, mieszają się, bledną,
To się rozchodzą, to znów w oddaleniu
W nierozróżnioną jakąś całość jedną
Zlękają kształty, to nikną w mgły cieniu,
To znów na chwilę, jak błędne obłoki
Zmieniając światło, zmieniają widoki;
A tak daleką już jest ta kraina,
A tak wzrok słaby człowieka źrenicy,
Że dojsć nie może tej wietrznej granicy,
Gdzie się las kończy, a niebo poczyna. —

5.

Dla czegoż człowiek w skarbach przyrodzenia
Nie szuka szczęścia, które mu tam świeci;
Dlaczegoż z chęcią niewstrzymaną leci
W nieistniejący, jakiś kraj złudzenia.

Z łona natury, jak zepsute dziecko,
Jako ofiara wyobrażeń mętnych,
Ślepo się rzuca, by błędzić po świecie
Nieznanych wrażeń i uczuć namiętnych;
I młody strzelec próżno w okolice
Puszcza myśl swoją i tęskną źrenicę;
On jej nie widzi, jej wdzięków nie czuje,
On się innemi obrazy zajmuje.
Bo jego myśli, w lepszych światach giną,
Bo jego oko, inną przestrzeń mierza,
Bo dusza, goniąc za wspomnień krainą,
W uśpione struny przeszłości uderza. —

6.

Na łące — z pod trawki, z gniazdeczka,
Wyleciał skowronek do góry;
Zanucił — a w całej przestrzeni,
Od ziemi do niebios sklepieni,
Zabrzmiała ta czysta piosneczka,
Najrańsza w harmonii natury.
I długo się ptaszek chwiał nad ziemią wzbity,
Jak gdyby za piórka do niebios przybity,
I długo pieśń nucił — i tony srebrnemi
Śpiew wznosił i zniżał — to kwilił, to gruchał —
I umilkł — Bóg może go słuchał,
Bo któż go miał słuchać na ziemi? —

7.

Jeżeliś lubił, zająć się widokiem
Pograżonego w dumaniach człowieka,

Jeżeliś kiedy badającym wzrokiem
Śledził twarz jego — gdy myślą ucieka
W labirynt życia — w przeszłości wspomnienia;
Jeżeliś badał te drobne odcienia
Szczęścia, rozkoszy, smutku i katuszy,
Na chwilę tylko z nieprzejrzanych ciemnic
Na jaw dobyte i znów pogrążone;
O! mógłbyś wtenczas w tem zwierciadle duszy
Kiedy są wszystkie czucia w grę wprawione,
Odgadnąć częśćkę najskrytszych tajemnic; —
I młodym strzelcem ileż wspomnień miota? —
Zamknięty w sobie — w swych uczuć głębinie,
Roztrząsa dzieje całego żywota,
I znów je przeżyć w jednej chce godzinie; —
A w twarzy jego ileż widać wrażeń
Szybkich i zmiennych — jak pasmo wydarzeń
Od chwili, w której myślą zaczął władać.
To lekki uśmiech przez lice przeleci,
To je ożywi pamiętką wesołą,
To mu się chmury zgromadzą na czoło,
Które się zdają burzę zapowiadać;
To wśród nich, promień nadziei zaświeci,
To znów — twarz wyraz nieznany przybiera:
Znów się na czole nowa burza zbiera,
W oku się jakiś dziki zapał żarzy;
A z ust zaciętych i z muskułów drżenia
Z rysów okropnych mieniającej się twarzy,
Możesz wyczytać straszną myśl — zniszczenia. —
To spojrzy w przepaść — gorzko się zaśmieje,
Z dziką radością na jej dno pogląda,

To, potem widać, jak wspomnieć coś żąda,
Bo patrzy w niebo, a z oczu łąza płynie;
Spojrzy, pociągnie okiem po dolinie,
A w oku jego znów widać nadzieję.
Lubym obrazem myśl wzburzoną koi,
A potem nagle zamyka się w sobie,
I w tej pozornej nieczułości — stoi
Nieporuszony — jak posąg na grobie.
Lecz gdybyś wówczas, gdy wszystko milczące,
Nie uwiedziony tym stanem spoczynienia,
Zdołał rozjaśnić te uczucia wrzące,
Których moc żadna w człeku nie przygłuszy,
Widziałbyś — całą walkę jego duszy,
I tę okropną chwilę — przesilenia. —

8.

Cisza!

Tylko w łonie chmur

Słyszać szumy piór, . . .

Może orła, co się pławi?

Nie! . . . to ciągnie pułk żurawi,

W błękitną dal omglonych gór.

Na niebie cicho — na ziemi jeszcze

Słyszać jak wietrzyk po kwiatach muśnie;

Jak konik polny w trawce szeleszcze,

Jak srebrna rybka nad wodę pluśnie.

Cisza!

Głuchnie szmér i brzęk! . . .

Tak za dźwiękiem dźwięk

Utraca lutni struna pęknięta,

Tak niknie gwiazda z niebios zepchnięta.
W milionie iskier, bryzgów i wstęg.
I uroczysta nastąpi chwila,
I świat w tak głuchą utonął ciszę,
Że mógłbyś słyszeć szelest motyla
Co się na dzwonekach kwiatów kołysze.

9.

O! samotności! — śród twojego łona,
Człowiek nieszczęścia stawszy się zdobywcą,
Szuka pociechy — a ty, jak mamona,
W łudzące sidła zwabiwszy go zdradnie,
Stawiasz mu puchar zaprawny słodyczą,
W którym trucizna znajduje się na dnie. —
Twój nektar, żądze uśpione poduszcza,
Wskrzesza pamiętki — a człowiek tak słaby,
Że w nieskończoność myśli się zapuszcza,
I w najzgubniejszej, znajduje powaby.
Tak młody strzelec, w najrańsze swe lata
Już zwijał pasmo z samych nieszczęść snute,
Już czuł pogardę dla ludzi i świata.
Ale samotność, która go zwabiła
W ostatniej chwili — zgubniejszą dlań była,
Niż całe życie cierpieniem zatrute.
Miłe wspomnienia słodkich chwil dziecięcia,
Kiedy się z pączka w pełny kwiat rozwijał;
Rozkoszą tchnące miłosne zakłęcia,
Których dźwięk niegdyś w sercu się odbijał;
I te ustępy z młodzieńca żywota,
Pełne zapału i ognistych wrażeń

Gdzie piękność, sława, ojczyzna i cnota
Wznosiły w kraje nadzmysłowe, marzeń, —
Już się dla niego w jeden ton zmieniły,
W jedno pragnienie, spokojnej mogiły! . . .
I z tą się myślą pojednał, oswoił,
W niej nawet rozkosz znajdował tajemną —
Rozkosz! tak dziką, tak krwawą, tak ciemną
Jak ta fantazyja, w której ją uroił. —

10.

Hop, hop; hop, hop; hop, hop;
Głos się rozległ po obszarach,
Głos się odbił w głuchym lesie,
I po skałach i po jarach,
Echo wtórząc — odezwo niesie,
Hop, hop; hop, hop; hop, hop.
Słońce na dół głowę zniża,
I w drzemiącej fali — tonie;
Na zachodzie zorza płonie,
A od wschodu noc się zbliża,
Poprzedzana mgłą wieczoru.
Trąbka daje hasło zbioru —
Trąbki tony, w stepach giną . . .
A wesołe strzelców grono
Z bronią na dół opuszczoną,
Z tłumną psiarnią i zwierzyną,
Prawiącienne swe przygody,
Śród okrzyku, śmiechu, drwinek,
Wraca zwolna do zagrody,
Na wzmocnienie i spoczynek. —

11.

Niedługo wrzawa ucichła wesoła,
Jednego strzelca zabrakło do koła.
Musiał się zbłąkać! . . . trzeba dać sygnały! . . .
Padł strzał po strzale, trąbki się ozwały.
Noc taka cicha, głos leci daleko,
Choćby się został wśród jarów nad rzeką
Przecież posłyszysz! — Każdy pilnie śledzi,
Lecz z kniej i jarów żadnej odpowiedzi.
Znowu grzmia trąbki, strzał po strzale pada
Lecz tylko z puszczy echo odpowiada.
Młodzieńca nie ma! . . . każdy się zasmucił,
Wszyscy wrócili, on jeden nie wrócił. —



IV.

1.

Dawno jak słońce zaszło, i pogasty zorza.
Księżyc błędząc samotny, jak okręt wśród morza,
Wypływał na błękitu iskrzące się fale,
I odbijał twarz bladą w cichych wód kryształe.
Ucichła wrzawa ludzi, — zmiłkły ptasząt pienia,
Tylko słysząc w dolinie mruczenie strumienia,
Tylko słysząc szmer liści, gdy w nie zefir trąci,
I gałązkę, gdy spadnie i źródło zamąci.
Śród skał, na których czole kilka jodeł rośnie,
Gdzie księżyc wśród gałęzi wciska się ukośnie,
Gdzie pośród niepłodnego natury manowca,
Rzadko zabłądzi droga strzelca lub wędrowca,
Błysnął płomień, — huk strzału odbił się o skały,
Echa go, dwakroć sobie wzięły i oddały;
Nastąpił jęk skonania — okropny, niemiły,
Echa go powtarzając straszniejszym zrobiły.
Umilkło — tylko w dali nocną maci ciszę
Zdrój w dolinie i wietrzyk, co listkiem kołysze.

2.

Błysł poranek, chór ptasząt pierwsze wzniósł
[odgłosy,
Wstało słońce i w kropłach przegląda się rosy;
Każda kropla błyszcząca, tysiącem farb świeci,
Nim w słonecznym promieniu do niebios uleci.
Każdy kwiat tchnie balsamem z wonnego kielicha,
Ziemia się do kochanka — do słońca uśmiecha.
Nie każdy się tym cudnym pocieszał widokiem,
Jeden go czuć nie umiał — przed innego wzrokiem
Znikł na długo — na wieki. . . Ach spojrzij w dolinę
Gdzie wystrzał wybił życia ostatnią godzinę,
Gdzie trafem czy umyślnie zebrał się tłum ludzi
Nad tym, co się już nigdy dla świata nie zbudzi. —

3.

Nad brzegami strumienia w skrwawionej odzieży
Nieznanego młodzieńca martwe ciało leży;
Luby wiek, który pierwsze ideały marzy,
Już zaledwie rozpoznać można z szczątków twarzy —
Wystrzał zgruchotał szczękę i wysadził oko,
Rozbił czaszkę, krew z mózgiem rozrzucił szeroko;
Lecz w zeszeconem licu widać zgrozy piętno,
I ten uśmiech rozpaczy; — który myśl namiętą
Na własne dni skierował — i to przeświadczenie,
Że go już żadne ziemi nie dotknie cierpienie.
Słońce z za gór zwiedzając dziką okolicę,
Spotkało wpół otwartą zmarłego źrenicę;
Próżno słońce blask złoty w jej błękit rzuciło, —
Padł promień — zgasłe oko już go nie odbiło. —

4.

Przy zmarłym leżał papier w połowie krwią zlany,
Nieznajomym językiem dla tłumu pisany;
Obok, obraz kobiety, w której boskie lica
Patrzył się raz ostatni przy blasku księżyca.
Dalej broń rozerwana, a której użycie
Świadczyło, że się targnął na własne swe życie. —

5.

Jakże dziwaczne zdania rozległy się w tłumie;
Ten przyczynę w zbłąkanym chce znaleźć rozumie;
Ów w słabości umysłu; inny w braku wiary;
Ten w zasadach fałszywych szerzonych bez kary;
Inny odmawia ziemskiej ostatniej posługi;
Głupiém rozumowaniem lituje się drugi.
Inny znów, którym miota zabobonność wściekła
Duszę na wieczne męki posyła do piekła.
Jeden tylko uczuciom nie umiał się bronić,
Nie wahał się nad zgasłym cichej łyzy uronić;
Czy znał go? . . . nie! on tylko umiał czuć niedolę
I on także w nieszczęścia wychował się szkole.
On, także cierpkie życia przechodził koleje,
I wiedział czém jest człowiek — gdy straci nadzieję.

6.

Tłum się rozbiegł nie czując smutku, ni wesela,
Ciekawość go skupiła — nieczułość, rozdziela;
Pozostał jeden człowiek, i ten, ręką bratnią

Nieszczęśliwemu oddał przysługę ostatnią;
Lecz kiedy garść ostatnią ziemi na grób rzucił,
Westchnął i hymn pogrzebu w tych słowach zanucił:

„Tyś się bracie zląkł podróży
Nie chciał piersią łamać burzy. . .
Nie śmiał trudem, pracą, znojem,
W zastęp błędów iść przebojem;
Chciałeś ciszy! . . . śpij w pokoju
W drzew tych cieniu, przy tym zdroju.
Tu cię ludzka złość nie trąci,
Świat, spoczynku nie zamąci. . .
Pokój tobie! bo nikt z ludzi
Ze snu śmierci nie obudzi;
Chyba trąba Archanioła,
Na sąd Boga cię powoła“.

„Maj ustroi kwiatem ziemię,
Nowe ludzkie wstanie plemię,
Z nową myślą, z nową siłą. . .
Żądza reform olśni głowy,
Zdolne burzyć to co było,
A niezdolne do budowy.
Bo dzień wielki jest daleki,
Gdy się ludzkiej wiedzy rzeki
Do idei czystej spłyną;
Tej — że ludzkość jest rodziną,
Gdy ją spoją węzłem zgody,
Wiara, światło, i swobody“.

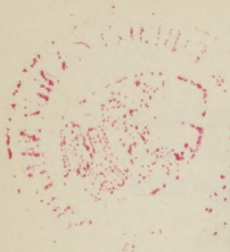
7.

Jak z rozbicia okrętu ocalone szczątki
Tak po skonie młodzieńca zostały pamiątki:
Piosneczka i obrazek. Tak, to wszystko było,
Co go w ciernistém życiu — do życia wabiło.
To powieść jego uczuć — jego serca dzieje,
To życie, które lada marny wiatr rozwieje;
To myśli, które pierwszą nić młodości przędły,
To marzenia, co kwitły, lecz rychło uwiędły. —

8.

Gdzie są me lata dziecinne?
Moje ptaszki, moje kwiatki,
Roje uciech, sny niewinne,
Świat w objęciach czułej matki?
Bez tęsknoty dni tak wiele,
Łza i uśmiech naprzemiany;
Kochający i kochany;
Gdzież ciche moje wesele? . . .
Gdzież są me lata dziecinne? . . . —

Gdzież jesteś wieku mój młody? . . .
Myśli pierwsza w świat rzucona,
W świat złudzenia i przygody;
Gdzież ogień wrzącego łona? . . .
Wzniosłych uczuć pierwsze chwile
Cnoty, sławy i przyjaźni?
Gdzież sny mojej wyobraźni,
A z niemi nadziei tyle?
Gdzież jesteś wieku mój młody? —



Gdzież miłość i jej słodycze? . . .
Z róż i myrtów zwite wianki;
I rozkosze tak zwodnicze?
Gdzież serce mojej kochanki? . . .
Pierwsza łezka, rąk ściśnienie,
I te lube niepokoje,
I to Boskie zachwycenie;
Ach! gdzież są uczucia moje?
Gdzież miłość i jej słodycze? . . .
Gdzież sława? . . .

9.

Pieśni dalej nie było, koniec był zniszczony,
Tylko jaśniej z pod krwawej przebijał zasłony
Jeden wyraz — „wygnanie“. — On zdaje się razem
Był ostatnim i pieśni i życia wyrazem.
Sława . . . wygnanie . . . życia dwie różne koleje,
Których żadna harmonija w jeden ton nie zleje.
Dwa wypadki tak sprzeczne, zbliżone w potrzebie,
Dwie myśli niebem całém odległe od siebie.
Nieznajomy to pojął, rozśmiał się z goryczą,
Widać i on przebywał tę drogę zwodniczą;
Tę drogę — która ciernie kwiatami przysłania.

10.

W niewielkim i w ozdoby ubogim obrazku,
Była postać kobiety w całym wdzięków blasku;
Na ustach błądził uśmiech i powab pieszczoty,



Na ramiona spadały kruczych włosów sploty,
Na licach kwitła róża, a w całym uroku
Odbijał błękit niebios, w najpiękniejszym oku,
Ona, zdaje się była miłém snu zjawieniem,
Pierwszém uczuciem w życiu i pierwszém wra-
[żeniem,

Oślodą i ozdobą splecionego wieńca,
Z niewielu dni szczęśliwych zgasłego młodzieńca.
Ona, była mu gwiazdą na obłądném morzu,
Jej promień mu przyświecał na życia łezdrożu,
Jej obrazem dalekie ożywiał pustynie,
Do niej wznosił myśl ostatnią w ostatniej godzinie;
I gdy świat sobie tworzył w miłości iskierce,
Dla czego krwi kropelka padła na jej serce? . . .
Onaż przyczyną zguby? . . . nie, to być nie może:
Bóg nie mógł wad zostawić w tak cudnym
[utworze.

Ale pewniej, ta postać anielska kobiety,
Nie była dziełem ziemi ale snem poety,
Potrzebą duszy, pięknym życia ideałem,
Myślą wydartą niebu młodzieńczym zapałem;
On, jak drugi Pigmalion z natury powicia
Dobył piękność — ukochał — lecz nie mógł
[włać życia.

I szukał własnej zguby, — tak . . . to trafu siła,
Krwii kropelę w chwili skonu na obraz rzuciła.

11.

To wszystko, co zostało z młodzieńca pamiętek.
Lecz dla czego wznosił rękę na dni swoich wątek,

Czy obłąkaniem tknięty, czy siłą rozpaczy? . . .
Tego pewnie z śmiertelnych nikt nie wytlómaczy. —
„Być, lub nie być“ *) — rozwiązał to trudne pytanie,
Bóg i świat go potępi — a jednakże na nie
Któż z pewnością odpowie? . . . Czy lepiej dla człeka,
Wisieć ponad przepaścią, w której śmierć go czeka,
Patrzeć na jej okropność, trwożyć się i smucić,
I nie módz się z niej dobyć i nie śmieć w nią rzucić?
Czy lepiej? w przepaść skoczyć i skończyć cierpienie?
Tak; ależ głos wewnętrzny, to straszne sumienie,
Ta myśl wlepiona w umysł od chwili powicia,
Wstrzymuje dłoń zabójczą od własnego życia.

12.

Czas w biegu wszystko niszczy, ludzkości plemiona,
Ziemia, jak czuła matka przytuła do łona;
Na grobie dawnych nowe wstają pokolenia.
Ledwo szczątki wydarte z nocy zapomnienia,
Odłamki dzikiej zbrodni, albo dzikszej sławy,
Dzieje otrząsać muszą ze rdzy i kurzawy.
Któż wspomni o młodzieńcu, który zgasł nieznany,
Daleko od stron lubych, w których był kochany?
Któż wspomni o młodzieńcu, nad którym w tę chwilę
Wiatr szumi, i potrząsa trawą na mogile?
Nikt zapewne, — on cicho przeżył młode lata,
Mało zrobił dla siebie, mniej jeszcze dla świata.
Miał myśli, te się jeszcze z obsłon nie wyprzedły,
Ledwie w pąk zawiązane, zeschły i uwiędły.
Ale nie miał tej twórczej, której skrzydłem wzbity,

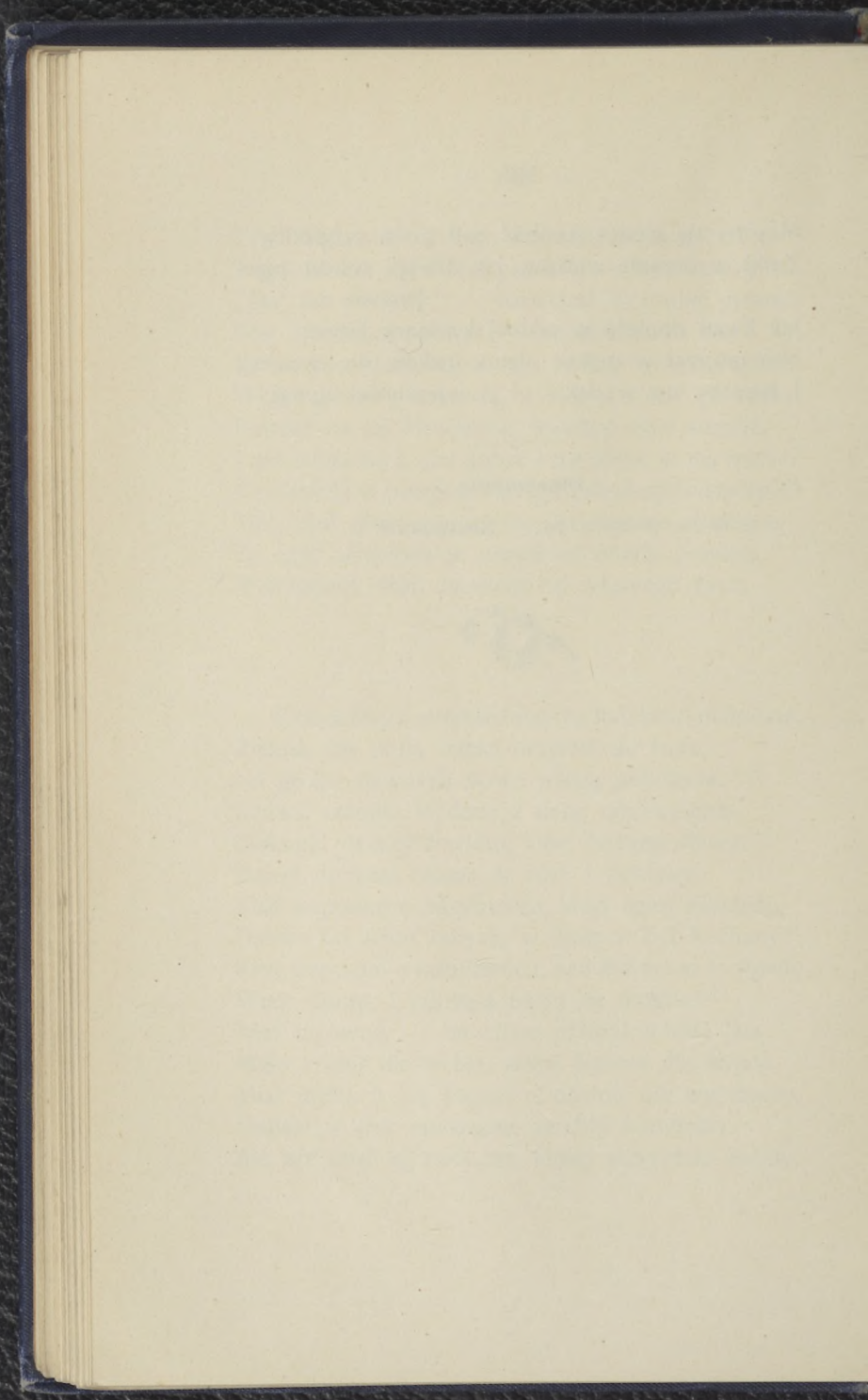
Mógłby się kiedyś wynieść nad gmin pospolity.
Znikł w oceanie wieków, jak dźwięk wśród prze-
[strzeni,

Jak kwiat dopiero w późnej kwitnący jesieni;
Nie spojrzął w piękne niebo, listków nie rozwinął
I zapachu nie wydał — i w wieczności zginął.

Objaśnienie.

*) To be, or not to be. — *Shakespeare.*





STERN

1878



WSTĘP.

„Aby pojąć śpiewaka, trzeba zwiedzić kraj jego pieśni,“ powiedział Schiller.

Wprowadzając czytelnika w świat zupełnie dlań obcy, tysiącami mil odległy, powierzchnią swoją, kolosalną przyrodą, nieledwie niebem, tak różny od codziennego widzianego, który, pomimo licznych prac i badań najnowszych orientalistów, dotąd jeszcze dokładnie zbadanym i poznanym nie został, nie uważam za zbyt cennym, krótkim wstępem poemat mój poprzedzić.

Nie góry Uralskie, ani rzeka Wołga stanowią konieczną granicę pomiędzy Azyą i Europą, ale typ odmienny ludów, jedną i drugą część świata zamieszkujących. Religia, a następnie z niej wyro-

biona cywilizacya jest głównym punktem wyjścia tych różnic. Dwie idee główne, jakkolwiek w niektórych szczegółach do siebie zbliżone, a w ostatecznych rezultatach całkiem odmienne, przyświecają dwom tym cywilizacyom, to jest: Chrystjanizm i Brahminizm. W pierwszej: ruch, postęp, udoskonalenie; w drugiej: bezwładność, strupieszliwość i skończoność. Niegdyś Azya cywilizowała Europę; później jej hordy jak chmury szarańczy, nalatując na Europę jej posadami wstrząsały — dziś cywilizacya Europy dwoma olbrzymiemi ramionami: Rosyą od północy, Anglią od południa, obejmuje i oddziaływa na cywilizacyą Azyi i do swoich ją form nagina. Czy cywilizacya Azyi oprze się tym potężnym działaniom, czy znajdzie dość sił żywotnych w samej sobie, aby się w inną, zgodniejszą z pojęciami ludzkości przerodzić i wysnuć ją z siebie samej, czy też ostatecznie przyjmie formy i rozwój chrześcijański, to jest zadanie przyszłości i dzieło wieków następnych.

Islamizm, na pograniczu dwóch tych idei stojący, który z jednej strony wiele pierwiastków chrześcijańskich przyjął do swéj nauki, a z drugiej strony wciągnął w siebie barwy i bezwładność wschodu, uważać należy jako ideę przejścia, która prędzej czy później z ideami wschodu lub zachodu złąć i połączyć się musi. Jaki będzie ostateczny wyraz téj walki dwóch cywilizacyi — niewiadomo; ja w prostocie ducha wolę wierzyć słowom ewangelii: że przyjdzie kiedyś czas, gdzie będzie tylko jeden pasterz i jedna owczarnia.

Nie o całej Azji mam zamiar tu mówić, ale o małej części tego lądu, a przecież obszernością wyrównywającej Niemcom i Francji razem wziętym.

W środkowej Azji, pomiędzy Rosją i Chinami, posuwając się ku południowi aż do 42-go stopnia szerokości geograficznej, jest kraj rozległy, znany pospolicie pod imieniem: *Tartaryi niepodległej*.

Dwa łańcuchy gór: na wschodzie *Attajski*, na zachodzie *Uralski*, stanowiące naturalne kraju tego granice, licznymi odnogami w jego środek zstępują i formują mniej więcej wyniosłe pasma, z jednym lub z drugim górnym wiążące się systematem.

Kraj ten, niczym niepodobny do któregokolwiek z krajów europejskich; południową jego część zalegają piaszczyste pustynie, *Karakum i Kizil-kum*, w języku ludu: „*głodnym stepem*“ zwane. Środkowa, począwszy od morza Kaspijskiego, aż do jeziora Bałcharz, jest nieprzerwanym ciągiem jezior słonych, lub gorzko-słonnych, z których większe, na wzór morza, pochłaniają w siebie rzeki i rzeczki w różnym kierunku płynące; mniejsze, w części lub całości zarosłe sitowiem, stanowią jakby zielone oazy wśród piaszczystych pustyni i bezpłodnych słończaków, i to naprowadziło badaczy przyrodzenia na domysł, że cała ta przestrzeń była niegdyś dnem jednego, rozległego Oceanu. Nareszcie część północna, bogatsza w wegetacją, zroszona rzekami na północ płynącymi, w równe, okiem nieprzejrzone rozwija się stepy.

Kraj w ogóle biedny, bezwodny, bezleśny,

wystawiony na najsrozsze zmiany temperatury, gdzie zimą, obok trzydziesto-stopniowych mrozów huraganu śnieżne, od końca do końca zamęczają cały ten obszar, gdzie latem przy pięćdziesiąt-stopniowym upale, ziemia rozpęka w głębokie rozpadliny, w których gad i ptastwo szuka przed skwarem schronienia.

Kraj ten, pomimo ruin rozproszonych wśród obszarów i świadczących, że był niegdyś przez ludy więcej ucywilizowane osiadły, obecnie żadnych stałych siedlisk nie posiada, bo zamieszkały jest przez Kirgizów, naród wędrowny, koczowniczy, pasterski, naród silny, zdrowy, rozrosły, wytrwały na trudy, ale nieokrzesany, barbarzyński i w pół dziki.

Historja nie wysłedziła dotąd początku Kirgizów; zdaje się przecież, że są odroślą jednego z tych licznych plemion Azji środkowej, które w wieku XIII-ym naszej ery, siłą czy dobrowolnie dostawszy się pod władzę Czyngis-Hana, zawojowały z nim całą Azją, i zapuściły swoje zagony aż w środek Europy, pod ogólném nazwiskiem Mongolów.

Po rozpadnięciu się państwa Czyngis-Hana, którego pamięć do dziś dnia przechowuje się pomiędzy starszyzną kirgizką, a szczególnie też, po rozproszeniu się Złotej hordy, występują Kirgizy jako naród samoistny, niepodległy, wyznający religię Machometa.

Naród ten wybiera sobie hanów, dzieli się na hordy: wielką, średnią i małą. Te hordy dzielą się na rody, zawiadywane przez starszych, to jest: sultanów

i bejów z pomiędzy siebie wybranych, a żyjących w ustawicznej wojnie z swoimi sąsiadami, w ciągłych walkach i nieporozumieniach pomiędzy sobą.

Z ich kilkowiekowej historii, żadnym pomnikiem piśmiennym nie uwiecznionej, zaledwie kilka imion występuje, których pamięć w obcych historyach lub w podaniach dotrwała, to jest: Arstan-Hana, jednego z najpotężniejszych władców kirgizkich, który mógł 400,000 wojska wyprowadzić do boju, jak o tém świadczy padyszach Baber, założyciel państwa Wielkiego Mogoła w Indyi. Hana-Irzyma, któren w połowie siedmnastego wieku, przy pomocy Chińczyków, pobił i wytępił cały naród Ziungarów, należących do plemienia mongolskiego. Nareszcie Hana-Tiawka, prawodawcy tych plemion koczowniczych.

Han-Tiawko był wnukiem Iszyma i chociaż nie miał zupełnej władzy nad swoim narodem, przecież rozumem, sprawiedliwością i sztuką dokazał tyle, że pozyskał wpływ na hordy kirgizkie, że wstrzymał od krwawych zatargów zawzięte pomiędzy sobą plemiona, że słabsze rody połączył w jeden, aby się mogły łatwiej obronić mocniejszym, mocniejsze siłą upokorzył, nareszcie dał prawa, podług których wymierzał im sprawiedliwość. Szkoda tylko, że ze śmiercią Tiawki, wszelkie jego postanowienia poszły w zapomnienie.

Dopiero w połowie zeszłego wieku, przez wzmagającą się potęgę Rosyi, zagrożone od północy utratą stepów, jedynego bogactwa dla ich pasterskiego

bytu, od południa ściśnieni w swych wymianach handlowych przez silniej uorganizowane państwa turkestańskie, nareszcie potrzeba szukania opieki słabszych plemion od przemocy mocniejszych i osobiste widoki niektórych zwierzchników sprawiły: że Kirgizy uznali się za poddanych okrążających ich narodów; mała tylko część i to głębiej w kraju koczująca, znajoma pod nazwiskiem: *Dnibo-Kamiennych Kirgizów*, dawną swą niezawisłość zachowała.

Wprawdzie to poddaństwo było dotąd więcej pozorne niż rzeczywiste. Życie nieosiadłe, rozległa przestrzeń kraju, brak siły, któraby wszystkie plemiona w równej zawisłości utrzymała, są powodem, że nie tylko pojedynczy, ale całe plemiona, wymykają się z pod poddaństwa jednego kraju, aby żyć niezawisłe w jakim zakątku obszerniej swęj ojczyzny, lub też chwilowo inną dzierżawę przyjąć poddaństwo.

Kirgizy, jako naród na najniższym dopiero stopniu cywilizacji stojący, mają wszystkie wady ludów, które się z dzikości nie otrzęsły; są chciwi, nieszanujący cudzej własności, niedotrzymujący słowa, mianowicie innowiercom, leniwi, w zemście okrutni; za to: gościnni, miłosierni dla biednych, odważni, niekiedy do zuchwalstwa, przywiązani do swego pustynnego kraju i przekładający życie biedne, koczownicze, pełne trudów, nad wszelkie rozkosze i przyjemności osiadłego żywota.

Charakterystycznym jednak rysem ich obyczajów jest: „*baranta*“ to jest, nocne pochwycenie jeden drugiemu, całych stad i tabunów koni. *Baranta*

początkowo miała pozór pewnej zemsty legalnej, zastępowała brak ustaw i sprawiedliwości, następowała za wyrokiem sędziów czyli starszych i to tylko w tym razie, gdy winowajca odmówił zadosyćuczynienia poszkodowanemu. — Obecnie zmieniała swój charakter: każdy poszkodowany, okradziony lub niezadowolniony, zbiera bandę najezdników, napada na Auł swego przeciwnika i odgania mu stada bydła i tabuny koni. Napadnięty, zbiera znów swych przyjaciół i sąsiadów, broni się przeciw napaści, lub gdy się czuje słabszym, czeka sposobnej chwili, aby nawzajem nieprzyjacielowi jego stada i tabuny zabrać. Nierzadko, przy tych nocnych wyprawach następują zacięte walki, krew bywa przelana, lub też napastnik zaganiając dobytek, dla zatarcia śladu, zapala stepy i murem ognistym oddziela się od pogoni przeciwnika; nieraz całe Auły, z ludźmi nawet, stają się pastwą płomieni.

Te odwety powtarzają się ciągle — liczba biorących udział powiększa się; stada gwałtownie przepędzane z miejsca na miejsce, marnieją, a zemsta nie tylko tysiące ludzi do nędzy doprowadza, ale ciągnie się przez długie lata i w spuściznie z pokolenia przechodzi w pokolenie. Ci zaś, którzy w podobnych wyprawach najwięcej odznaczają się przebiegłością, odwagą, zuchwalstwem, nie tylko nie ściągają na siebie hańby, ale owszem, zyskują chlubne imię *Batyrów*, co w naszym języku odpowiada znaczeniu bohatera.

Dla czego przy tak rozstrojonych węzłach

społeczności, przy braku ustaw i zwierzchnictwa, pozostali Kirgizi w tym stanie natury i niezawisłości, obok państw systematyczniej uorganizowanych? na to łatwa odpowiedź. Kraj ich biedny, pustynny, nie przedstawia ponęty dla zdobywców, a koszty wyprawy dla zajęcia i utrzymania w podległości jednej więcej pustyni, zbyt byłyby wielkie w porównaniu z korzyścią, jakaby z tych posiadłości obrachować się dała.

Długo jeszcze, zdaje się, ów naród pozostawać będzie w tych samych warunkach grubiej niewiedomości i dzikich obyczajów. Kirgizi, jak każdy rodzimy lud Azji, przez lenistwo, czy przez antypatię, odpychają wszelką innowację zaprowadzającą zmianę w ich zwyczajach, nałogach i przesądach, a wątpić należy, aby z ich łona powstał prawodawca, któryby im natchnął potrzebę wejścia na tór cywilizacji i postępu. To życie bezumysłowe i bezwładne, ta ciągła walka z najgwałtowniejszymi potrzebami, ta wegetacja więcej zwierzęca niż duchowa, ma coś zasmucającego ze stanowiska ludzkości, a jednakże w ich ciągłych wędrówkach, z leżysk zimowych na wiosenne stopy, w zgiełkliwych obradach, w tém ciągłym obcowaniu z potężną naturą pod odkrytym niebem, w tej prostocie obyczajów i zamiłowaniu dzikiej niepodległości, jest wiele uroku i poezji. Siła fizyczna, daje popęd młodym junakom do szukania przygód awanturnicznych; samotność pustyń, ukształca licznych improwizatorów.

Dziwna rzecz, że przy całej dzikości i nieokrze-

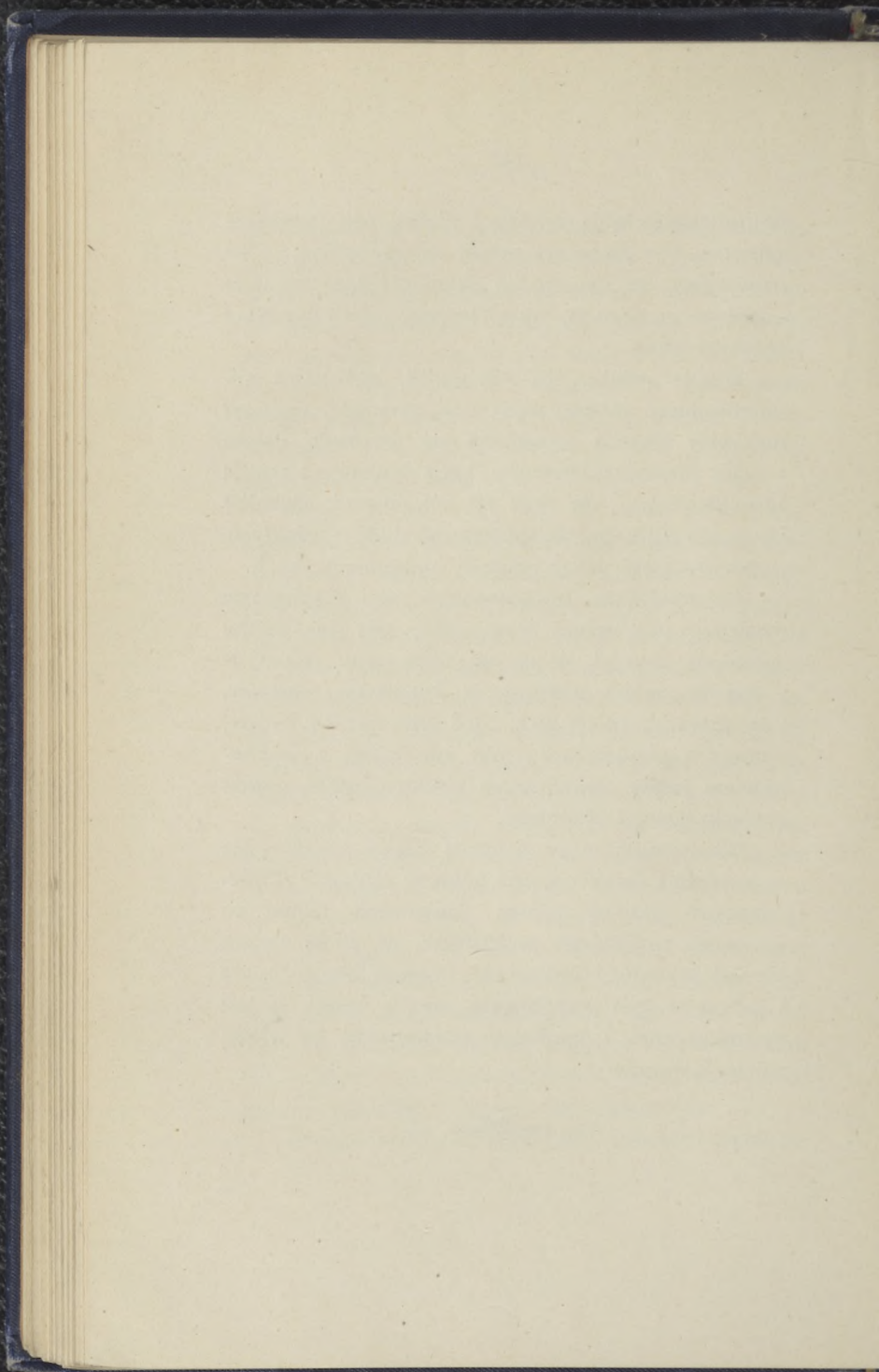
saniu, Kirgizy lubią muzykę i pieśni; ich ważniejsze zebrania bez śpiewaka obejść się nie mogą; a co dziwniejsza, że gminne ich pieśni są pełne rzewnego i delikatnego uczucia, tak sprzecznego z ich żywotem barbarzyńskim.

Wątpić należy, aby ten naród, jakkolwiek kilkumilionowy, zbiwszy się w jedną gromadę, wyruszył na wzór swoich przodków na wyprawę daleką i zalał powodzią ciemnoty, kraje bogatsze i więcej ucywilizowane; nie brak sił ani odwagi, stanąby im na zawadzie, ale stan społeczński ludów osiadłych, systematyczniej dziś i mocniej uorganizowanych.

To pewniejsza, że posuwająca się i rozpierająca dzisiejsza cywilizacja europejska, gdy jęj miejsc zabraknie, zwróci się na kirgizkie stepy, osiedli je i wyprze naród rodzimy w bezpłodne pustynie, i że przeznaczeniem tych hord koczujących będzie, zniknąć z powierzchni ziemi, jak znikają z wytrzebieniem lasów odwiecznych nowego świata, resztki amerykańskiego plemienia.

Wiadomości te w znacznej części poczerpnięte są z dzieła Lewszina, pod tytułem: *Opisanie Kirgizkozacych hord i stepów*. Jakkolwiek dzieło to uczonego rosyjskiego podróżnika, w wielu razach nie jest dokładne i dostateczne, przecież jako pierwsze i jedyne w tym przedmiocie, oraz z uwagi, że jest systematycznie i sumiennie opracowane, na wielką zaletę zasługuje.





PRZEGRYWKA.

Gęśli! . . . znów trącam cię! . . .
Twe dźwięki, kurzawy letargiem uspione
Chcę zbudzić, z strun długo milczących;
Nastroić, do uczuć mą duszę palących,
Do myśli — co schną niewcielone;
Gęśli! . . . odezwij się! . . .

Dotknąłem strun . . .
I spłynął z nich, tonów zdroj mętny; —
Wesołych — jak sen lat dziecińczych;
Burzliwych — jak młodzian namiętny;
I rzewnych — jak echo dum starych, rodzinnych,
Co w dziwny splatały się ton.

I jakąż pieśń,
Z rozstrojonych spoję ułamków? . . .
Czy przeszłość wywołam z pod cieni? . . .
I pójdę jak minstrel — do zamków,
Zasiąść wśród ruin, i z kamieni
Wiekową strząsnąć pieśń? . . .

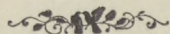
Czy uszcznę kwiat
Młodzieńczych marzeń? . . . co jak puchy
Wiosenne, lekko wzlatują do góry,
I jak Osyana duchy,
Żeglują w chmurach, nad chmury
W błękitny fantazyi świat.

Czy się zapuszczę w kraj
Uczuć i serca — niezbadany? . . .
Gdzie wszystko: — i niebo z swem słońcem,
I ziemia z obliczem kwitnącem,
I lodozwały, i wulkany —
Piekło — i Raj.

O nie! . . . z pod obcych nieb,
Z dalekich, głuchych krańców świata,
Myśl, snuje pajęczy wątek
Tęsknot rojeń i pamiątek;
Gdzie najpiękniejsze lata,
Tumanny zamknął step.

Tam, wichru szum
Wtórował czuciom piersi młodej;
Piorun, ognistym przemawiał z chmur językiem;
Znów — martwa cisza w obszarach bujnej przyrody;
Tylko duch trącał, lecąc po stepie dzikim
O echa zbląkanych dum.

Gęśli! . . . ty wesprzyj mnie! . . .
Nie biegła cię ręka poruszy,
Ni nutą stroję cię rodzinną;
Więc tonom, co ze strun mej duszy,
W czarowne twe struny przepłyną,
Niech stepów harmonija tchnie





I.

STEP.

I.

Czyś widział stepy? gdy w dzień zimowy
Z północy chmura zaciągnie śnieżna;
I nigdzie schrony dla twojej głowy,
Bo w krąg pustynia biała, bezbrzeżna,
A przy rosnącym co chwila wietrze,
Strasliwa zamieć zaćmi powietrze? . . .
Biedny wędrowcze! . . . w złą się godzinę
Wybrałeś w podróż; patrz! . . . jak szalony
Wicher, jak wielka, całą równinę
Naraz silnemi ująwszy szpony,
Łono jój białe rozrywa, porze,
Rwie aż pod niebo i w kłębach pędzi.
O! nie kwiat wiśni, nie puch łabędzi,

By ci rozkoszne podesać łożę;
To rój gwiazd śnieżnych, wirowym ruchem
W takie cię gęste siatki okręca,
Tak nieprzebytym ściska łańcuchem,
Że zmęczonego, wzięwszy jak jeńca,
Przy tobie żywym, jak przy swój osi,
Biały, grobowy kurhan podnosi.
Niebo i ziemia nikną ci, kołem
Cma tylko luźnych atomów krąży,
Owija chwilę, i dalej dąży.
Chwyta cię obłąd — sądzisz, że społem
Lecisz z tym wirym, co cię oplata;
Sądzisz — żeś jądrem nowego świata,
Który bujając po nad otchłanią
Nie zawisł w sferach, bo mu duch Boży
Jeszcze nie wskazał celu podróży.
Nagle cię senność porywa, za nią
Jakieś błęknite ciągną marzenia;
Które zasuwa gęsta pomroka . . .
Obyś przynajmniej w dniu przebudzenia
Ocknął, w dziedzinie rajskiej proroka.

II.

Czyś widział stępy? gdy w dzień wiosnowy
Z południa wietrzyk pociągnie miły,
A trawki, co się w ziemi tały,
Trysną — pochwycą oddech majowy,
I rodzicielki przywiedle łono

Skryją w młodości szatę zieloną? —
Gdy w górze, po pod niebem wiszące,
Z łez zimy oschłe, jaskrawe słońce,
Jednem spojrzeniem, całej przestrzeni
Śle bujne życie, więz swych promieni,
Co, jakby w chmurę padając mglistą,
Po stepie ścielą tęczę kwiecistą.
Jeśliś to widział? . . . skłoń dumne czoło
Przed Tym, co w cudów zamknął cię koło.
Tu, wietrzny, zmienny rój anemonów,
Gnie się zręcznością dworskich ukłonów;
Irys, ozdobny modnym turbanem
Pogląda z góry, jakby był hanem
Drobnych koniczyn, co w mnogim tłumie
Pełznąć, podniosłej hołdują dumie.
Zalotna róża, w więzielu pęta
Jakby w zazdrosny harem zamknięta,
Z pod czujnej straży wabi z uboczy
Astrów, bławatów gwieździste oczy;
A kampanule szmerem swych dzwonek
Brzmią nad kolebką dziatwy skowronków.
Tam! . . . co się z łona stepów wynurza? . . .
Nie, wzrok nie myli! . . . błękniesz wzgórza,
Odłam to niebios? . . . czy wróżka która
Wzrokiem urzekła fale jeziora,
Że choć wiatr marszczy powierzchnie sine,
Z wyżyn się nie śmia stoczyć w równinę! . . .
To niezabudki! kwiatek pamięci
Próżno dłoń swoją ku sobie nęci;
Myśl z nich tysiące wieńców upłata,

A zakres serca tak w koło wążki,
Że mogąc niemi darzyć pół świata,
Nie masz dać komu jednej gałązki.
Patrz! patrz! coś błyska... czy step się pali?...
Czy na zielonej, szumiącej fali,
Wytrysnął nagle ostrów koralu?...
Czy krew pobitych wykwitła z ziemi
Po nad kościami nie zemszczonemi?
Nie! to lychnisów płomienny wieniec —
Dziewicznych stepów świeży rumieniec.

III.

Step choć bezludny, w nim nie jest głucho.
W łono natury wtajemnicz ucho:
Ten szmer, którego pajęczy wątek
Rwie się co chwila w harmonii tonów,
To są rozmowy całych milionów
W niedopatrzonym świecie żyjątek;
Ta woń, co pyłków najłżejszych tkanką
W swe balsamiczne bierze cię sploty,
Co ją być sądzisz niebios posłanką,
To miłość kwiatów, to ich zaloty;
Bo w koło miłość. W kwiatów masz tchnieniu,
W brzęku żyjątek, w ptasząt nuceniu,
Z pod niebios nawet brzmia zalecanki...
Gdy serce czułe, a kochać trzeba,
To myśl jak ptaszek leci do nieba,
I tam swój szuka gwiazdki — kochanki.

IV.

Ha, dalej w stepy! nie ma przeszkody!
Koń — choć nie rosły, lecz mocny, żwawy;
Step bujny — znajdziem dostatkem trawy;
Maj miesiąc — to nam nie zbraknie wody.
Lecimy szybko, bo któż zatrzyma
Pośród pustyni, co krańców nie ma?
Może kruk głodny, co mi nad głową
Wciąż jakąś piosnkę kracze grobową? ...
Może te lekkie po niebie chmurki?
Może te liczne po stepie wzgórki? ...
Ha! to kurhany, pomnik jedyny,
Że człowiek gościł wśród tej krainy.
Koniu! na chwilkę biegu zastanów,
Ja cześć głęboką mam dla kurhanów ...
Lecz kto je sypał? ... czyj proch w nich leży? ...
Proch bochatérów, czy też pasterzy?
Może ślad, kędy dawni hanowie
Swe hordy wiedli? ... Któż mi odpowie? ...
Pytałem synów tej ziemi, — milczą;
Dziejów pytałem — w dziejach noc głucha;
Wezwałem duchów — i z krain ducha,
Ile z gwiazd ku mnie siało promieni,
Tyle się naraz zsunęło cieni.
Step pełny! jeźdźce, rumaki w bieli,
Z dzikim okrzykiem kołem stanęli;
Łuk, strzały w rękę, bo każdy zbrojny
Jak legł, tak z myślą ocknął się wojny;
Cisną się ... sądzą, że ich plemienia
Wódz, swe drużyny budzi z uśpienia;

Czekają znaku . . . mniejsza gdzie skinie,
Byle świat cały zmienić w pustynie.
Precz! . . . precz odemie burzące plemię!
Pył wasz rozwiany wichrem w równinach,
Nie zapadł płodnie w tę bujną ziemię,
Nie rozkwitł pieśnią w myśli dziedzinach.
Koniu! . . . lecimy, tu nikt nie wstrzyma,
W tych grobach, nasion przyszłości niema.

V.

Za mną, przedemną, step trawą lśniący,
Równy, rozległy, oku ginący,
Bo skłon niebieski, stopy co kwitną,
Wkoło się we mgłę zlały błękitną.
Z piosnką, podleciał wiosny śpiewaczek,
Mój wzrok go długo tropił do góry,
Aż skrył się w niebie jasném, bez chmury;
Owdzie sznur dzikich, wędrownych kaczek
Czerniał na niebie; dalej i dalej . . .
Zmalał w nie szarą, i w wietrznej fali
Niby się rozwiął, niby rozplynał . . .
Tylko krzyk głucho dolatał, ginał . . .
I sichło niebo . . . Próżno do góry,
Próżno po ziemi tęsknie ślę oko,
Bo jak daleko, bo jak szeroko,
Nic — oprócz wiecznie pięknej natury.
O! jak tu serce rwie się do ludzi!
Kocham ich duszą świeżą, młodzieńczą,
Gdy żaden zimny powiew nie studzi
Marzeń płonących, co jasną tęczą

Obwodząc ludzkość z końca do końca,
Bierze swe farby z miłości słońca.
Dalej mój koniu! prędzěj do ludzi! . . .
Choć nie w rodzinne wracamy gniazda,
Ani nam miła przyświeca gwiazda;
Prędzěj mój koniu . . . tak! . . . dobrze teraz . . .
Ty moje chęci odgadłeś nieraz.
Lubo traw żaden powiew nie kłoni,
Twa grzywa furczy, jakby na wietrze
Rozwiana wstęga, a od pogoni
W uszach mi świszczę rwane powietrze;
I choć w mym pędzie wyścigam ptaki,
Zda mi się, stoję w miejscu przybity,
Bo step wciąż piękny, bujny . . . jednak! . . .
Temże półsferzem niebios nakryty.

VI.

Zmienił się widok: — inna kraina
Od stóp się moich oku poczyna;
Step szerszy, większy — jak krąg wśród wody
W coraz się dalsze rozlał obwody;
Trawy, co z wiatrem gnąc się, bujały,
Traciły świeżość . . . rzedły . . . karłały;
Nawet powietrze przejrzysto-szklane,
Gdzie pył kwiatowy z żyjątek rojem
Wciąż, idealnym krążył zawojem
Nad moją głową, teraz tumanne,
Jakby w przezroczu rozpiętej gazy,
Omgiło z lekka wszystkie obrazy.
Słońce, bez wieńca promieni, krwawo

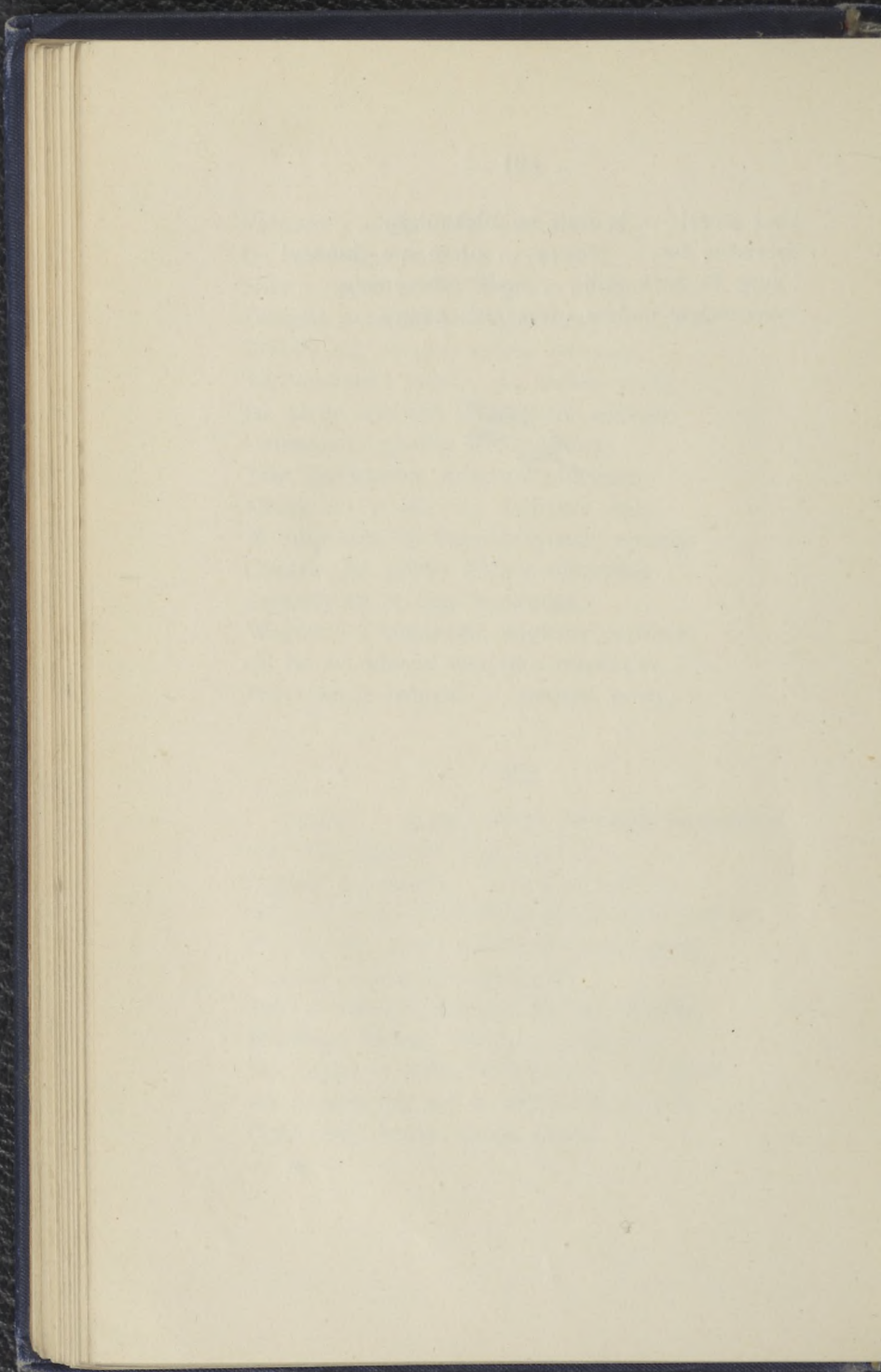
Patrzało z nieba na te przestworza,
Do umarłego podobne morza,
Siwe i nagie, gdzie niegdzie trawą
Zwiędłą porośłe, co jak ostrowy
Wzbiły się po nad wylew żwirowy.
Tu, wydmuch piasku, jak srebrna mora,
Jak kiedy wietrzyk przelotnym wiewem
Pomarszczy gładką szybę jeziora;
Tam, huraganów zmaćone gniewem,
Kładąc się w warstwy żwirowe wały,
W spiętrzonych, długich sypach, zostały.
Owdzie, jak gdyby żółwie olbrzymie
Zapełży na te lądy bezwodne,
Wzgórza, z ciemnymi, nagiemy grzbiety;
O! bo w pustyni wszystko niepłodne,
Prócz może jednych — marzeń poety.

VII.

Pędzę! . . . z pod kopyt końskich wzniesiony
Pył, niby błędnej ogon komety,
Ciągnął się za mną. Wzrok utęskniony
Bystrym w przestrzenie naprzód szedł gońcem,
Czy się nie spotka z błoniem kwitnącem,
A może z jaką jurką gościnną.
Ach! z tém pragnieniem, chyba rodzinną
Witałbym ziemię! darmo . . . pustynie
Tak dzikie w koło, że wzrok w nich ginie
Jak rozum, gdy się w wieczność zacieka.
Pędź, miły koniu! droga daleka . . .

Lecz patrz! . . . te linje co błękitnieją,
Szczerbią się . . . piętrzą . . . o! to nie chmury!
Czuję, że duch mój . . . myśli olbrzymieją
Przecuciem cudów olbrzymiej natury.





II. GÓRY.

I.

Konno, — na góry stanąłem szczycie . . .
Noc była mglista i takiej ciemności,
Że się zdawało — jakby wszelkie życie
Wygasło; ziemia w otchłanie nicości
Zapadła; — świat znów gęstym zamierzchni
[niem,
I wszystko było tak, jak przed stworzeniem. —
A z tych dopiero mglistych czarnych godzin,
Miał zejść dzień wielki — wszechświata urodzin.

II.

W obszarach czczości, której nie ma końca,*)
Gdzie tylko wieczność ciemna i milcząca,

*) Cały następny ustęp, w którym jest mowa o Najwyższej Istności i stworzeniu świata, wzięty jest z ksiąg religijnych Brahminizmu i Bouddaizmu, a zatem błędny i niezgodny z pojęciami chrześcijańskimi.

Gdzie gra kolorów, najcudniejsze wonie,
Harmonija nawet, ma wstęp sobie wzbromny
Jako zbyt gruba materja — i tonie
W przestwór bezbarwny, bezdźwięczny, bez-
[wonne, —

Oko śmiertelne . . . ciemne — tam nie sięga;
I myśl cielesna . . . choć jój piór potęga
Wyżej ją wznosi od gwiazd kołowrotu,
Tam, łamie skrzydła, dostaje zawrotu
I spada. — Tam, w owych obszarach
Gdzie czczość z wiecznością gubią się w bez-
[miarach,

Otoczon — ciszą, pokojem, pomroką
ON, Duch Najwyższy, w mądrość nieskończoną
Myśl swą przedwieczną zamknąwszy, jak w łono
Konchy najdroższą perłę, — spał głęboko.

III.

Długoż spał tym letargiem? . . . tu, liczbami
Milion ich postaw, nie trafisz do końca;
Łatwiej ocean przemierzyć kroplami,
Górę Su-meru ¹⁾ przeliczyć pyłkami,
Niż jedną chwilę z tego lat tysiąca,
Przez które trwał sen JEGO i spoczynek.

IV.

Jam się doczekał chwili przebudzenia,
Bo myśl już była wszechświatem ciężarna;

Z snów, w których nie śnił . . . ON przeszedł
w półśnienia,
A pierwsze z marzeń, były światła ziarna,
Które w otchłanie leciały jak gońce,
Zwiastować cuda zmarłych-powstające.
I mrok, co czarnym otaczał mnie cieniem,
Zadrzał — tym pierwszym dotknięty promieniem
I coraz rzedniał, — bo jak białe pyłki,
Jasne w ciemności rozbiegły się żyłki;
Coraz ich więcej . . . niby siatka biała,
Na szatę nocy z wyżyn się spuszczała. —
ON — coraz żywsze musiał mieć marzenia,
Bo smugi światła zsuwały się chyżej;
Mrok, w czarnych kroplach spadał coraz niżej,
Czecz to w głębsze uciekał otchłanie,
Aż przyszła wielka chwila — przebudzenia,
Bo taki naraz ogrom blasku strzelił,
Że mrok granicą od światła oddzielił. —
Ja — w jasnym, białym płynąłem tumanie.

V.

Mgły niżej spadły, — przed oczyma memi,
Jakby myśl pierwsza zbudzonego Boga,
Błysnęło światło słupy ognistemi
Przez bramę wschodu — jak gdyby pożoga
Oblała niebo, w igrach skier tysiąca,
Coraz i coraz blaski wzmagająca.
JEGO Mądrości zajaśniała zorza
Po nad falami duchowego morza.

Bo wzrok mój, dotąd we mgłach uwięziony
Z nich się wychylił — i po nad tumanem
Wciąż spadającym, jak nad oceanem
Lekkim przejrzystym — bujał zachwycony.

A Duch twórcy, z szeroko skrzydłami
Rozpostartymi, zawisł nad wodami
I tchnął w nie życie, — a z pod jego skrzydeł
Rój drobnych duchów, leciał na głąb' wody
Przybrać się w kształty cielesnej urody;
Każdy duch, odłam twórczej JEGO myśli,
Innym piękności naznaczon znamieniem,
W inne się stroi obłonki, — i kreśli
Swoj świat dla siebie. — A z głębi co cieniem,
U stóp mych leży pokryta, — zmacony
Szmer, czy też świergot, zaczął się podrywać,
Mocniej i więcej w harmonią się zlewać,
Rzekłbyś — że duchy wcielały się w tony,
Aby hymn wielki dla Stwórcy odśpiewać.

VI.

Mgły niżej spadły — i nad poziom mglisty
Z zorzy — téj wschodu kolebki ognistej
Młodziuchne słońce, swą płomienną głowę,
Podnosząc, złote rozsypało włosy,
Na błonia niebios wielkie, lazurowe.
Z otchłani ciemnej, uskrzydłone głosy
Wzleciały, witać pieśnią podziwienia

Wschód słońca, — tego wcielonego ducha
W ogień i blaski, co u Niebios brzegu,
Pierwszem ogniwem jest w stworzeń szeregu,
Zstępującego w bezdenność łańcucha.

ON, — spojrzął na dół, tem okiem stworzenia,
Myślą — wykreślił przyszły świat przyrody,
Ubarwił lądy, ozwierciedlił wody,
Skiął, — i dalej szło dzieło stworzenia.

VII.

Mgły niżej spadły, — i nad lekkie wały,
Podmuchał wiatrów porannych zmacone,
Co się jak morza bałwany spiętrzały,
Kiedy je wzburzą orkany szalone,
Wytrysła góra Su-meru błyszcząca;
Milion promieni oblało ją słońca,
A każdy promień rozbił się w barw krocie,
W srebrze, rubinie, safirze i złocie;
A na Su-merze, ja na koniu stałem,
I wzrok ciekawy na przestwór posłałem;
Mglisty ocean wrzał pod memi stopy,
Ja, coraz wyżej pod niebieskie stropy
Z górą wzrastałem, — mgły niżej, — a w dali
Z téj, twórczem tchnieniem upłodnionej fali,
Jak siedem oaz na stepie piaszczystym,
Jakby wysp siedem na morzu przejrzystém,
Siedem wierzchołków gór, — z rozpekłych toni
Wstało nad poziom. — Uroczysta chwila
Nadeszła. — Słońce, skarby światła roni

Na ziemię, która ze mgły się wychyla;
Która, — jak młoda Wschodu narzeczona,
W zazdrosny rąbek dziewiczy odziana,
Pierwszy raz stanie, piękna, odsłoniąca,
Przed ognistemi oczyma młodziana.

VIII.

Mgły niżej spadły, — i moje spojrzenie
W dół, na podstopne zwróciłem przestrzenie;
Tam, mgły jak morze, gdy się odpływ zaczyna,
Od stromych brzegów schodziły nieznacznie,
I między góry rosnące i skały,
Gwałtownym prądem przesuwać się zdały.
A pod powierzchnią téj przejrzystej wody,
Kraj cudów, — jakies zakłete ogrody,
Gaj różnolistny w mych oczach wyrasta,
Wiosennym puchem i kwieciami okryty;
A z pośród kwiatów, wież i świątyń szczyty,
Jakby powodzią zalanego miasta,
W pół idealnem, w półsensnem przezroczu,
W kończących rzeźbach jawią się dla oczu.
Światło w gór przerwy, w promieniach idące ²⁾
Mgły na skał szczytach i jodłach wiszące,
Wiatrem splecione w dziwną grę kolorów,
Rój fantastycznych wywołały tworów.

Zdało się, — jakby z podwodnej pieczary,
Olbrzymich kształtów wypęzły poczwary;

Niby tłum duchów co wylał się w cieniach,
Szedł, w gęstej, czarnej, ścieśnionej kolumnie
Zaczepnym bojem . . . i wdierał się ku mnie
Na górę Su-mer, — kędy ja w promieniach,
Jakby sam Hormuzd w krystalowej zbroi,
Z dobytym mieczem bronił włości swojej.
Gdybym był zadrzał przed synami nocy,
Spojrzałbym w niebo, — i ku méj pomocy
Jasności duchy, w promieniach by zbiegły,
Napięty łuki, roztoczyły skrzydła
Niemi, skroń moją od pocisków strzegły;
Tegom nie żądał: — Ciemności straszycła
Szły wyżej, tłumniej i w krąg mnie obległy;
Aż mój wzrok, wstrzymał te ciemne kolumny. —
Ja — myślą silny, wolą moją dumny,
Mógłżem do serca, przystęp dać bojaźni? . . .
I słabym tworom mętnéj wyobraźni
Poddać się, uledz, zaprzecić się sam siebie? . . .
Wszakże ON, kiedy mnie stworzył i w niebie
Duchowi memu ukazał siedlisko,
Dał czystą wiarę, bym nie upadł nisko,
Bym się igraszką nie stał sił tajemnych,
Tych kolumn duchów i jasnych, i ciemnych.
Więc, czarne roty, co mnie jeńcem brały,
Straciłem nogą — i patrzyłem na nie,
Jak zdruzgotane o sterczące skały,
W głąb' — w najciemniejsze zapadły otchłanie.
Wtenczas myśl moja, skał grzbiety, gór głowy
Wziąwszy za stopnie — choć w przepaściach
[droga, —

Szła śmiałym krokiem, niby Tytan nowy,
Wyżej, i wyżej . . . — do idei Boga.

IX.

Człowiek! . . . to pyłek
Do ziarka ziemskiego przypięty;
Z orszakiem błyszczących bryłek,
Przez nieskończoności żegluję odmęty,
I z trwogą mierząc te ciemne otchłanie,
Choć mu słoneczna świeci w drodze gwiazda,
Pyta, — gdzie dąży? . . . gdzie port w którym
[stanie?

I jaki cel ma ta jazda?

Na to ON, głosem pioruna doń rzecze:

- «Obszar, — iskrzącem nakryty sklepieniem,
«Z całą farb krasą, z wszystkich dźwięków brzmie-
[niem,
«To świat! dla ciebie stworzył go człowiecze;
«Dni twoje, w żywot zamknąłem nie długi,
«W łupinę ciała, kruchą, skazitelną,
«Wszczepiłem duszę, jasną, nieśmiertelną,
«A ziemia twem polem zasługi.
«Ty jesteś średnim ogniwem łańcucha,
«Jądnem mej myśli. Od ciebie do góry,
«Coraz lżejszemi podnosząc się pióry,
«Miliony istot, szczebluje w świat ducha;
«Od ciebie na dół, — w otchłanie strącony,
«Ciągnie się tworów orszak nieskończony,
«Co, biorąc, grubsze, cielesne okrycia,
«Gasi tę iskrę duchowego życia.

«Przez cnoty, — z ziemi, wyswobódź się kaju, —
«Przez umartwienia — panuj twemu ciału;
«Przez miłość ludzi, przez poświęceń próby,
«Miłości własnej otrząśnij rachuby;
«Wówczas, — twa dusza z pyłów oczyszczona,
«W takie cudowne kształty się przemieni,
«Że od słonecznych jaśniejsza promieni,
«Wróci, odpocząć u mojego łona.
«Lecz gdy twą duszę, brudna żądza splami,
«Gdy ją zbezecnisz i zczernisz zbrodniami,
«W gad ją obrzydły zamienię — i strącę
«W bezdenną przepaść, — otoczę ją cieniem,
«Będę ją dręczyć trawiącym płomieniem,
«Dam jej form tysiąc i przez lat tysiące,
«Dźwigać się musi, nim spojrzy na słońce.
«Człowieku! pomnij! . . . żywot twój nie długi,
«A ziemia! — twém polem zasługi.»

X.

Mgły całkiem spadły, — jam teraz na ziemi. —
Spojrzałem w przestrzeń . . . przed oczyma memi,
Góry i skały — przez skał rozpadliny,
Noc, w kraj podziemnych uchodziła cieni;
Gór wierzchy — z srebrnych i złotych promieni,
Garnęły światło do siebie, — doliny
W porannym jeszcze drzemały pół-zmierzchu.

Na bliskiej skały niedostępnym wierzchu,
Orzeł — han stepów powietrznych — nocował;
Z piór swych otrząsał rosę, ostrzył szpony

O skały, skrzydeł do lotu próbował,
I patrzył, — w które pozęglować strony:
Czy po za mury olbrzymie Kitaju,
Czy dań wybierać po stepowym kraju.

Ha! któż przeliczy! . . . gór piętra, skał złamy,
Dzikiem, zarosłe, nagie i jałowe,
Co jak na wielką radę lub rozmowę,
W krąg się pod memi ścisnęły stopami;
Te łącznie, inne, szeregi długimi
Na dwa się krańce rozchodziły ziemi,
Rozlicznych kształtów, wymiarów i farby,
Dźwigając baszty najeżone, z lodu;
Niby, wielbłądy ze śnieżnemi garby,
Szły karawaną na zachód ze wschodu.

W gór przerwach, — step się porankiem
[uśmiechał,
Słońce nań wszystkie rzuciło djamenty,
On słońcu — kwiatów ambrozją oddychał;
Step! . . . tem śmiertelnem okiem nicobjęty
Im dalej . . . barwy przyoblekał bledsze,
Im dalej . . . nie patrz . . . nie badaj przedziału . . .
Bo się stopiły — i step, i powietrze,
I niebo, — w jakąś tkankę ideału.

I wzrok mój, buja w ogromnej przestrzeni,
Kędy jeziora i wstęgi strumieni,
Dymiły mgłami, które się ku górze
Ciągnęły, w jasnych smugach po lazurze.

Niby sny ziemi dziewicze, majowe,
Brały na siebie obłonki tęczowe,
A odkrywając wód powierzchnią szklaną,
Szły jak dym lekki wonnego kadzidła;
Może duch ziemi, jasne wzięwszy skrzydła,
Unosił w niebo modlitwę poranną. —

XI.

Wzrok mój, — co po gór czepiał się wy-
[żynie,

Jak koń stepowy, rzucił się w pustynie . . .
Pustynia dzika, piaszczysta, płonąca,
Jak twarz Mongoła spalona od słońca;
Ludów wędrownych i wichrów nie mało
Przez jój powierzchnią bezpłodną przewiało;
Stały się ślady . . . tylko uroczyska
Szepcą ci jakieś nieznanne nazwiska
Co w nich przymarły . . . Zaciekłość uczona,
Próżno oskardem o ich grzbiet uderzy —
Już nie dobędzie przeszłości z ich łona,
Ani zagastych zdarzeń nie odświeży;
Wieszcz chyba, z gminnych rozproszonych wieści,
Świat fantastycznych wywoła powieści.

XII.

Pustynia, coraz rozwija się szerzej, . . .
Jak wielka karta u stóp moich leży,
Pusta . . . bo człowiek uląkł się przyrody,
Nie chciał, czy nie śmiał z dziką iść w zapasy, —

Więc, u stóp moich czarne drzemią lasy,
Dalej — jak wstęgi osrebrzone wody,
W łożysku, jasnym z piasków i kamieni
Śród łąk nadbrzeżnych wiją się zieleni;
Na środku — Bałcharz, ³⁾ błękitny jak oko,
Rzęsą trzciny ciemnych obrosły szeroko;
Dalej już . . . piasków ruchomych przestworza,
W zapadających tle niebios — niknące,
Gdzie śród grobowej ciszy, przez bezdroża,
Ognistym śladem posuwa się słońce.

XIII.

Teraz, mój Duchu! przyodziej się pióry,
I jak gołąbek z arki wypuszczony:
Leć wyżej . . . wyżej ku niebu . . . nad chmury,
Nad Himmalaje — aż tam, zawieszony
Spojrz nad łąd Azyi, olbrzymiej przyrody
Kolebkę ludów, ognisko ich wiary;
Gdzie góry niebios sięgają; gdzie wody
Wielkie, jak morza, — a pustyni obszary,
Jak droga mleczna, co z brzegu do brzegu
Środek tych krain szeroko zalega.
Tam — z jednej strony, nad stepów przestworza,
I dalej — aż nad północy tundrami, ⁴⁾
Niby rac tysięcy, borealna zorza
Rubinowemi pali się iskrami. —
Po drugiej stronie ogromnej pustyni,
Kraj słońca, — lato nigdy nie ustaje,
Owoc wciąż żreje; — drzew palmowych gaje,
Jak rzędy kolumn korynckiej świątyni

Pną się ku niebu i smukłym ramieniem,
Unoszą w splotach rośliny wijące,
Gęstem, zielonem spojone sklepieniem,
Że przez nie, nawet nie przedrze się słońce;
W ich cieniu spotkasz liczne stada słońi,
Płód kolosalny tych dziewiczych błoni;
A pośród tylu cudów przyrodzenia,
Gdzie każda głoska tej niezmiernej księgi
Jest jako olbrzym z znamieniem potęgi,
Tam człowiek — obraz nędzy i spodlenia!

XIV.

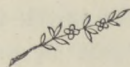
O! Parjów rodzie! . . . ⁴⁾ nic że cię nie budzi
Z twego letargu? . . . podobny do płazu
Czyż wiecznie pełzać będziesz? . . . i ni razu
Nie westchniesz? . . . abyś należał do ludzi!
Mędrzy ci klucze wykradli rozumu,
Zamknęli niebo, wzięli skarby ziemi,
Ciebie do istot bezrozumnych tłumu
Stracili, . . . a ty czołgasz się przed nimi! . . .
Raz podnieś czoło długim jarzmem zgięte,
Raz się upomnij o prawa twe święte,
I tu — w obliczu arcydzieł przyrody,
Odżyj, na łonie szczęścia i swobody.

Chciejcie być wolni! . . . krzyknąłem z gór szczytu,
Pewny, że głos mój pchnięty na obszary,
Jakby lawina, jak odłam granitu
Spadnie — w proch zetrze butwiejące wiary,
I ledwie próchnem świecące ich trony;

Że głos mój — przez ust pochwycon miliony,
Zagrzmiał jak orkan, jak piorun wśród burzy,
Że go tysięczne gór echo powtórzy,
I jako wulkan w strasliwym wybuchu,
Świat strupieszcząły odmłodni na duchu! —
Przebóg! . . . tak cicho! . . . w krąg sterczące skały
Głosu mojego całkiem nie odbiły; . . .
Cóż chcieć od ludzi! . . . gdy echa się skryły . . .
Widać — słów moich powtórzyć się bały.

XV.

Ha! koniu! . . . w stepy . . . tam znajdziem
[narody
Z rdzy barbarzyństwa jeszcze nie otarte,
Lecz od spodlonych Parjów, więcej warte —
Bo w nich ślad dzikiej pozostał swobody.



III.

BAJGA.

I.

Z góry szczytu, niedeptanym szlakiem,
Koń się na dół bystrym puścił biegiem . . .
Przepaść! . . . koń mój, jak gdyby był ptakiem,
Tylko mignął nad przepaści brzegiem;
Na skał złamy i na gór urwiska,
Jakby Sajga, ¹⁾ lekką piął się nogą,
Potem zwolna, niby zdjęty trwogą
Przez oślizłe zsuwał się łożyska;
A jak wody górnego potoku,
W rzutach, bryzgach, pędzą w skał szczeliny,
Tak mój rumak zdał się zdwajać skoku,
Gdy go powiew owinął doliny.

Wolniej koniu! . . . przez kropliste rosy,
Aż tu do mnie dolatują głosy
Niby hasła, gdy je na obszarze,
Obozowe zdają sobie strażę.
Ha! poznają! . . . głos przeciągły, dziki . . .
To Kirgizów wędrowne okrzyki. —
I z gór jarów, i z lasów kryjówek,
Z brzegów jezior, z sitowia i łozy,
W długich sznurach, jak rój drobnych mró-
[wek,
Ciągną liczne Kirgizów obozy,
I zbierają się w krąg uroczyska,
Gdzie nawykli obchodzić igrzyska.

Dalej, prędzej . . . o mój wiatronogi!
W gościnnej jurcie wypocznem z drogi,
Tam, oba znajdźmi dobre przyjęcie,
Bo gość — u ludów pasterskich, święcie
Jest szanowany. — Koło rodzinne
Pewnie się w większy krąg nie rozszerzy,
Jak serca proste dzikich pasterzy,
Gdy cię w namioty przyjmą gościnne.

II.

Na stepie Bajga — święto nad święta,
Dzień najpiękniejszy w dziejach koczowych;
Bo gdy do drogi jurta zwinięta,
I lud pasterski, z leżysk zimowych
Ma ruszyć w stępy, w których przestrzeni
Wiosna się młodą trawką zieleni,

Pierw — przed rozejściem w daleką drogę,
Na jedno miejsce plemiona mnogie
Zbierać się zwykły: by w drużnem gronie
Załatwić spory, zjednoczyć dłonie,
Wspólnie uradzić, — jak które plemię,
Ma zająć bliższe lub dalsze ziemie;
A dzień — z tak ważnym połączon celem,
Kończą igrzyskiem, uczta, weselem.

Gdym z gór zstępował — cała dolina,
Którą szumiąca Lepsa przerzyna,
Coraz głośniejszem tętniała życiem,
Nowych stad, koni, ludzi przybyciem.
I gwar się zwiększał, — bo do wód szumu,
Ryk stad — i odgłos łączył się tłumy;
I wzrosł — gdy ludność stepu zebrana,
Jednym potężnym, grzmiącym, okrzykiem,
Jakby fal morskich wzburzonych rykiem,
Witała, swego władcę — Sułtana.

III.

Sułtan Kodar — w siedmiorzecznym kraju,
Nad licznemi miał władzę plemiony;
Od skalistych gór Tarbogataju,
Aż do śnieżnej — Ała-ta-hu ściany,
Z przygód, męstwa i rozumu znany,
Od podwładnych kochany i czczony.
Nie przez przodków — choć ich szereg długi —
Sława jego i zaszczyty wzrosły,
Ale własne dzieła i zasługi,
Nad powierzchnię gminu go wyniosły.

Młodość jego — to burza stepowa;
Wola — gdyby z granitu wykuta;
Chłopcem będąc — gdy szata zimowa
Zeszła z ziemi, — on, dwukoń²⁾, berkuta³⁾
Wziąwszy z sobą, toczył bój zawzięty
Sam w pustyni, z dzikimi zwierzęty.
Pośród trudów, siłą krzepił ręce; —
Gdy się barki rozrosły młodzieńcze,
Niesłychanej dał dowody siły,
Gdy z naddziada swojego mogiły
Głaz ogromny, przez pięciu wtoczony,
Sam krzepkimi podnosił ramiony.

Później — z laty dojrzały pojęcia —
Przy ognisku nie chciał gnuśnieć młody,
Ale z przygód rzucał się w przygody,
I w zuchwałe puszczał przedsięwzięcia.
To na czele zebranej drużyny
Gromił inne stepowe plemiona,
Mszcząc na synach, dawne ojców winy;
I daleka zaznała go strona,
Gdy wśród wspólnej, bratnich ziem obrony,
Na łakomych sąsiadów dzierzawy
Krwi i ognia zapuścił zagony.
Imię jego — pełne czci i sławy,
Od Aułu, do Aułu brzmiało⁴⁾
Zasłużoną i szczerą pochwałą.

Nawet kupiec sąsiedniej Bokhary,
Który dotąd rzadko, gwoli trwogi,

Swe zamienne prowadził towary,
Przez stepowe niegościnne drogi —
Teraz, śmiało wiódł swe karawany,
Ufny, zwiedzał koczowe ognisko,
Bo go lepiej, niżli talizmany
Strzegło — samo Kodara nazwisko.
To też nigdy — niesłusznie skrzywdzony,
Doń się próżno, z prośbą nie odwołał,
I ciemieżca nie znalazł uchrony,
Gdzieby Kodar dosiędz go nie zdołał.

O! i czarne, pełne ognia oczy,
Miały powab, potężny, uroczy,
Dla Kodara — bo i on był młody,
Piersią, serce miotało namiętne.
Mogłóż oko zostać obojętne,
Kiedy uśmiech rozkwitłej jagody,
Błyski źrenic, serc zalotnych strzały,
Do Edeńskich rozkoszy go zwały?
I on — nie raz porzucał namioty,
Aby trudów życia jak najdalej,
Mógł odetchnąć na łonie pieszczoty,
Jak Herkules przy boku Omfali.

Jednej nocy — z miłosnej wyprawy
Wracał Kodar, — a koń jego żwawy
Znanym szlakiem przy miesięcznym blasku,
Po stepowym lekko sunął piasku.
Lecz gdy wstąpił w ciemne oczerety,
Co na wyschłym dnie dawnego morza

Rosły bujno, i nakształt oazy
Dzikich pustyń mały bezdroża, —
Koń się nagle wstrzymał . . . cofnął z trwogą;
Ale jeździec w myślach rozmarzony
O pieszczotach, o swej ulubionój,
Nie uważał — pletnią i ostrogą
Zwarł rumaka . . . ten się wspiął . . . zuchwałym
Sunął skokiem . . . i popędził cwałem.
Tygrys, w trzcinach spoczywał ukryty —
Zwierz okrutny, nigdy krwi nie syty,
Dojrzał zdobyc . . . wstał . . . zmierzył ją okiem,
Pomknął . . . przypadł . . . i sprężystym skokiem
W kilku rzutach, niby piorun z góry
Padł, i konia chwycił w swe pazury.
Koń się rzuca . . . Kodar chwil nie trwoni,
Jak błysk szybki, chwyta gardziel zwierza;
Od uścisku tej żelaznej dłoni
Paszcz tygrysa martwo się rozszerza,
Oczy na łeb wyszły — radby kłami
Sięgnąć . . . skruszyć swego przeciwnika;
Ale jeździec zwinnymi ruchami
Od tygrysiej paszczy się wymyka,
A w zapasach z wrogiem zręcznie, żwawo,
Ujął z siodła czekan⁵⁾ ręką prawą
I ugodził tak potężnym razem,
Że łeb zwierza rozpękł pod żelazem.
Tygrys — u stóp zwycięzcy legł trupem;
Kodar zskoczył . . . i opatrzył rany
Swego konia — a na znak wygranej,
Wziętym z wroga drapieżnego łupem,

Zdarta skórą, na miejsce czapraka,
Okrył swego rannego rumaka.
Czyn ten — obiegił przestrzenie stepowe,
W ustach ludu wzrósł w kształty olbrzymie,
A gdzie tylko ognisko koczowe
Rozniecono, — gdzie jurta Kirgiza
Od poczęła, — tam sławiono imię
Bohatera, pogromcy tygrysa.

IV.

Takim był Kodar — dopóki był młody;
Mąż wielki, chociaż syn dzikiej przyrody,
Jej tchnieniem owian, nawykł od powicia,
Do walk, do trudów, do czynnego życia.
Krąg mu rodzinny był ciasny — za mały
Dla wrzących chęci, co się z piersi rwały
Jak ptaki z gniazda, dla których nasytu
Brakło i stepów i niebios błękitu;
Świat go czarowny wabił i porywał,
W kwiecisty eden, gdzie mu ukazywał
Promienną sławę; . . . jednego promienia
Pragnął młodzieniec, — bo to była chwila,
Myśli — co wszystko rada w czyn zamienia;
Woli — przed którą wszystko się uchyla.

Inny dziś Kodar, — cichy i spokojny,
Syt sławy — młodszym zostawił chęć wojny;
Wiek męzki, nie mógł ducha w nim ostudzić,
Osłabić ręki, — ale nad zdobycze
Przeniósł — pasterskie życie koczownicze,

A Iwa śpiącego, nikt nie śmiał przebudzić.
Dziś licznych plemion stawszy się sułtanem,
Chciał im być ojcem, pragnął być kochanym
Od swych podwładnych, a władzą rozumu,
Cześć i szacunek pozyskać u tłumu.
Nie łańcuch podłych ogniów niewolnika,
Łączy sułtana do plemion podwładnych,
Kirgiz — człek wolny, praw mu nie zdał za-
[dnych, —

Jak wiatr w pustyni, zapór nie spotyka,
Tak on, swobodzie swej nie widzi końca,
Póki ma stepu, powietrza i słońca;
Za cóż rozkazów jego chętnie słucha? . . .
Przed wolą jego, chyli się w pokorze? . . .
Bo czuł w prostocie, choć nie jasno może,
W nim wyższość! — iskrę nieśmiertelną ducha.

Takim był sułtan — kiedy na rumaku
Białym — i w Bijów poważnym orszaku
Wjeżdżał do środka, i przez lud zebrany,
Grzmiącym okrzykiem został powitany.

V.

Co było w stepie zgromadzonych mężu,
Tak razem na koń, wszyscy do oręży,
Rwą się i w hufiec jednoczą się zbrojni.
Lud konny — radby rycerskim popisem
Przed najdzielniejszym Batyrem-Kirgizem, *)
Okazać swoją gotowość do wojny.

Lecz jak opisać tłum ludzi i koni
Tak różnej barwy, tak rozlicznej broni? —
Temu łuk z ramion i kołczan się jeży,
Jakby z Timura przybłąkał się czasów;
Inny w kolczudze — niby duch rycerzy,
Ze średniowiecznych wskrzeszony zapasów,
Wstał, wziął zardzałą misiurkę i zbroję:
Mumia — w żelazne spowinięta zwoje;
Temu — jak sosna wystaje z za grzbietu,
Gwintówka, czy też rodzaj falkonetu;
Ci, zbrojni w strzelby, ajbałty, mułtyki, 7)
Miecze i szable, noże i kindżały,
Ci w drzewce — długie nakształt masztów tyki,
Inni, w dzirity, arkan, samopały;
Co mąż — inaczej zbrojny i odziany;
Co koń — to innej maści i odmiany;
Rzekłbyś — przez dziwne natury igrzysko,
Odległych wieków, różnych plemion męże,
Zeszli się trafem na to uroczysko
By sobie wzajem okazać orężę.

Tłum się poruszył — i przed swym sułtanem,
W największym pędzie, choć w niesfornym szyku,
Przy najstraszliwszym, najdzikszym okrzyku,
Przeciagał w hufcach; — kurzawy tumanem
Jak chmurą czarną, nakrył się, omroczył.
Konie i jeźdźcy, wszystko na raz ginie,
Tylko kłęb został co z szumem się toczył,
Niby huragan przez piasków pustynie.

VI.

Ledwo się popis skończył — ludność cała,
Na plac wyścigów z krzykiem pobieżała;
Tam tętno życia. — Najlepsze rumaki,
Na bieg daleki przyuczone z młodu;
Jeźdźcy — to dziarskie i zwinne chłopaki,
W jeden rząd długi, stają do zawodu.
Już się puścili . . . o! meta nie bliska! . . .
Szóstą część nieba, musi przebiedz słońce,
Nim po nagrodę, do stóp uroczyska,
Powrócą pierwsi, najspieszniejsi gońce.
Lecą . . . jak z miejsca ruszyli . . . wciąż społem,
Jeźdźcy przygięci . . . wyciągnięte konie . . .
O! mogli wtedy w zakład pójść z sokołem,
Że mu w tym pierwszym zrównają przegonie;
Zda się na piórach . . . nie dojrzysz jak ziemi,
Dotkną kopyty . . . tylko pył za niemi,
Szlakiem od rwącej wyrzucany nogi,
Zdradza — że lecą nie ptasiami drogi. ⁸⁾
Już znikli . . . powiew, wzbity tuman zwionął,
I głucho — jakby jeźdźców step pochłonał.

Tłum widzów z serca niespokojnym biciem,
Patrzy — i czeka za gońców przybyciem;
To gra o zaszczyt, nie jeźdźców, lecz plemion;
Biegną na wzgórze . . . wspinają się z strzemiem,
Każdy rad w dali, najpierwszy znak chwycić,
Z niego — zwycięzcę odgadnąć . . . powitać.

Już pył... krzyk w tłumie — już tuman jak
[wstęga ...

Już jeźdźcy... widać, jak jeden po drugim,
Z granic błękitnych wstają widnokręga,
I w step się sznurem rozciągają długim;
Ha?... kilku w przedzie. Przez krzyki, przez
[znaki,

Radzi widzowie przemienić ich w ptaki,
Nie dość im szybko;... biegną na spotkanie,
Pletnią ich pędzą... ciągną na arkanie;
Co krok pomknęty, lub spóźniony zwierza,
Ich serce mocniej lub słabiej uderza.

Już dwóch najbliższych! koń wrony i siwy,
Obadwa w pianie, rozrzucone grzywy...
Rozdęte nozdrza... dwie świszczące strzały...
Tuż meta... W piersiach oddechy ustały!
Aż okrzyk w tłumie wybuchnął zebranych,
Oba stanęli razem przed sułtanem. —
Sułtan w nagrodę, płąt materyi drogiój,
Rozdarł — i rzucił zwycięzcom pod nogi.

VII.

Kiedy starszyzna zamknąwszy się w koło,
Ważnemi plemion zajmuje się sprawy,
Młodzież stepowa, pędzi czas wesoło,
A koń — to dusza igrzysk i zabawy;
Bo Kirgiz — prawie na koniu się rodzi,
Pierw jeździć umie, niż po ziemi chodzi;
Koń — jak powietrze, jak step, i jak niebo,

Stał mu się życia codzienną potrzebą.
Smutny czy wesół — w nim ma przyjaciela,
Co rzy w radości i smutek podziela,
A gdy wypuści na obszar bez końca,
I sam wiatr tylko, nad morzem traw szumi, —
Szczęśliw — że jedna istota żyjąca,
Jego uczucia dzieli i rozumie.

VIII.

Śród igrzysk — słońce zaszło po za góry,
I wieczór cichy, pogodny, majowy,
Z niebios płonących zachodniej połowy,
Przygaszał blaski jaskrawe purpury,
Coraz to rąbki zarzucał nań bledsze,
I tuman lekki unosił w powietrze.
To czas modlitwy, — wstał Mułła sędziwy, ⁹⁾
Odśpiewać namaz ¹⁰⁾; umilkł tłum zgiełkliwy,
Ucichły szepty, a schylone czoła,
Postawy korne, w ślad za zaszłym słońcem,
I głos kapłana nad gronem milczącym,
I uroczysta chwila — i dół koła
Rozległa przestrzeń pustynnego kraju;
Rzekłbyś — nad niemi ciągnął duch proroka,
I wskrós zasłony cielesnego oka,
Wiernym — rozkosze ukazywał raj.

IX.

Skończył się namaz, i ostatnie dźwięki,
Skonały w stepie; — gdy ludność kirgizka

Ohoczych gęśli, postłyszawszy brzęki,
Tłumnie rozdęte obległa ogniska,
Przy których, w kotłów klekocącym warze,
Podali ucztę, stepowi kucharze;
Sułtan i starzy wiekiem i rozumem,
Przedniejsze miejsca zajęli przed tłumem.
Już stopy mięsów, z baranów i koni
Znikły, — czerń głodna, chciwie rozchwyciła,
Dymiący przysmak, i nie w jednej dłoni,
Łopatka końska, lub goleń świeciła,
Z której biesiadnik zębem strawę zrywał,
W postawie — jakby na fletni przygrywał.
Nie dziw — lud prosty nie znał co wygody,
Co stół wykwintny, i dzikiej przyrody
Nie ułagodził formami sztucznymi —
W ręce brał pokarm, jadł siedząc na ziemi,
Co mu Bóg zesłał, pożywał bez braku,
A wygłodzony w trudach całodziennych,
Nie potrzebował kłaść przypraw korzennych,
Aby zaostrzyć stępiony zmysł smaku;
W prostocie ducha czuł rozkosz nie małą,
Gdy mógł nasycić utrudzone ciało. —
A kiedy jeszcze do tych nieba darów,
Popłynął strumień stepowych nektarów,
Gdy kumys — krążąc nawroty licznymi,
Pienisty, okrył perłami śnieżnymi
Powierzchnią czaszy, którą w dłonie obie,
Ujął biesiadnik . . . wtenczas cóż miał żądać!
Chyba . . . by taką, gdy już spocznie w grobie,
Raz jeszcze w raju Proroka oglądać.

X.

Przy ogniu, który starszyzna zebrana
W prawo i w lewo, od swego sułtana
Obsiadła, we dwa schodzące się łuki,
Wystąpił Bakczy, ¹¹⁾ — i różnemi sztuki,
Łamaniem ciała, mimiką szaloną,
Pragnął poważne rozweselić grono;
A lud — widowisk i zabaw nie syty,
Zbiegał się, tłoczył, ustawiał rzędami,
Jeden nad drugim, głowy nad głowami,
Rosły jak piętra, jak mur jednolity;
Tak, że ognisko złocąc swemi blaski,
Koła za kołem, tej dziwnej opaski,
Zdało się, gwiazdą strąconą śród cieni,
W krąg fantastycznych ujętą pierścieni.

XI.

Bakczy się rzucał, wyginał i krzywił,
Wywodząc z gardła, głos dziki, zwierzęcy,
Im mocniej wrzeszczał, im łamał się więcej,
Tem lepiej widzów i bawił, i dziwił;
Poczarne gesta i najdziksze ruchy,
Wzniewały w tłumie radości wybuchy.
Lecz najśmieszniejszą dla widzów miał postać,
Kiedy z potężnej misy napełnionej
Po brzeg kumyse, ¹²⁾ zębami chciał dostać
Pieniążek srebrny na jej dno rzucony;
Jak się przyczajał, potem oczy mrużył,
Kiedy się twarzą w kumysie zanurzył,
Jak się następnie podrywał od ziemi,

I strząsał z płynu, którym był oblany;
Każdy raz, takiej próby nieudanej,
Lud, obsypywał śmiechy szalonymi. —
I tej uciechy, nie byłoby końca,
Chociażby Bakczy, aż do wschodu słońca
Ponawiał próby, i ciało swe trudził,
Aniby widzów nasycił, ni znudził.

Ale się ozwał śpiew tęskny i miły,
I wszystkich oczy razem się zwróciły,
W kierunku głosu. Tłum w okrąg skupiony,
Otworzył przejście, i na środek koła
Z postawą, z której pierzchła myśl wesoła,
Powolnym krokiem, za rękę wiedziony
Wszedł śpiewak . . .

XII.

Miejsce zaszczytne mu dali,
Obok sułtana — a choć niewidomy,
Z pieśni szeroko w stepie był znajomy;
Jak Chodźy, ¹³⁾ jego szatę całowali.
Gdzie się ukazał, zbierały się tłumy,
W ślad za nim biegły, kędy się obrócił,
Bo im do serca były tęskne dумы,
Ślepy — wesołych już dawno nie nucił;
I gwar umilkł, skoro pierwsze dźwięki,
Z pod jego biegłej wypłynęły ręki.

Tam, widzieć trzeba, jak stepu synowie,
Pojmują wieszczą, gdy im go Bóg zdarzy;

Ile radości błyszczy na ich twarzy,
Jaka potęga, w jego każdym słowie.
Niebo, step, konie i życie pastusze,
Tłem jego pieśni — z którego ciąg zdarzeń
Snuje w natchnieniu — i proste ich dusze
Porywa z sobą do krainy marzeń. —
Ich lica, to jak zwierciadło bez skazy,
Na którym — władzą słowa czarnoksiężką,
Pieśń w rzeczywiste kształci się obrazy.
Zaledwo nutę posłyszają zwycięzką,
Im się wydaje, że już nogą jedną,
Stoją w strzemienu, — oczy blaskiem świecą,
Jurta i śpiewak z przed ich wzroku bledną.
Czują step w koło i siebie na koniach,
Ich oczy, myśli, ich uczucia lecą
Niedoścignione, jak wichry po błoniach;
Pieśń brzmi — i długo tłumiony w płuc cieśni,
Okrzyk wojenny, co dotąd nieśmiało,
Z piersi słuchaczów zrywał się, — nawała,
Jak wtór piekielny wybuchnął wśród pieśni.

Śpiewak — łagodniej struny gęśli trąca,
I niby jutrznia majowej urody,
Na dzikie lica, zstąpił blask pogody;
Uśmiech, jak promień wschodzącego słońca,
Na chmurne czoła, złoty połysk ciska,
I pieśń wesoła, z różnych stepu końców,
Przed chwilą wrzących, rozproszonych gońców
Zbiera — i w jurcie sadzi u ogniska.
Znow śpiewak ujął w posłuszeństwa karby,

Słuchaczów serca, — lecz niechże ton zmieni,
Niech do obrazów żywsze weźmie farby,
Niech do swej nuty dorzuci płomieni;
A jak w noc czarną, kiedy stepy płoną,
Niebo się smugi krwawemi oświeca,
Takim pożarem wre namiętne łono,
Tak krwawa łuna oświecła ich lica.
Śpiewak — to jedna dusza pośród koła,
Która wszechmocnie każdym nerwem włada,
Dotknie strun — piosnka popłynie wesola,
I zaraz radość huczy jak kaskada.
Uderzy w smutne, już obraz odmienny,
Jak gdyby wichur przeciągnął jesienny;
Każda twarz — barwy przybiera posępne,
I oko, w bólu na łzy niedostępne
Widzisz — jak rzewnym zanosi się płaczem.

O! w takiej chwili, i z takim słuchaczem,
Niechaj kto rzuci gorejące słowo,
Myśl straszna, niby chmurę piorunową,
A świat ten zburzy! — Oby się mógł zjawić
Wieszcz, coby takim wszechmogącym słowem,
Zdołał go życiem opromienić nowem,
I raz, z tych więzów ciemnoty wybawić.

XIII.

Do was się zwracam, piewcy mojej ziemi! . . .
Gdy Bóg w twą duszę piękności zarody
Rzuci, jak gwiazdy palące — którymi
Błyśniesz, zaświecisz, . . . słuchaj bracie młody:

To ogień niebios, tyś jego kapłanem,
Jak ołtarz Westy, chroń go nieskalanym,
Strzeż — jako Arkę starego przymierza;
I pierwszych iskier, myśli twojej plonów,
Nie rzucaj płocho na pastwę salonów;
Boś ty skowronkiem w cudne odzian pierza,
Nad poziom martwy, masz wznieść się

[— i śpiewać

I wiosną tonów, skrzepły świat ogrzewać.
A tu — z złoceniem czekają cię sidłem,
Wabią, — a skoro upłączesz się skrzydłem,
Olśnią cię blaskiem nieszczerzej pochwały,
Lot twój wyłamią dowcipy ostremi,
Z piórek oskubią, — z tych marzeń co miały
Wznieść cię pod niebo — byś pełzał po ziemi.
A potem puszcza — cóż poczniesz! bez pióry?
Rozczarowany, — czyż wzlecisz do góry? . . .
O! raczej dręcz się wiecznym niepokojem,
Że między bracią nikniesz zapoznany;
Boś ty Oazą — tą palmą nad zdrojem,
W ogromie pustyń, — liczne karawany
Zdała ominą, a rzadko zbłąkany
Przyjdzie wędrowiec, spocząć pod twem cieniem,
I zwilży usta spalone pragnieniem. —
Królestwo twoje, nie z tego jest świata,
Nie tu, a wyżej namaszczeń zapłata;
Tu — nędza, zawiść lub szyderstwo czelne,
A chcesz nagrody, poświęceń i trudu? . . .
Masz serce ludu! . . . więc śpiewaj dla ludu,
A pieśni twoje będą — nieśmiertelne!

Bo pieśń — to boskie w dziejach ludów
[słowo!

Jako piastunka, nad dziecięcą głową,
Tak lud, — niemowlę kołysze i pieści,
Czarownym wątkiem cudownych powieści.
Później — jak dziewczę, w dniach pierwszej mi-
[łości, —

Namiętą iskrą jednego spojrzenia,
Młodzieńcze piersi ludu, rozpłomienia
Urokiem szczęścia, sławy i wielkości. —
A gdy lud kona — jak matka w żałobie
Boleść swą w jęki przelewa i łkania,
I długo — pomnik mchem zrosły na grobie,
Mgłą nieśmiertelną jak krepą osłania.

XIV.

Ha! wróćmy na step, zasiąść u ogniska,
Gdzie gęśl śpiewaka, jak owe zjawiska
Gajów i jezior, w piaskach Kara-kumy, ¹⁴⁾
Słuchaczów w rajskie rzuciła zadumy.

W długiej pieśni, nucił śpiewak ślepy,
To barantę, to rozległe stepy,
Dziwów nieba i ziemi niemało,
Urok oka kirgizkiej dziewczyny,
I rycerzy błędnych śmiałe czyny. —
O! w tej chwili, wyznam — mnie się zdało,
Że to minstrel feudalnych czasów,
W jakim zamku odwiecznym Duglasów,
Przez czarowne wiedzie mnie krainy.

Śpiew już umilkł. Słuchacze się bali
Przerwać ciszy, — widać, że czekali
Dalszych pieśni. — Śpiewak pojął chęci,
Myślą — czerpnął ze źródła pamięci,
Lecz pod ręką wikłały się tony.
Chwilę dumał — potem snąć strudzony,
Wstał, — i tylko jakby na podziękę,
Przed odejściem — zanucił piosenkę. —



IV.

ŚPIEW.

I.

Co najdroższego miał śpiewak ubogi,
Wszystko wam oddał, bierze tursuk ¹⁵⁾ próżny,
Nowych doń pieśni, uzbierać śród drogi;
Tylko, gdzież ślepy znajdzie ich podróźny? . . .
Oczy mu zaszły czarną wieczną nocą:
Nie widzę wschodu, ni zachodu słońca,
Ani gwiazd, które tak cudnie migocą,
Ni stepów, tego kobierca bez końca,
Który wam wiosna, tysiącem farb kwieci;
Nie widzę ciągu kaczek, ni żurawi,
Ni jeźdźca — kiedy jak wiatr przez step leci,
Ni orła — kiedy pod niebem się pławi.
Wzrok mój — jak popiół wytłały ogniska,
Żadną już iskrą w piękny świat nie pryska,

I odbłask żaden od cudnej przyrody,
W nim się nie przejrzy, jak w czystym szkle
[wody;
To chyba cieszy, że nie widzę rzeczy,
Na które wzrok się zasmuca człowieczy.

II.

Nieraz — gdy noc mnie wśród stepów zastanie,
I na grobowym przylegnę kurhanie,
Sen nie przybywa — myśl pomimo chęci,
W ubiegłych czasów błąka się pamięci,
Posłuszna ręka, zaraz w akord trąca,
Jakby w nim była siła czarująca.
Duchy praojców, po gwiazdy promieniu,
Schodzą, by śpiewu posłuchać w milczeniu.
Widzę ich wtenczas — niecielesnem okiem,
Jak w zadumaniu, poważnem, głębokiem,
Stają nademną, chwytają słów dźwięki,
Czy w nich ślad znanej, pozostał piosenki?
Oni — od stepu, od synów chcą wieści,
Owianych wonią rodzinnego kraju;
Cóż im zaśpiewam? . . . jęk chyba boleści
Z piersi wyrwanej! . . . odniosę do kraju. —

III.

Miałem ich smucić — najsmutniejszym pie-
[niem? —
Że karawana dręczona pragnieniem,
Nie znajdzie źródła, gdzie płynęły wprzód?

Schną serca ludzi — i w stepach schną wody.
Pustynia serca, sroższe ma postępy,
Niż wichrem piasku, rozrzucone kępy.
Miałem ich smucić? . . . że ciągle pomory
Niszczą nam stada, zmniejszają obory,
A nad pomory — zawiść wściekła plemion,
Co tylko żywe, przykuwa do strzemion.
Wieczne najazdy . . . baranty ¹⁶⁾ krwią zlane,
Stepy w płomieniach, a szlaki zastane
Trupy końskimi; — ćma czarnego ptastwa,
O łup ten walczy, z tysiącem żebractwa. ¹⁷⁾
I miałem kończąc, smutne me wyznania,
Rzec, duchom ojców: O! dnia zmartwychwstania
Nie oczekujcie! . . . spiesznie zbierzcie koście,
W głąb' niedostępnych pustyni je unoście,
Bo złe — jak pożar stepu się rozszerza;
Wszak, brat już brata, poluje jak zwierza,
Matka, za strawę sprzedaje swe dzieci,
I mąż się podli, dla fraszki co świeci. —
A wróg w krąg czyha — jak żelazem ściska,
Wydziera bujne stad naszych pastwiska;
Wkrótce się każe zaprzec — i nazwiska.

IV.

O! — chciałem z żalu gęśl mą skruszyć w rękę,
By z niej takiego nie dobywać jęku,
Albo ją w łono zagrzebać kurhanu,
Niechby się z kośćmi praojców złożyła,
W proch z ziemi ztłąła, i tam im nuciła,
Sure ¹⁸⁾ rozkoszy z księgi Alkoranu. —

V.

Ale gdym w waszą zabłądził gościnę,
I pierś spaloną na stepowem wietrze,
Gór tych wolniejsze owiało powietrze;
Kiedym was zastał, jak wielką rodzinę,
Żyjącą w zgodzie, miłości, pokoju,
Liczną a sformą, i wrzącą do boju, —
O! rzekłem sobie: — Tu ojców duch stary
Nie zgaśł, tu drzewo z silnemi konary,
Na ich grobowym wyrosło kurhanie. —
Dzięki wam! . . . Cześć ci Kodarze sułtanie! . . .
Gdzie mąż tak prawy, lud tak dzielnej ręki,
Tam jeszcze śpiewak, nie traci nadziei,
Że może kiedyś, w dalszych lat kolei,
Piękniejsze z gęśli wysnuje piosenki.



Objaśnienia do części drugiej.

1. *Góra Su-meru* ważną bardzo gra rolę w kosmologii indyjskiej. Według wyznawców Buddy, zajmuje ona sam środek ziemi i przy stworzeniu świata, pierwsza wyszła ze wzburzonego oceanu, tworząc się z najwyższych jego bałwanów; ostatnia też przy skończeniu świata, zniknie z jego powierzchni. Z niższych bałwanów oceanu, powstało w czasie stworzenia siedm gór złotych i jedna żelazna, a z najniższych, cztery części świata żelazem obwiedzione. Odpowiednio tym czterem częściom świata, każda strona góry Su-meru z innej się składa kosztowności: część jej wschodnia jest ze srebra, południowa z lapis-lazuli, zachodnia z rubinu, północna ze złota. Słońce, księżyc i gwiazdy około tej góry obrot swój odbywają. Część jej wznosząca się nad morze, wynosić ma 80,000 judziana, to jest, około 30,000 mil niem.: Wierzchołek góry Su-meru zamieszkały jest przez trzydziestu trzech srebrnych geniuszów, duchów jasności, zwanych: Tegri, którym panuje Hormuzdy; zaś u spodu góry zamieszkują geniusze złośliwe, duchy ciemności, zwane: Assurii. Ciągła walka na górze Su-meru odbywa się pomiędzy geniuszami dobrymi i złymi, a to celem odebrania dobrym geniuszom boskiego nektaru. Jedni jak drudzy, przywdziewają pancerze ze złota, srebra, kryształu, z łukami i strzałami stawają do walki; dobry czy zły geniusz ugodzony w głowę, utraci życie. Boudhyści silnie wierzą w działalność tych geniuszów, że w miarę powiększania się dzieł dobrych na ziemi, duchy jasne biorą górę; przeciwnie, skoro liczba zbrodni przemaga nad cnotami, zwycięstwo jest po stronie duchów ciemności.

2. *Balcharz*, jezioro wielkie w bliskości granic chińskich, do którego wiele rzek wpada, wypływających z gór Tarbogatajskich i Ałatahskich, a żadna z niego nie wypływa. Kotlina pomiędzy temi górami stanowi kraj zwany „siedmiorzeczny“.

3. *Tundry*, są to rozległe przestrzenie błotniste nad brzegami lodowatego oceanu, na których tylko mech rośnie: jako ostatni ślad wegetacji w stronach stałego lądu, najdalej posuniętych ku biegunowi.

4. Społeczność indyjska dzieli się na kasty, których początek wywodzą Brahmini od samego Boga Brahmy w ten sposób, że Brahmini powstałi z jego głowy, wojownicy z ramion, rolnicy i kupcy z żołądka, a rzemieślnicy z nóg. Cztery strony góry Su-meru rzucając blask różnokolorowy, odpowiadają każdy właściwej sobie kaście; biały, brahmińskiej, czerwony: wojennej, żółty: kupieckiej i rolniczej, błękitny: rzemieślniczej. Co się nie da podciągnąć pod jedną z tych kast, jest „*parjā*“, to jest wyrzutkiem społeczeństwa. Każdy członek kasty może stać się *parjā*, skoro zaniedbywa obowiązków religijnych, używa potraw zakazanych, lub ma związki i stosunki z *parjasami* . . . Miliony takich nieszczęśliwych, wegetuje w Indyach, najpodlejsze prowadząc życie; prawa ludzkie i boskie Indostanu odrzuciły ich na wieki — nawet po śmierci dla *parjasa* nie ma pociechy religijnej.



Objaśnienia do części trzeciej.

1. *Sajga*, dzika koza, rodzaj Antylopy.
2. *Dwukoń*. — Kirgizy wyprawiając się na wojnę lub w daleką wędrówkę, zwykle biorą z sobą po dwa konie. Ścigając lub uchodząc przed nieprzyjacielem, przesiadają się z jednego na drugiego — luzem idący odpoczywa; tym sposobem, są w stanie w prędkim czasie dalekie przebywać przestrzenie.
3. *Berkut*, orzeł stepowy, którego Kirgizy zwykli układać do polowania.
4. *Auł*, osada z wielu *jurt* czyli namiotów złożona.
5. *Czekan*, rodzaj młotka ostro zakończonogo na drewnianej rękojeści; służył niegdyś w czasach rycerskich do rozbijania zbroi przeciwnika; u Kirgizów dotąd jako broń używany.
6. *Batyr*, to samo znaczy w języku Kirgizów co w naszym bohater.
7. *Ajbatty*, *multyki*, nazwiska broni palnej.
8. *Ptasią drogą*, nazywają Kirgizy powietrze.
9. *Mulla*, duchowny mahometański.
10. *Namaz*, modlitwa.
11. *Bakczy*, czarnoksiężnik, lekarz, trefniś; zazwyczaj wszystkie te przedmioty łączy, bakczy w jednej osobie.
12. *Kumys*, napój upajający, robiony z mleka kobyłego.
13. *Chodźża*, jest to nazwisko, dodawane tym z wyznawców Mahometa, którzy robili pielgrzymkę do Mekki i Medyny.
14. *Kara-kum*, piaszczysta pustynia przy granicach

Chiwy; jest tu mowa o owych zjawiskach pustyni, znanych pod nazwą *Fata-morgana*, pojawiających się oczom każdego podróżnika na wielkiej pustyni Sahara, a które Dr. Tripplin widział nawet na stepach południowej Francji.

15. *Tursuk*, worek skórzany, w który Kirgizy, puszczając się w drogę, biorą dla siebie żywność potrzebną.

16. *Baranta*, właściwie mówiąc, jest nie co innego, tylko nocna kradzież koni, nie pojedynczych, ale odrazu całej stadniny. Baranta u Kirgizów nie jest połączona ze wżgardą, którą narody cywilizowane piętnują ludzi oddających się podobnemu rzemiosłu; przeciwnie, u nich jest to pewien rodzaj odznaczenia, z którego się chlubią.

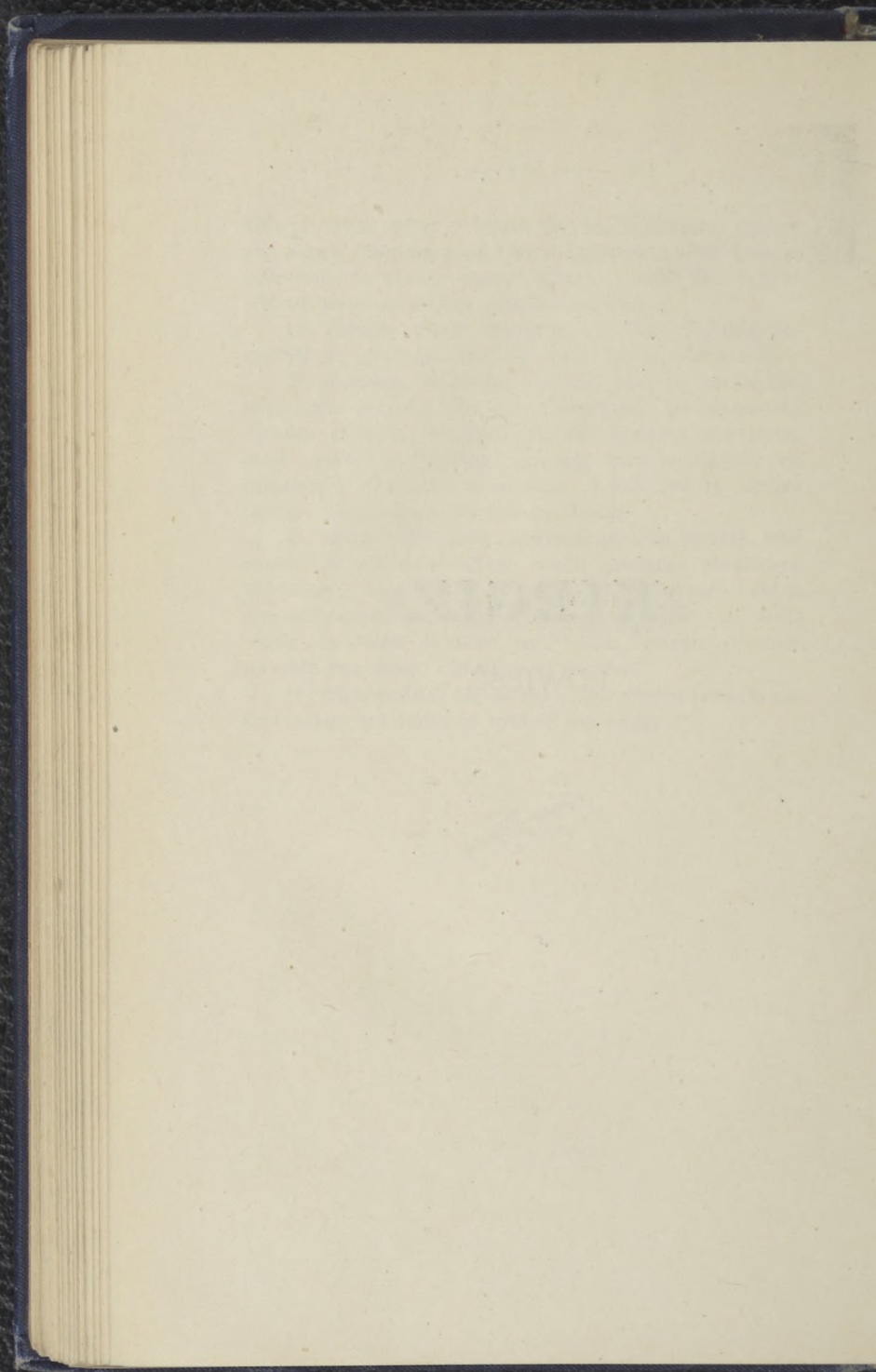
17. Obraz klęsk, jakie pociągnęły za sobą baranty, mianowicie w początku XIX-go wieku pomiędzy plemionami kirgizkimi, wzięty jest z rzeczywistości; tysiące rodzin przywiezionych zostało do żebractwa, tak dalece, że wiele matek dla braku środków wyżywienia, zmuszonych było sprzedać swe dzieci, sąsiadującym narodom.

18. Alkoran dzieli się na *sury*, których jest przeszło sto, Sura znaczy toż samo, co rozdział lub księga.



KIRGIZ

POWIEŚĆ.





KIRGIZ.

I.

Dość — dość żyłem nie sobie ...
Duszno, ciasno jak w grobie
Życ zamkniętym, w ścian czterech niewoli ...
Mnie tu nuda zabije! ...
Ha! ... tam chyba ożyję,
Gdzie powietrza, ... gdzie stepów do woli ...

«Bom na stepach się rodził;
Wiatr pustyni mnie chłodził,
Gdym na koniu, biegł stada dozierać ...
Ciągłe widne niebiosy,
I step lśniący od rosy ...
Ach! tam tylko, i żyć i umierać.

«Berkut z gniazda choć dzieckiem
Wzięty sidłem łowieckiem
Sądzisz, — zbratał się z tobą człowiecze! . . .
O! poczekaj, niech z wiosną
Pióra w skrzydłach porosną,
Puść go tylko — on wie gdzie uciecze.

«Koniu! i ty u toku
Tęsknisz, choć ci obroku
Ani wygod nie zbywa stajennych —
I ty, nie tuś się chował . . .
Ciebie Kirgiz hodował . . .
Nam nie użyć w tych jurtach *) kamiennych.

«Noc pomyślna do jazdy,
Świeci księżyc i gwiazdy.
Biały tuman po łąkach wije się . . .
Śpij — nie czekaj nas panie! . . .
Na dzień dobry, w świtanie
Wiatr ci chyba wieść o nas przyniesie.»

* * *

Lecą — w lewo i w prawo
Mkną przedmioty tak żwawo,
Że nie poznać: dom, wzgórze, czy drzewo.
Lecą — jeździec wzniósł czoło,
Spojrzał — stopy wokoło . . .
Przed nim, za nim, na prawo, na lewo.

*) *Jurta*, namiot Kirgizki, pokryty wołokiem formy półkolistej.

Tu skończyły się drogi;
Przed nim, za nim — rozłogi
Puste, równe, faliste, szumiące. —
Gdy w nich Kirgiz żegluję
Któż mu drogę wskazuje? . . .
Niebo tylko, przez gwiazdy lub słońce.

Lecą — któż ich ^{do}goni? . . .
Tylko trawa się kłoni
Gdzie ją rumak w przelocie dotyka;
Ślad i jeździec — to chwila,
Wnet się trawa odchyła,
Jeździec przemknął — a za nim ślad znika.

Zioła, trawy w śnie drzemią . . .
Między niebem a ziemią,
Nikt nie czuwa, nie żyje — w pustyni
Jeździec powiódł oczyma,
Tak — nikogo tu nie ma
On sam — w środku téj ciemnej świątyni.

W tem czarnoksiężkiem kole,
Kraina mroku w dole,
Lecz jej krańców, wzrok jeźdźca nie sięga —
Kraina światła — w górze,
Iskrzy w ciemnym lazurze,
Środkiem jasna przesłania ją wstęga.

* * *

Zatrzymał konia, spał się w strzemieniu,
Rozpostarł ręce z czuciem dziecinnem,

Aby po długim, długim cierpieniu,
Odżyć, powietrzem stepu gościnnem.
Jemu się zdało — czystsze i lepsze —
A więc je chwycił z takim pośpiechem
Jakby chciał jednym — pełnym oddechem,
Objąć w pierś, całe stepu powietrze.
I długo, długo, jak ten co łaknie,
Bał się — czy jemu tchnień nie zabraknie.

* * *

Odżył; — opuścił koniowi wodze,
A sam się rzucił po myśli drodze,
Drodze samotnej, dzikiej — a która,
Jak nić pajęcza gdy nią wiatr miota
Wiła się przez step jego żywota.
Jeździec był duszą — koń, jej tłumaczem; —
Myśl — którą jeździec drzeniem udzielał,
Koń ją pojmował i w pędy wcielał;
A niebo, ziemia, były słuchaczem.
Przez dni dziecinne, szedł stępym krokiem;
Pustoty dziecka, znaczył podskokiem;
A w lekkich susach z nogi na nogę,
Przeskakał chwile młodości błogie.
Czwałem go niosły lata młodzieńca
Gdy rozwinięszy skrzydeł swych loty,
Puszczał się w kraje dzikiej tęsknoty;
Pędzi . . . i nagle kołem zakręca *),
Bo na wspomnienie cierpkiej niewoli,

*) Tym sposobem Kirgizi, zatrzymują w największym pędzie swoje rumaki,

Opuścił głowę i szedł powoli.
Lecz gra namiętnych żądź i uniesień
Co żółci życie, jak trawy jesień,
I zemsta — zemsta . . . co jak gadzina
Owija serce . . . koń — chrapi, prycha . . .
Żuje wędzidło, pieni się, wspina,
I jak błysk, co ćmy nocne rozpycha,
Sunął z kopyta — i gnał szalony,
Piekielną myślą jeźdźca pędzony.

* * *

Koń już ustawał od szybkiej jazdy,
I jeździec myśli zwrócił od siebie;
Zwrócił je w przestrzeń, puścił po niebie,
I mówił sobie: — „Cóż są te gwiazdy?
Co na niebieskim iskrząc się sklepie,
Migocą różnych światel odbiciem? . . .
Czy to nie kwiaty na lepszym stepie? . . .
Czy to nie twory z ognistym życiem? . . .
A nasz step tylko zasian kwiatami,
Co się tak pilnie w niebo wpatrują;
Te kwiaty, pewnie będą gwiazdami
Tym, co po niebie w północ koczują . . .
Jak tu tchnąć miło! . . . jak ta przyroda
I wiecznie piękna i wiecznie młoda!
Może-li człowiek, który ma serce,
Więzić się pośród murów ciasnoty,
Mając pod stopą takie kobierce?
Mając nad głową takie namioty? . . .

* * *

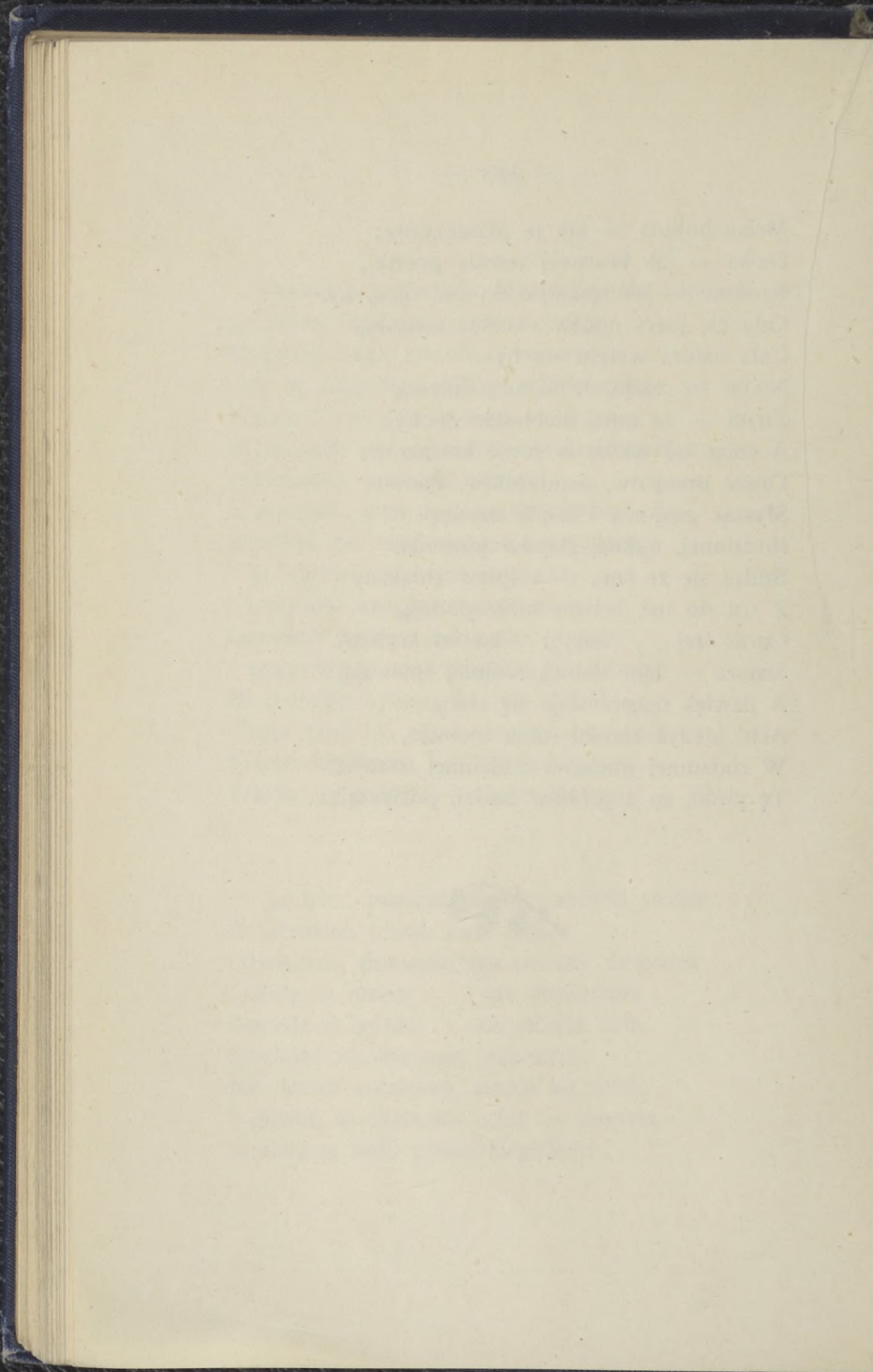
Dniało . . . Wschód płonił się jak dziewica,
Na której blade cierpieniem lica
Wytryska nagle szczęścia rumieniec,
Gdy jej przysięga miłość młodzieniec.
Poranny wietrzyk szumił po trawie,
W słupach się wzniosły muszki brzęczące;
Zaklekotały w dali żurawie;
A promień, którym błysnęło słońce,
Prześliź, po całej stepów przestrzeni,
I na miliony rozbrył promieni.
I wszystkie krople wiszącej rosy
Ogniem życiem dyamentu grały;
I wszystkie ptasząt zbudzonych głosy
W jednego hymnu ton się zlewały.
Chcąc czuć ten obraz wielki, wspaniały,
Trzeba kapłanem być tej świątyni,
Trzeba się rodzić — synem pustyni.

* * *

Jeździec, powitał pieśnią wschód słońca . . .
Z szerokich piersi, nuta lecąca
Dźwięczna, doniosła, jak srebrny dzwonek
Odbiła w niebo, — i jak skowronek
Zawisła w górze; . . . aż, drżąca cała,
Spadając zwolna tony niższemi,
Jak deszcz wiosenny, zesłała ku ziemi,
I gdzieś, w dalekiem echu — skonała.
O dziwna nuto pieśni kirgizkiej! . . .

Melancholijna — jak te płaszczyzny;
Dzika — jak krwawej zemsty pociski;
Rzewna — jak tęskność do pól ojczyzny.
Gdy cię pierś mężka z siebie wylewa,
Cała natura wyęży słuchy;
Niebu się zdaje, że to step śpiewa,
Ziemi — że nucą niebieskie duchy;
A śniąc od wieku w łonie kurhanów,
Dusze praojców, naddziadów, ~~stanów~~,
Słyszac znajome i bujne dźwięki
Rodzinnej, tęsknej stepów piosenki,
Budzą się ze snu, — i śpiew zbląkany
Z ust do ust, echem sobie podają,
Coraz łzej . . . ciszej; . . . bo im kurhany
Starsze — tem słabiej, wolniej śpiewają,
A dźwięk ostatni staje się ciszą.
Ach! kiedyż znowu stepu ojcowie,
W rodzinnej nucie, w rodzinnej mowie,
Tę pieśń, co z grobów budzi, posłyszają?





II.

Słońce spuszczało się do zachodu,
Jeździec, nie dosięgł kresu podróży;
Czuł głód i trudy. — On, śmiał się z głodu;
Do trudów życia przywykł za młodu;
Lecz dostrzegł znaki niechybnej burzy.
Wbiegł więc na kurhan, co niedaleko
Krył kości, całą przodków puściznę;
I przez dłoń zgiętą po nad powieką,
Na otworzystą spojrział płaszczyznę.
Patrzył . . . lecz próżno; — oku sokoła
To, czego szukał wypatrzyć trudno,
Nikt tu nie mieszkał . . . tylko dokoła
Wzrok padał, w przestrzeń głuchą, odludną.
Zskoczył — do ziemi przyłożył ucho . . .
Słuchał . . . czyli się co nie poruszy . . .
Czy szmer nie dojdzie? . . . Nie! . . . zewsząd głucho .
W stepie, ni jednej żyjącej duszy! . . .

Wietrzył . . . bo się w lot przejąć spodziewał
Choć pyłek dymu ognisk koczowych . . .
Nic! . . . tylko zapach kwiatów stepowych
Mgłą balsamiczną w krąg go owiewał.

* * *

Cóż to? . . . czyż on się zląkł kiedy grozy?
Wszak jeszcze małym będąc chłopięciem
Nieraz wędrownie rzucał obozy,
Za obłąkanem gonić źrebięciem,
Lub zbierać w tabun rozpierzchłe trzody;
Wtenczas się uczył przenosić głody.
Wtenczas, za płochą ścigając sarną,
Gdy spotkał chmurę gromową, czarną,
Wtenczas . . . z odkrytą piersią i głową,
Oślepił się rzucał w burzę stepową.
A teraz — kiedy w pustynie wrócił,
I ledwie życia zaczął kosztować,
Miałżeby podle tych ścian żałować,
Które, z radością taką porzucił? . . .
Nie! . . . na kurhanie stojąc zakłękłym,
Poglądał w chmury okiem niezłękłym;
I na swym koniu czekał spokojny
Jak gdyby tylko hasła do wojny.

* * *

W ciemne obłoki kryło się słońce,
Ostatni promień złocił ich końce,
W chmur się szczeliny zakradał, wciskał,
Ich szczyby ogień, w otworach błyskał;

I nim się w składy ćmy gęstej schował,
W jaskrawe pręgi zachód malował.
Lecz, coraz czarniej piętrząc się chmury
Tak odgrodziły, od cieniów kraju
Dziedzinę światła — jak wielkie mury,
Co strzegą dawnych granic Kitaju.
Ta chwila była — straszną i piękną! . . .
Trawy nie szemrzą, muszki nie brzękną . . .
Powietrze duszne, ciężkie i parne . . .
Ziemia przeleżała . . . pół niebios czarne . . .
I tylko w dali, jak echo w górach,
Grom się rozlegał głucho po chmurach.
W pewnych odstępach, silnym podmuchem
Wicher rwał liście, kwiaty, motyle,
I kręcąc niemi, wiązał na chwilę
Niebo i ziemię, barwnym łańcuchem;
I znowu cicho; — w powietrzu sucho . . .
Na ziemi duszno . . . na niebie głucho . . .
Lecz wiatr, który się wzmagał i ścichał,
Coraz sił większych zdał się nabierać,
Z chmur ściany, zaczął płyty oddzierać,
I te, z niezwykłym pędem popychał
Goniąc, przez całe niebios przestworze.
To niby okręt pchnięty na morze
Leci, a wiatru pełne ma żagle;
To ptak — w olbrzymie opatrzon skrzydła
To jakieś dziwne pędzą straszydła;
I to tak szybko, i to tak nagle,
Że ledwo jeździec ruszył powieką,
Już w toń ciemności nikły daleko.

* * *

Czasem, z chmur przerwy gwiazdeczka strzeli,
Jak gdyby dobrzy z niebios anieli,
Widząc kipiącą nad jeźdźca głową
Piorunną burzę, w łonie zawiei,
Chcieli mu spuścić, pociechy słowo,
Chcieli mu posłać, uśmiech nadziei.
Ale niestety! . . . ów promień błogi,
Co niósł anielskiej datek litości
Do jeźdźca duszy, — mimo szybkości
Obłok lecący, przeciął w pół drogi.

* * *

Pędzą chmury za chmurami
Coraz większym, gęstszym tłumem;
Aż ostatnia, z świstem, szumem,
Przeświecana błyskaniami
Dudni, huczy, grzmi. —

Deszcz kroplami padł wielkimi . . .
A kwiat stepu spragnion wody,
Chwyta usta zawiedłemi
Te powietrznych pól jagody
Rozpłynione w łyzy.

Głucho . . . nagle straszny blaskiem
Cała chmura w zygzag pękła;
Step rozwidniał — ziemia jękała
Gdy w jej łono huknął z trzaskiem
Piorunowy strzał.

I z czarnego zaraz stropu
Deszcz ulewny rzeką lunął,
Jakby w nowy dzień potopu
Cały obłok się usunął
I step zalać chciał.

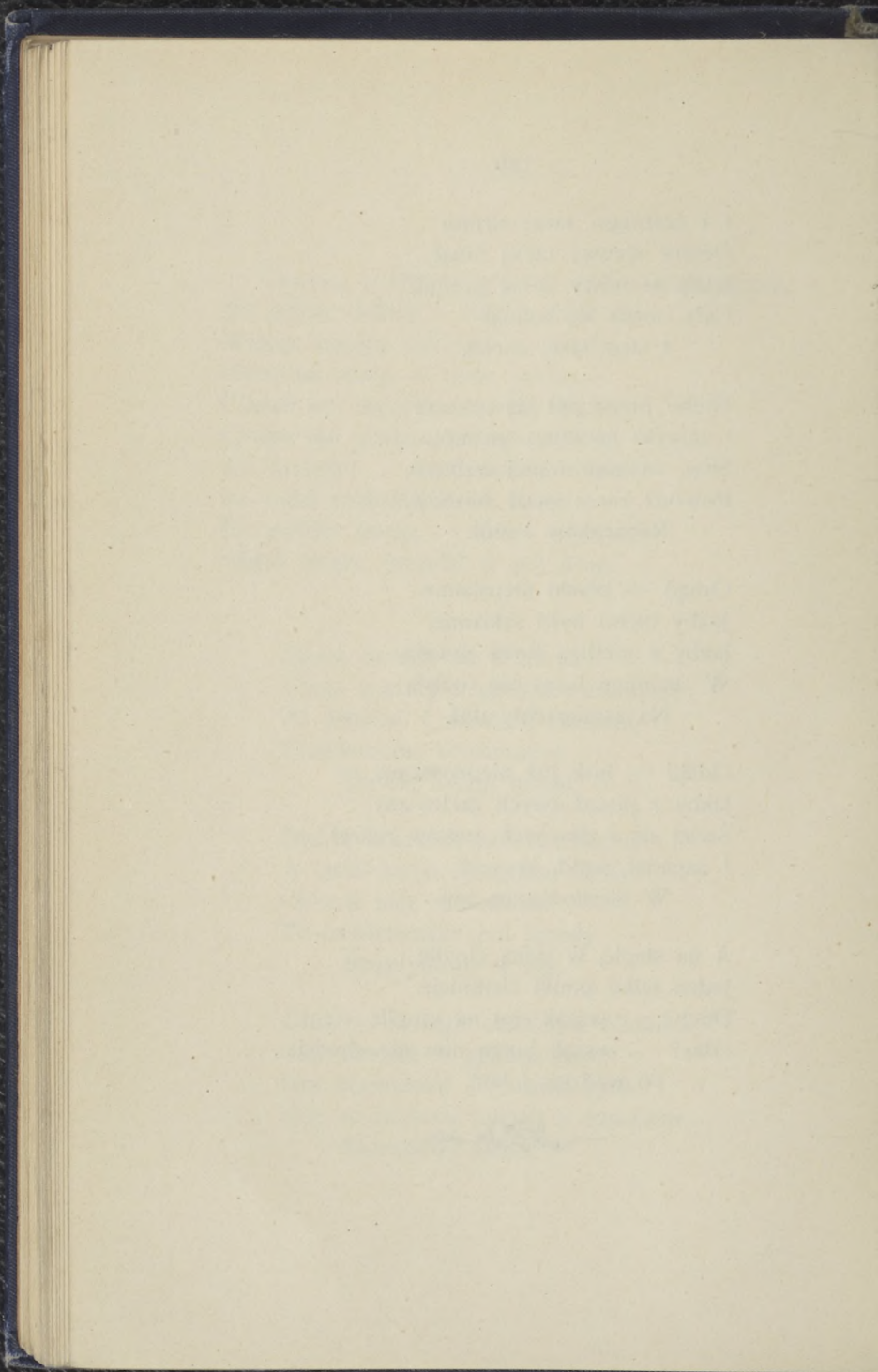
Niebo przez pół się otwiera
I zamyka na klucz gromów . . .
Step, wodami wyżej wzbiera;
Powódź znosi świat atomów,
Robaczków i ziół.

Odtąd — błyski nieustanne:
Jakby niebo było szklane,
Jakby z niebios Boża chwała,
W strumień jasny się rozlała
Na zamierzchły dół.

Odtąd — huk już nieprzerwany —
Jakby z posad swych zachwiany,
Świat się z dawnych zrębów ruszył,
I zapadał, walił, kruszył,
W nieskończoną toń.

A na stepie, w jasną chwilę
Jeden tylko punkt ciemnieje.
Duch? . . . wszak stoi na mogile . . .
Głaz? . . . wszak burza nim nie chwieje . . .
To jeździec i koń.





III.

Gość! . . . gość przyjechał! . . . ta wieść jak
[goniec

Z końca aułu *) na drugi koniec
Leci — i wszystkich umysł zaprząta.
Gość! . . . gość! . . . to jedno tak rzadkie słowo,
Całą siedzibę wstrząsa koczową.
Starzy i młodzi — każdy się krząta,
I zaraz baran najtłustszy z stada,
Na cześć przybysza pod nożem pada.

* - *

O! nie mniej obraz był ożywiony
Po za aułem, gdzie liczne trzody
Szukały paszy u brzegów wody.
Koń jeźdźca, wolno z uzdy puszczoney

*) *Auł*, koczowisko kirgizkie, z kilkunastu a niekiedy z kilkudziesięciu jurt złożone.

Zarzał i czwałem pobiegł ku stronie,
Kędy mu w odzew zarzały konie;
Wpadł do ich środka — a całe stado
W mgnieniu skupione, zbitą gromadą
Z zdziwionym wzrokiem, poważnie kroczy,
I przybyszowi zagłada w oczy.
Ale poznawszy z obcej postaci,
Że to nie żaden z tabunnych braci,
Konie uszyma strzygą . . . prychają . . .
Postąpią krokiem, to znowu stają . . .
Aż w końcu jakby druha poznały,
Radosnem rzeniem gościa witały;
Trzody — jak gdyby chcąc radość zdwoić
Wtórem ryczały — i psy czekały
Długo nie mogąc się uspokoić.

* * *

W jurcie największej, wkoło ogniska
Zebrana cała ludność kirgizka,
Tłumnie, zajęła miejsca na ziemi.
Bij *) głowa rodu, siadł na wojłoku
Szytym starownie wzory różnemi;
Gościa przy swoim umieścił boku;
A dalej kołem obsiedli drudzy,
Rodzina Bija i jego sładzy.

* * *

Ognisko, wielkim kotłem zduszone,

*) *Bij* — znaczy toż samo, co lepszy, znakomitszy; jest to pewien rodzaj artystokracji stepowej.

Siląc się dobyć ze szranków ciasnych,
Ogarnia kotła boki zczernione,
I wyskakuje w płomykach jasnych,
Jak rój wzruszonych w swem gnieździe węży;
A blask, padając w strony — oświeca
Ostre, wydatne, wąsate lica
Zawiędłych w trudzie stepowych męży,
I żon ich twarze wychudłe, śniade,
O oczach lśniących, ukośnych, małych;
Co tam jak wiedźmy, w swych płachtach białych
Snuły się — warząc w kotle biesiadę.
Blask ten od węgla i iskr lecących,
W tej mieszaninie światła rażących,
Nadaje jakieś barwy oddzielne,
Przez pół zbójeckie, przez pół piekielne,
Najbliższym kształtom. — Dalsze, w półcieniu
Na tle się ciemnem jurty, rysują;
Jak te postacie, które w marzeniu
Nagle się jawią, — a w przebudzeniu
Chwilkę się jeszcze przez pamięć snują
I zaraz toną w zapomnień fali.
A ze ścian jurty — siodła i z stali
Kute zbroice, jak gwiazdy nocą,
Branem z ogniska światłem — migocą.

* * *

Pryska, wre, szumi, kipi — wieczerza;
Jej zapach, co się w jurcie rozchodził,
Mile o zmysły gościa uderza,

Bo gość, trzy doby w stepach się głodził,
Nim się czwartego dnia, przed wieczorem
Z pierwszym koczowym spotkał taborem.
Uczta gotowa — wnet przez kobiety
Piław *) barani, z kotła dobyty,
Gospodarz stawia przed sobą — kraje...
Co tłustsze kąski bierze palcami,
Oblepia ryżem i rodzenkami,
I te gościowi do ust podaje.
I zaraz służba do mis drewnianych
Nalewa kumys **) z naczyń skórzanych,
Który tem w stepie — czem śród uczt pańskich
Sok wytłoczony z jagód szampańskich.

* * *

Gość jadł za czterech, — bowiem domowi
Co na wieczerzę tłumnie przybyli,
Chętni, usłużni swemu gościowi,
Wszyscy go razem z rąk swych karmili,
A gość nie gardził gościnnym kęsem.
Znikają stopy ładowne mięsem,
Schnie w misach kumys — a w całym tłumie
Igra na twarzach uśmiech radości. —
Gość, chcąc pokazać, że cenić umie
Dobre przyjęcie, w prawach grzeczności
Ubiedz się nie dał, — bo gdy wieczerzę
Gospodarz dzieląc, wkoło rozdaje,

*) *Piław* — ulubiona potrawa na całym Wschodzie.

**) *Kumys* — napój upajający, z mleka kobyłego, wysoko ceniony przez Kirgizów.

Gość, na stepowe baczny zwyczaj,
Najlepsze kąski sam w palce bierze,
I z uprzejmością, jak sąsiad blizki,
Posyła do ust młodej Kirgizki;
Lecz częściej jeszcze w jej piękne lice,
Zatapia pełne ognia źrenice.

* * *

Za kim tak jeździec oczyma strzela? . . .
Córka to Bija, śliczna Demela.
Szesnaście ledwie poczęła latek,
Świeża, młodziuchna, jak stepu kwiatek
Kiedy się rankiem rozwinie z pączka;
Jej kibić giętka — jej drobna rączka
Odgarnia z czoła, włos kruczy, lśniący,
W siedmiu plecionkach na twarz płynący;
A z za tych wązkich, ciemnych warkoczy
Przetkniętych w perły, — żywe jej oczy,
Jak czarny węgiel, gdy się rozżarzy,
Siały promienie z ogniska twarzy.

* * *

Wzdłuż i wszerek przeleć całą pustynię
Od ujść Sir-Darii do Ajaguzy,
Od zapadłego Urgantu w gruzy,
Do siedmiu źródeł, z kąd Iszym płynie,
I w całym bujnym stepie Iszymba
Równiej w piękności Demela nie ma,
Ani mieć będzie, — bo blask jej lica,
Na wdzięki drugich wzrok rzuca taki,

Jak w noc pogodną pełnia księżycą
Na koczujących światła orszaki;
Bo twarz jej, której nic nie ochmurza,
Sądzisz— wśród śniegów rozkwitła róża.
A gdy jej uśmiech usta rozdzieli,
To ząbki błyszczą tak cudnej bieli,
Że pereł sznurek zdobiący szyję,
Ze wstydu między piersi się kryje.

* * *

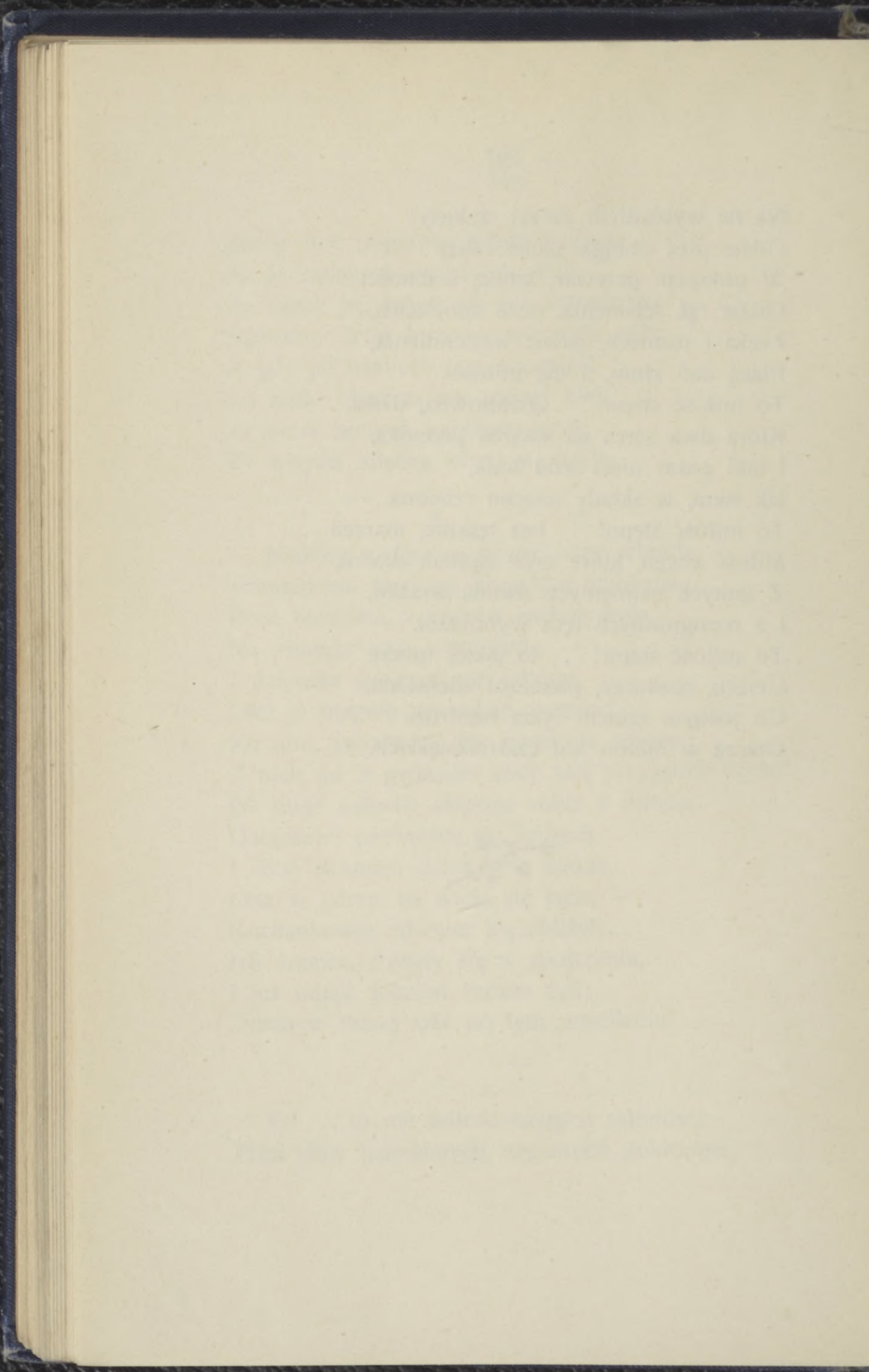
Jeździec, okiem w jej się oczy wkrada,
Tchnieniem, łowi jej dziewicze tchnienia;
Rosa szczęścia, z niebios zachwycenia,
Na płonące jego serce pada, —
I dziewica spojrzeń nie odtrąca,
Lecz je biegnie uprzedzić, powitać,
Ku nim, zwraca się jak kwiat do słońca,
Z nich, jak z gwiazdek chce swą przyszłość czytać.
Jak dwie wierzyby skłonne sobie z młodu,
Gałązkami pochwycą się, splączą . . .
I choć strumień dzieli je u spodu,
One w górze, na wieki się łączą —
Kochankowie, również się zbliżyli . . .
Ich źrenice, zbiegły się w spojrzeniu,
I już odtąd, jednym życiem żyli;
Dusza w duszę szła po tym promieniu.

* * *

O! . . . to nie miłość naszych salonów,
Tkań słów jedwabnych, zręcznych pokłonów,

Na tle wybladłem czczej etykiety;
Gdzie płeć obojga szuka zalety
W pokryciu przywar, sztuką wabności . . .
Gdzie rąk ściśnienia, oczu spojrzenia,
Łezka i uśmiech, nawet westchnienia,
Płacą dań złotu, a nie miłości.
To miłość stepu! . . . gwałtowna, dzika,
Która dwa serca na wskrós przenika,
I taki pożar nieci śród łona,
Jak iskra, w składy prochu rzucona. —
To miłość stepu! . . . bez tęsknic, marzeń . . .
Miłość chceń, które myśl żądłem drażni,
Z samych namiętych osnuta wrażeń,
I z rozognionych tęcz wyobraźni. —
To miłość stepu! . . . to jakieś morze
Uciech, rozkoszy, pieśczoł edeńskich,
Co jednym rzutem życia bezdroże
Otacza w milion kół czarnoksiężkich.





IV.

Noc — w swe gwiaździste skryła kotary
Uśpioną ziemię. — W namioty ciemne,
Odziane w jakieś kształty niezemne,
Orszakiem wietrznym snują się — mary,
I obsiadają w krąg twarde łoża
Śpiących Kirgizów. — Ach! wtenczas może
Myśl nieśmiertelna, drzemiąca we dnie,
Gdy jej powłoka zmysłów nie trzyma,
Przeze mgłę, co się rozplywa, rzednie,
Ucieka wyżej duszy oczyma,
I tam, w niezemskim słońcu jasności,
Widzi się cząstką każdej piękności.
Lecz, gdy się ciało do ruchu zbudzi,
Czyż dusza prostych stepowych ludzi,
W swoją łupinę twardą, zmysłową,
Znowu powrócona, znowu zamknięta, . . .
Czyliż ta dusza choć jedno słowo
Ze swoich nocnych widzeń pamięta? . . .

* * *

We śnie głębokim spał auł cały, —
Sam jeździec, oka do snu nie mruży,
Bo jego myśli w ciągłej podróży,
W przeszłość i przyszłość ostrzem leciały. —
Bo dwa uczucia walką śmiertelną
Rwały ku sobie duszę młodzieńca:
Miłość — uśmiechem w raj ją zachęca,
Zemsta — ją strąca w otchłań piekielną. —

* * *

Długo się w mętnych myśli tumanie
Błąkając jeździec, ledwie był w stanie
Wysnuć nić ciągłą z życia pamiątek.
«Wszak to lat drugi płynie dziesiątek —
«Rzekł — jak mnie młode wówczas pachole
«Sprzedano w obcą, ciężką niewolę.
«Rosłem — wśród szyderstw zgrai dworowej,
«Na najpodlejsze skazan posługi.
«Tęskniąc do swojej strony stepowej,
«Kląłem dzień, co mi dwoił się długi;
«A gdy noc przyszła, gdy świat spał głucho,
«Stawał przede mną krwawy trup ojca,
«Budził mnie ze snu, — i szeptał w ucho
«Leć! . . . mścij się! . . . dotąd żyje zabójca! . . .
«Milczę . . . schnę . . . pory przyjaznej czekam . . .
«Nadeszła! . . . rzucam mury . . . uciekam . . .
«Jak ptak, co skrzydłem swobodnem płynie
«Lecę, w rodzinne moje pustynie.
«Witam step z dawna mi niewidomy;
«Spotykam wichry, burze i gromy,

«Aż wycieńczony od trudów, głodu,
«Spostrzegam wreszcie — widoku czuły
«Po tyłu leciech! . . . pierwsze auły. —
«Wpadam, nie pytam jakiego rodu,
«Bo w każdym głosie, stroju, postaci,
«Poznaję swoich — i jak mych braci
«Ściskam, całuję, łza z ócz mych tryśka . . .
«Mnie wtenczas urok jakiś czarował! . . .
«Wszakżem zabójcę ojca całował! . . .
«I u jednego siadł z nim ogniska.
«Przekłęta gwiazda co mnie tu wiodła! . . .
«Przekłęta pamięć co mnie zawiodła! . . .
«Jam go nie poznał — bo przed mym wzrokiem
«Olśnionym nagle szczęścia widokiem,
«Miłość — zwodniczą rozpięta tkanę.
«I byłbym może, odkrył się . . . zdradził . . .
«Lecz Bij, przez jedną przeszłości wzmiankę,
«Z lubego błędu mnie wyprowadził.
«Czyż tak w przeznaczeń wyryto księdze? . . .
«Że gdy mnie straszna ściga powinność,
«Padnę . . . ulegnę wdzięków potędze,
«I nędzny! . . . od tych przyjmę gościnność,
«Którym nienawiść przysiągłem wieczną!»

* * *

Jeździec — jak gdyby broń obosieczną
Wepchnął do piersi, tak w wrzącej duszy
Dwoistych uczuć doznał katuszy.
W jurcie mu duszno . . . ledwie oddycha . . .
Rzucił bezsenne łożę, i zcicha

Tak, aby obok śpiących nie zbudzić,
Jak cień się przemknął zakrytym wchodem;
Sądząc, że nocnych powiewów chłodem
Potrafi ogień piersi przystudzić.
Błąkał się długo — lecz noc milczeniem
Nie uciszyła burz w jego łonie.
Gdzie szedł . . . nie wiedział. — Aż z zadziwieniem
Dostrzegł, że nie on sam tylko czuwał,
Bo z jednej jurty stojącej w stronie,
Dym się otworem wierzchnim wysuwał
I wił, olbrzymim słupem w niebiosy.
Podchodzi . . . staje . . . słyszy dwa głosy . . .
Głos jeden wstrząsł nim, — a złością drżący
Już chwycił za nóż z boku wiszący . . .
Lecz się opomniał . . . O! nie, . . . on tylko
Chciał niewidzialnym pozostać świadkiem
Zamiarów wroga; — a więc, ukradkiem
Podpełzł ku jurcie, podniósł wojłoku
I ciekawemu dał wstępy oku.

* * *

Bij, siedział w głębi, długi wąs gładził
I patrzył okiem pełnym zdziwienia
Na starca, który w okół płomienia
Nożem na piasku krąg oprowadził.
Starzec dziwacznie i pstro odziany,
Miał twarz surową, wzrok obłąkany;
Wziął gęśl, wszedł w koło, i rzutem ręki
Dobył z strun, dzikie, ponure dźwięki.
Brząknął — i długie dawał przestanki

Aż mu głos wybrzmiał z ostatnich ruchów;
Bo każdy z tonów, roje złych duchów
Za czarodziejskie miał pędzić szranki.
Opuścił gęsłą — i bacznym wzrokiem
Powiódł po jurcie — wnet, rączym skokiem
Za nóż pochwycił zatknięty w ziemi,
I nim, z oczyma roziskrzonemi,
Na wszystkie strony machał, wywijał,
I w jedno miejsce dał pchnięć niemało.
Musiał coś dostrzedz, choć się zdawało,
Że czcze powietrze tylko przebijał.
Lecz na ten widok, obaj patrzący
Zbledli . . . struchleli . . . Bij, jak liść drżący
W obiedwie ręce twarz chowa, wciska . . .
I jeździec, nie śmie puścić oddechu,
By który szajtan *) gnany — z pośpiechu
W nim nie chciał sobie obrać siedliska.

* * *

Starzec, spokojnie na miejsce wrócił,
Wziął kość barana, na węgle rzucił
I patrzył, jak jej powierzchnią białą,
Ogniste rysy jęły okrywać,
Bo miał z ich liczby przyszłość zgadywać. —
Lecz długo szeptał niezrozumiało,
Wywracał oczy, kołysał głową,
Nim pierwsze ludzkie wymówił słowo.
«Biju, gdy jesień przed nami blisko,

*) Szajtan — zły duch.

«I w kraj cieplejszy nasze ognisko
«Przenosić mamy — los nam coś wróży
«Wielkie nieszczęście w naszej podróży.
«Jakie? . . . to memu zakryte oku . . .
«Widzę ja wprawdzie, jakąś mdłą postać,
«Lecz tak daleko i w takim mroku,
«Że jej na jaśnią nie mogę dostać.
«Kto ona? — jakie knuje zamiary? . . .
«Czekaj, możniejsze uczynię czary.
«Wszak w mych pielgrzymkach po białym świecie,
«Trzykroć z modlitwą byłem w Azrecie*)
«Biłem pokłonem grobowcom hanów;
«Wiem, co się tai w łonie kurhanów,
«Znam ziół własności, znam zwierząt głosy;
«A jeśli cisnę okiem w niebiosy,
«Te gwiazd miliony, co nocą krążą,
«Dla mnie jak głoski w słowa się wiążą.
«Więc — całej wiedzy, wszystkich sposobów,
«Choćbym miał ruszyć zmarłych z pod grobów,
«Ruszę, i wszystkich zaklęć użyję,
«Aż ową postać co mi się kryje,
«Wydre z najgłębszych przyszłości ciemnic;
«Bo dla mnie w świecie nie ma tajemnic.»

* * *

Rzekł — chwycił gęsłą — zrazu głos stłumiał,
Potem wciąż wzmagał i w rzutach zręcznych
Brzmiał wprawna ręką po strunach dźwięcznych,

*) *Azret* — miejsce równe święte dla Kirgizów, jak Mekka dla innych wyznawców *Mdho*meta.

Aż wreszcie — z taką mocą zaszumiął,
Jak wichur, kiedy nagłym powiewem
Całego drzewa wzruszy szelesty.
Grze swej wtórował przeciągłym śpiewem;
Twarzy — okropne nadawał giesty.
Trupie i przyschłe do kości lice
Konwulsyjnymi ruchami drgały;
Głęboko wpadłych oczu źrenice
Na obie strony szybko latały,
Lub się daleko w powiekach kryły,
I tylko białkiem szklisto świeciły.
I straszno było w tym stanie szału
Widzieć — jak starzec, wywiędły, suchy,
Wiekami okrzepłym, członkom i ciału
Wprost mechaniczne nadawał ruchy.
I coraz pieśni piał przeraźliwsze;
Z wszystkich strun razem dobywał tony,
I w drgania, ruchy i skoki żywsze
Łamał swe członki — aż, wysilony,
Jak spadłej bryły bezwładne brzemię,
Całym ciężarem runął o ziemię.
Długo tak leżał nieporuszenie . . .
W jurcie, nastało głucho milczenie,
Strach — obu widzów dreszczem przeszywał;
Tylko trzask iskier z polan płonących
Rzucając światło, ciszę przerywał
Minut — spokojnie w wieczność ciekących.
Nareszcie starzec ciężkim westchnieniem
Dał znak, że żyje — mało po mału
To rąk, to głowy, to nóg poruszeniem

Zwolna, ruch nadał całemu ciału.
Powstał i długo robił piersiami
Jakby z nużącej podróży wrócił;
I z zamkniętymi ciągle oczami
Odszukał gęśli, wziął ją do ręku,
Strun zlekka trącił i przy ich dźwięku
Taką pieśń głosem słabym zanucił:



V.

Dziwny . . . dziwny sen ja miałem!
Biju, młodszym cię widziałem . . .
I jam młodszy był.
A przed nami ulubiony
Stał Pegliwan, koń twój wrony,
Jak pomnisz gdy żył.

«Wsiądźcie — rzekł koń bez obawy,
Jeżdżę nocą szukać trawy
Aż w Edeński kraj.
Insze stepy, inne życie,
Insze światy zobaczycie,
Wsiądźcie« — wsiedlim dwaj.

«Lecim, lecim . . . końca nie ma . . .
Ziemia niknie przed oczyma,
Nowa . . . nowsza błoi.

W rączym pędzie lotnej jazdy
Gwiazd sięgamy, z gwiazd na gwiazdy
Sadzi dzielny koń.

«Ćmi się w oczach, gdy przez bezdnę,
I otchłanie nieprzejezdne
Jeden daje skok.
A zpod kopyt oderwane,
Lecą gwiazdy zdruzgotane
W głąb' przepaści — w mrok.

«Stanął i rzekł: — «tu granica.
Patrzcie!... co za okolica?...
Co za cudny świat?...
Jaką trawą łąki słane!...
To kobierce z liści tkane
W różnowzory ład.

«Patrzcie!... w blaski jak mieniący,
Stu-promienny, niewiędnący...
Každy kwiatek lśni.
A w dotknięciu, z listków jego
Jak z warkocza dziewczęcego
Srebrna piosnka brzmi.*)

«Patrzcie!... co ta błoń wypasa?...
Jakich koni stado hasa?
To nad cudy cud!...

*) Dziewczęta Kirgizkie przyczepiają w koniec warkocza na plecy spadającego, rozmaite ozdoby metalowe, mianowicie srebrne monety, które za najlżejszem poruszeniem głowy dźwięk wydają.

Wy, z baranty sławni w świecie ...
Tu sprobujcie, tu znajdziecie
Godny siebie trud.

«Lecz na dzieło kto się waży,
Bądź ostrożny — bo na straży
Czuwa księżyc sam.
Lada kwiatek zdradzić może,
Księżyc — rzuci złote łoże,
Wtenczas — biada wam!

«Tyś zsiadł, przypadł ... i ukradkiem
By nie trącić trawką, kwiatkiem,
Pełniesz ... pełniesz wciąż ...
I przymykasz się do stada
Cicho — jak wilk gdy się skrada ...
Ostrożnie — jak wąż.

«Jesteś w środku ... arkan w dłoni,
Ciskasz ... chwytasz tego z koni,
Co był wodzem stad;
Wsiadłeś ... poczuł, kto nim włada ...
Zarzął ... ruszył ... a gromada
Mknie za tobą w ślad.

«Ja nadbiegam na twym wronym;
Lecim pędem tak szalonym,
Jak sarny przez step.
Księżyc z jurty wyrzął blade,
A niewidząc, gdzie jest stado,
Wbiegł na niebios sklep.

«Wbiegł . . . zaświecił . . . jak obręczą
Siedmio-barwną śmignął tęczą,
Lecz nie dosięgnął nas;
A więc w pogoń naszym śladem . . .
Bo przez niebo poza stadem
Jasny został pas.

«Lecim . . . lecim . . . w tej podróży
Strach nam nieraz oczy mróży,
Czuję . . . zawrót, szal . . .
Gdy przez otchłania, przez szczeliny
Przepaścistej gwiazd krainy,
Umykamy w cwał.

«To, jak gdyby z gór spadzistych,
Po dróżynach stromych, szklistych,
Sunie — tylko stuk
Po niebiosach się rozlega,
Gdy za nami stado zbiega
W dół — na mglisty smug.

«I jesteśmy w chmur przestrzeni . . .
Księżyc, siatką swych promieni
Już nas zlekka drasł.
Tyś mu obłok w oczy cisnął . . .
On krwią zaszedł, kłutwą świsnął,
Padł . . . i we mgle zgasł.

«Stado nasze! . . . ziemia blisko . . .
I rodzinne koczowisko
Widać z wietrznych gór . . .

Wtem — mgła pęka . . . błyskawica
Jakby z zemstą za księżycą,
Grzmi za nami z chmur.

«Grzmi . . . lecz nagle kształt swój zmienia,
Niby dziecko . . . a wpół mgnienia
Zda się olbrzym rość . . .
Już nas chwyta . . . spojrzę w lice . . .
Biju! . . . znam tę błyskawicę! . . .
To młodzian — twój gość! . . .

* * *

Umilknął starzec — Bij się zadumiał . . .
On, ciemną piosnkę, jasno zrozumiał;
Bo z pieśni wątku, za jednym razem
Księga przeszłości, karta za kartą
Jego pamięci stała otwartą;
Każdy jej wyraz był mu obrazem.
Przywołał w myślach cały wiek młody,
Ów wiek, gdy dzika pali tęsknica, . . .
Jak rzucił biedną jurkę rodzica,
I uszedł w stepy szukać przygody.
Tam — aż do głodnych pustyń zagnany *)
Nie o przygody szło mu miłośne,
Ale o imię szeroko-głośne;
O zdobycz stadnin, lub karawany.
Na wzmiankę o nim auły drżały . . .

*) *Głodnym stepem*, okoliczni mieszkańcy nazywają wielką pustynię Gobi.

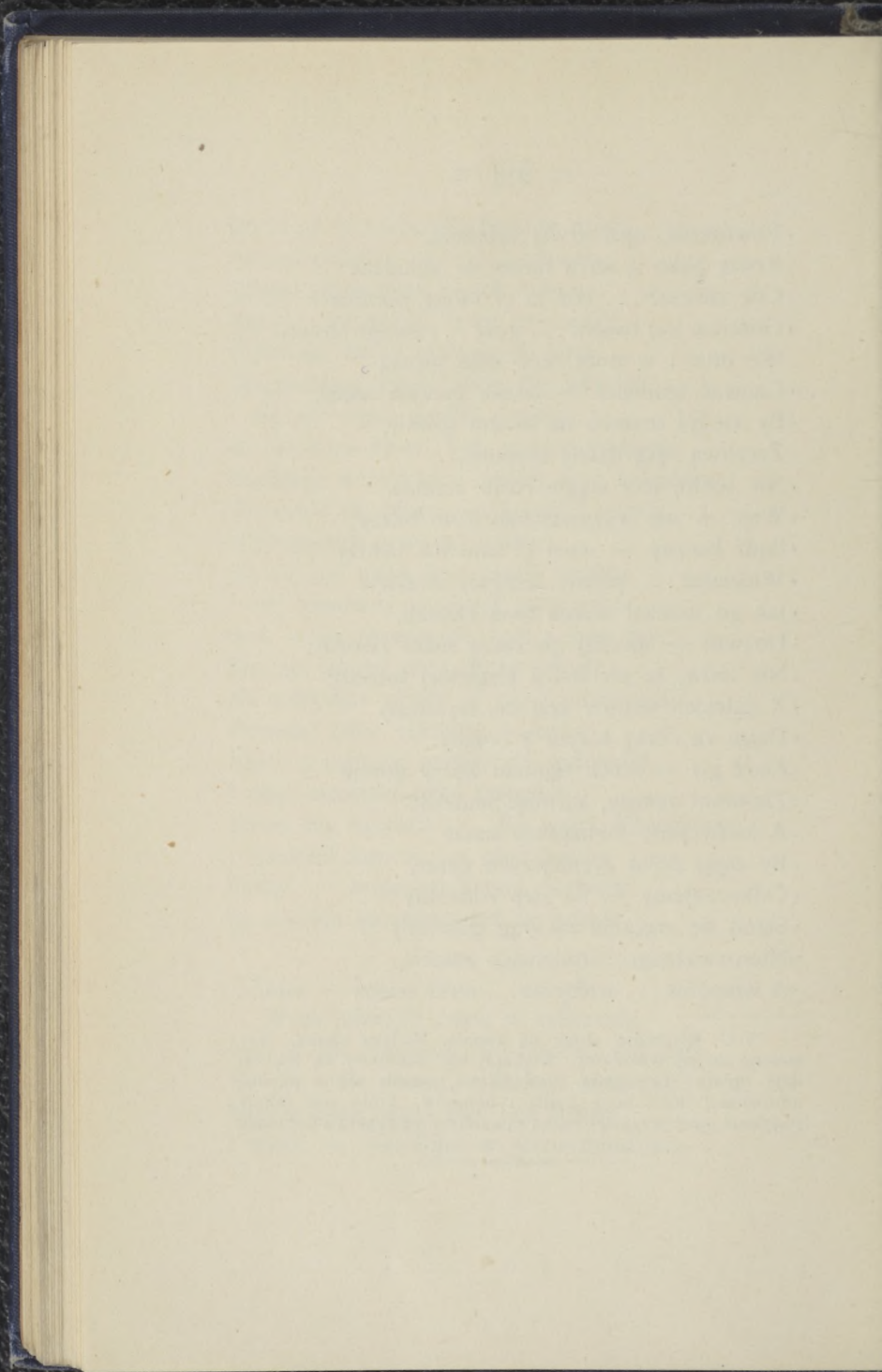
Bo choć w rzemiośle baranty nowy,
Ale przebiegły, zręczny, zuchwały,
Zawsze szczęśliwe czynił obłowy.
Raz — samotrzeci, nocą prowadził
Ogromny tabun porwanych koni . . .
Wschodzący księżyc ucieczkę zdradził
I nie dał czasu zmylić pogoni,
Bo wnet za niemi, tym samym szlakiem,
Nadbiegł właściciel z swych sług orszakiem.
Wszczęła się bitwa; — krzyki i strzały
Uciekających zewsząd witały;
Bij się nie uląkł, lecz natarł mężko,
I bój nierówny skończył zwycięzko:
Sam wódz przeciwnik, legł z jego ręki . . .
Słudzy, śmierć pana skoro ujrzeli
Na wszystkie strony w stepy pierzchnęli.
Pozostał tylko chłopiec maleńki,
Który z zabitym rozstać się wzbraniał,
I trup ojcowski sobą zasłaniał.
Mimo łez, krzyków . . . Bij wziął chłopczynę
I sprzedał kupcom w obcą krainę.
Odtąd — zaniechał barant, rozboju . . .
By swoich zbiorów użyć w pokoju.

* * *

Wiele ubiegło czasu w milczeniu
Nim je Bij przerwał — «Starcze! daj radę
«Co ja mam począć w takim zdarzeniu?»
Starzec zachmurzył swe lica śniade
I rzekł: — «O! .Biju! w sercu młodziana

«Powinność, ojca krwią zapisana,
«Krwia tylko z serca może się zgładzić.
«Cóż chcesz? . . . cóż ja ci mogę poradzić? . . .
«Gościem jest twoim . . . gość . . . święte słowo! . . .
«We dnie i w nocy, nad jego głową
«Czuwać winienes — wszak życzysz sobie,
«By kiedyś drzewo na twoim grobie,
«Życzliwą ręką dzieci sadzone,
«Nie schło, lecz ciągle rośło zielone.
«Więc — nie wyzywaj napróżno burzy;
«Bądź baczny — wnet ci sam los usłuży . . .
«Widziałeś . . . bośmy wszyscy widzieli,
«Jak go urzekał wzrok twej Demeli,
«Dozwól — niechaj go czcza mara zwodzi;
«Nie mów, że pierwsi z kirgizkiej młodzi,
«Z dalekich stepów szłą do cię swaty
«Dając za córkę kałym *) bogaty.
«Łudź go — niech ogniem żądry goreje . . .
«Zapomni zemsty, karmiąc nadzieje . . .
«A kiedy jurty zwinąwszy nasze
«By zająć dolin żyzniejszych paszę,
«Odkoczujemy — na step rodzinny . . .
«Staraj się zręcznie za krąg gościnny
«Nierozważnego młodzieńca zwabić,
«A wtenczas . . . wtenczas . . . rzekł zcicha — zabić».

*) U Kirgizów, żony się kupuje. Rodzice panny, stosownie do jej wdzięków, większej lub mniejszej za nią żądają opłaty. Ta opłata czyli *kałym*, składa się z pewnej umówionej ilości koni, bydła i baranów, które pan młody rodzicom swej przyszłej, przed zawarciem małżeństwa dać musi.



VI.

Za danym znakiem — auły zdjęto,
Zebrano sprzęty, — jurty zwinięto,
I na dwukolne złożono wozy.
Zwolna — ruszają ciężkie obozy;
Step się ożywia, pstrzy i zaludnia,
A nad taborem — lotnemi pióry
Dzikiego ptastwa wędrowne chmury,
Szybują z krzykiem, w strony południa.

* * *

Liczne wzdłuż równin ciągną się stada:
Na czele idzie owiec gromada
Mocnych, wypasłych i ciemnej wełny,
U każdej kurdjuk *) tłuściości pełny;
Dalej, rozrosły buchaj na przedzie,

*) *Kurdjuk* — jestto ogon krótki u owiec kirgizkich, który tak wypełnia się tłuściością, że w końcu przybiera postać wielkiego garbu. Ta osobliwość, odróżnia owce kirgizkie od wszystkich innych gatunków owiec.

Czerwono-bury z pręgi czarnemi,
Zwolna, schylając łeb swój ku ziemi,
Ryczące stado za sobą wiedzie.
Dalej w odstępach: tu dojne kłacze,
Tam źrebiąt tabun igra i skacze;
Owdzie poważne brodate kozy,
Wielbłądy juczne, ładowne wozy,
Pod okiem bacznem co wszędy czuwa,
Cały się tabor w stepy posuwa,

* * *

Ludność kirgizka — starzy i młodzi
W spiczastych czapkach — lśniących jerhakach,*);
Kobiety w czadrach **) i pstrych kołpakach;
Dziewki i dziatwa, co ledwie chodzi,
Strojno, bogato — wszyscy na koniach.
Młodzież harcuje z boków po błoniach;
A całej hordy zgiełkliwe pienie,
Ryk stad przeciągły, i koni rzenie,
I głos chrypliwy skrzypiących osi —
Echo, daleko w stepy roznosi.

* * *

Ludno, wesoło — w pustej krainie. —
Tu słyhać pieśni, tam łowców krzyki;

*) *Jerhak* — suknia męzka ze skóry źrebięcej, włosom na wierzch odwróconej, z obszywkami aksamitnymi jaskrawych kolorów. Sam jerhak, pospolicie bywa czarnego lub brunatnego koloru, krojem zupełnie do tureckich chałatów podobnym.

**) *Czadry* — zasłony u Kirgizek białe, głowę, wyjąwszy twarz i pół figury, okrywające.

Z leż, wypłoszony czujny zwierz dziki,
Zdała przed gwarem pierzcha w pustynie;
Łowcza go zgraja ściga i szczuje,
Lub ugłaskanym orłem poluje.
Cokolwiek pomknie na step bezdrożny,
Czy lotna sarna, czy wilk ostrożny,
Który się milczkiem z łoży wykrada,
Już w pogoń za nim berkut puszczoney
Leci, dopędza, na grzbiet mu siada,
Bije skrzydłami, ściska w swe szpony,
I krzywym dziobem wydziera oczy.
Z bólu i strachu, przełękłe zwierzę
Póty na miejscu kołem się toczy,
Aż który z łowców pędem przyskoczy,
I ze szpon orła zdobycz odbierze.
Tymczasem inni — pomykające,
Nahajką z konia biją zające.

* * *

Sunie się tabor — a przodem bieży
Kilku zwinniejszych z grona młodzieży;
Dziwią zręcznością — próbują siły, —
Bawią, natarciem udanej bitwy;
W końcu do widnej w dali mogiły,
Stawają rzędem zacząć gonitwy.
A kiedy konie czekając znaku,
Już niecierpliwe rwą się do biegu,
Na dzielnym, wronym, pędząc rumaku
Młoda dziewczyna, staje w szeregu. —
Na znak — puszczają konie — i lecą ...

Zaledwie kroków sto ulecieli,
Wiedziony wprawną ręką kobiecą,
Wyprzedza wszystkie, rumak Demeli.
A jeśli który z współzawodników
By ją zatrzymać, posunie dłoni...
Dziewczyna w pędzie, zwija się... broni...
Pletnią zuchwałość karcąc młodzików;
I przodek bierze — i w każdej chwili
Coraz się od nich odsuwa dalej.
Niektórzy — konie nazad zwrócili,
Inni — w połowie mety zostali;
Jeden ją ścigał, konia nie szczędził,
Zbliżał się... równał... aż ją dopędził,
A kiedy wbiegli na kurhan razem,
Tak ją zaklinał czułym wyrazem:

* * *

«Demelo! słuchaj!... dłużej nie zwlekaj...
«Teraz czas... teraz ze mną uciekaj.
«Ja ci przysięgam... jak Allach w niebie,
«Dla ciebie jednej — tylko dla ciebie
«Zrzekłem się mojej zemsty — na wieki!...
«Tu już gościnnej dla mnie opieki
«Nie ma, — nadbiegną... patrz!... niedaleko...
«I bezbronnego w sztuki rozsieką...
«Jeżeli nie chcesz by ta mogiła
«Krwiają moją w twych się oczach zbroczyła,
«Uciekaj!... czas jest... ujdziem pogoni,
«Noc wkrótce swymi nas cieniem osłoni.»
Mówił wzruszony i ręką drżącą

Chwycił jej konia cugle puszczone,
I tak wpół chcącą i wpół niechcąca,
W największym pędzie powiódł w tę stronę,
Kędy zarośle, jak modra wstęga
Kończyły w dali skraj widnokreśła.

* * *

Wtem — trzech się konnych z tłumu oddziela.
Widać, że pogoń — bo w ślad za niemi
Pędzą, zaledwie tykając ziemi.
«Patrz! . . . patrz! . . . mój ojciec!» krzyknie Demela.
«Nie bój się droga — jeździec odpowie, —
«Odstęp dość znaczny . . . a słońce nisko . . .
«I konie dzielne . . . i krzaki blisko . . .
«To Bij nieprędko o nas się dowie,
«A jutro . . . już nas nikt nie rozdzieli!»
Świsnął — i na wschód jak wiatr lecieli.

* * *

Jedni i drudzy, mkną stepem chyżo,
Lecz raz rzucony między nich przedział
Nie uległ zmianie. — Ktoby powiedział
Że się do siebie nigdy nie zbliżą!
Wnet, — słońce zaszło, wiatr wiał zachodni,
Coraz to ciemniej, coraz to chłodniej,
Zmierzch padł na stepy, — przez chwilkę jeszcze
Jeźdźcy, jak plamki czernią się w mroku;
I coraz, coraz nikną ze wzroku . . .
Tylko z pod kopyt trawa szeleszcze.

* * *

«Stójcie! — Bij krzyknął do swej drużyny —
«Już nic nie widzę — noc taka ciemna . . .
«Dalsza gonitwa całkiem daremna;
«Wszak co najlepsze konie z stadniny
«Mają pod sobą. — Droga szczęśliwa!
«Niech lecą!» — wrzasnął z dzikim uśmiechem;
A step szyderczem powtórzył echem:
«Niech lecą!» — «Jako? — Bij się odzywa:
«Mam wrócić? . . . wrócić . . . i żyć zhańbiony? . . .
«O nie! . . . wiatr z dobrej wieje nam strony . . .
«Puścim za nimi takie pogonie,
«Od których żadne nie ujdą konie. —
«Wy dwaj — jak można ode mnie dalej
«W prawo i w lewo ruszcie, a żywo,
«Macie przy sobie krzemień, krzesiwo . . .
«Niechaj z was każdy stopy zapali.»

* * *

Wnet na trzech punktach, stał iskry ciska . . .
Iskry, w garść suchej trawy ujęte,
Podmuchał wiatru silnie rozdęte,
Trzy, śród przestrzeni, tworzą ogniska,
Co tak pełgają promieniami mdłemi,
Jakby trzy gwiazdy legły na ziemi.
Ogień się rzuca na zeschnięte zioła,
Wiatr go rozdyma, miota, roztrąca . . .
I już się palą trzy wielkie koła,
Jak gdyby z niebios spadły trzy słońca.
Z tych kół ognistych, przez podmuch świeży,
Żar się wylewa w jasnym potokach,

A każdy potok w step czarny bieży
W liniach, zygzakach, węzach, przeskokach.
Już wichrem gnane w przestwór daleki
Z traskiem i sykiem płyną trzy rzeki,
Płyną . . . wzbierają, falą płomieni;
Niebo się krwawą łuną czerwieni.

* * *

«Luby! . . . patrz! . . . jak się niebo oświeca . . .
«Czy księżyc wschodzi? . . . «O! blask księżycy,
«Droga Demelo nie takiej mocy . . .
«To pewnie błyszczą zorza północy.»

* * *

Ogień — z wściekłością ciągle rosnącą,
Coraz się szerszem korytem leje,
Bucha . . . iskrami sypie . . . szaleje . . .
I już trzy rzeki z boków się łączą,
I straszny pożar, w lewo i w prawo
Płomienną, długą toczy się lawą.
Zbudzony światłem, z pobliskich krzaków
By dzień powitać, leci rój ptaków;
Leci . . . na skrzydłach, waży się, śpiewa . . .
I milknie — w paszczy otchłani wrzącej . . .
Paszcza wciąż zije — a krzaki, drzewa,
Gdy je obejmie oddech palący,
Stawają w ogniu, i jak gwiazdami,
Chwilę złotemi trzęsą liśćmi . . .
Przeszło . . . i drzewa w popiół się sypią . . .
A jako fale wzburzone kipią,

Tak huczząc leci powódź płomieni;
Niebo się coraz krwawiej czerwieni.

* * *

«Luby! jak widno!... czyż to być może,
«By tak okropnie świeciło zorze?...
«Patrz!... jak za nami błyska czerwono!»
«Ha! — krzyknął jeździec — to stepy płoną!»
I nim od ogni oczy odwrócił,
Zmienił kierunek i w bok się rzucił.
«O moja droga!... jak zajrzę okiem,
«Tak wszędzie pożar... pasem szerokim
«Przez całe stepy zdaje się płynąć...
«Ale się nie trwoż... miej więcej męztwa...
«Oby nam tylko prąd ognia minąć,
«Wyjdziemy zdrowo z niebezpieczeństwa.»

* * *

Lecą... wiatr świszcząc... coraz gęstszymi
Step się kłębam dymu ocienia.
A dym, jak goniec gdzie dotknie ziemi,
Rozwija czarny sztandar zniszczenia.
«Demelo... konie nierówno biegą...
«Twój się opóźnia... spiesz... czasu niema...
«Allach! twój pada!... przesiądź na mego...
«Zbawienie blisko... patrz! przed oczyma
«Las... byle tylko stanąć w tym lesie.
«Wiatr, od nas pożar bokiem przeniesie!»

* * *

Rzekł, — Demela, lekko na koń wsiada;
Jeździec ręką wpół kochankę chwyta,
Pędzi konia . . . wzrokiem ognisk bada . . .
I drży . . . a koń, jeździec i kobieta
Kłębem dymu, jak chmurą owiani,
Fałą ognia, jak piekłem ścigani,
Umykają z największym pośpiechem.
Wtem — wiatr z ognisk takim żarem wionął,
Że duszącym objęty oddechem
Padł koń drugi i ducha wyzionął.

* * *

Jeździec groźno wzniosł oczy do nieba,
Twarz mu dzikim pałała wyrazem. —
«Luba! . . . luba! . . . tu się rozstać trzeba! . . .
«Śmierć już blisko! . . . umierajmy razem!» . . .
I zbłąkany wzrok topiąc w jej lice,
Dodał głosem największej żałości:
«Oh! . . . już nigdy, nigdy nie nasycę
«Ani zemsty, ani mej miłości! . . .»

* * *

Jak dwie wierzby przy jednym strumieniu
Gałązkami ujmą się, pochwycą . . .
Tak młodzieniec z stepową dziewicą,
W tem ostatniem, smutnem uściśnieniu,
Pocałunkiem usta do ust zlali;
Duch się z duchem, tchnienie zbiegło z tchnieniem
Pocałunkiem i tem uściśnieniem
Tu — na całą wieczność się żegnali.

* * *

I przeszło przez nich morze płomieni . . .
Przeszło . . . a w miejscu zgasłych pożarów,
Dziś znowu cisza pośród obszarów,
I jeszcze bujniej step się zieleni.



PRZYPISEK WYDAWCY.

„Kirgiz“, zajmujący pierwsze miejsce między utworami poetyckimi Gustawa Zielińskiego, ze wszystkich jego utworów jest najwięcej znanym, doczekał się bowiem mnóstwa różnych wydań, które go spopularyzowały. Są one niemal wszystkie, dosłownym przedrukiem pierwszego wileńskiego wydania z 1842 r.

W 1855 r. gdy J. N. Bobrowicz postanowił wydać w Lipsku „Kirgiza“, w ozdobnej ilustrowanej edycji, i zwrócił się w tym celu do autora, autor przejrawszy swój rękopism, porobił w nim niektóre poprawki. Wydanie więc lipskie Bobrowicza, a następnie temuż podobne lwowskie Iгла, z 1867 r., są wydaniem „Kirgiza“ poprawnemi. Podług tych więc wydań poprawnych i my w niniejszem wydaniu tekst „Kirgiza“ podajemy, przytaczając w dopisku warjanty, z pierwszego wileńskiego wydania.

J. Z.



WARJANTY.

Str. 177, wiersze: 10 i 11.

Niebo, co się w krąg zgina,
Step — koń — wszędzie gościna;

Str. 178, wiersze 14 i 15.

Ciemna — tylko lśnią gwiazdy,
Mgła w dolinach, rozdroża po lesie;

Str. 178, wiersze: 21, 22, 23 i 24.

Że się w jeden szlak ciemny zlewają.
Jeździec w pędzie, wzniosł czoło —
Las znikł spojrzal w około . . .
Stepy — stepy co granic nie mają.

Str. 179, wiersze: 3, 4, 5 i 6.

Puste, równe — w noc zbłądzić nie trudno;
Jeździec wspomnień zapytał,
Z gwiazd swą drogę wyczytał
I kierunek wziął w stronę bezludną.

Str. 179, wiersze: 13, 14, 15 i 18.

Zda się, że ziola drzemią . . .
Taka cisza nad ziemią,
Liść się nawet nie rusza w pustyni,
.
.
Coby czuwał w tej ciemnej świątyni.

Str. 179, wiersze: 20, 21 i 22.

Mrok rozsiadł się na dole,
Wzrok go jeźdźca, choć bystry nie sięga,
Miliony światel w górze,

Str. 180, wiersze: 7 i 8.

I długo bał się o każde tchnienie,
Bał się — czy cała świeża natura,
Pragnącej piersi zgasi płomienie.

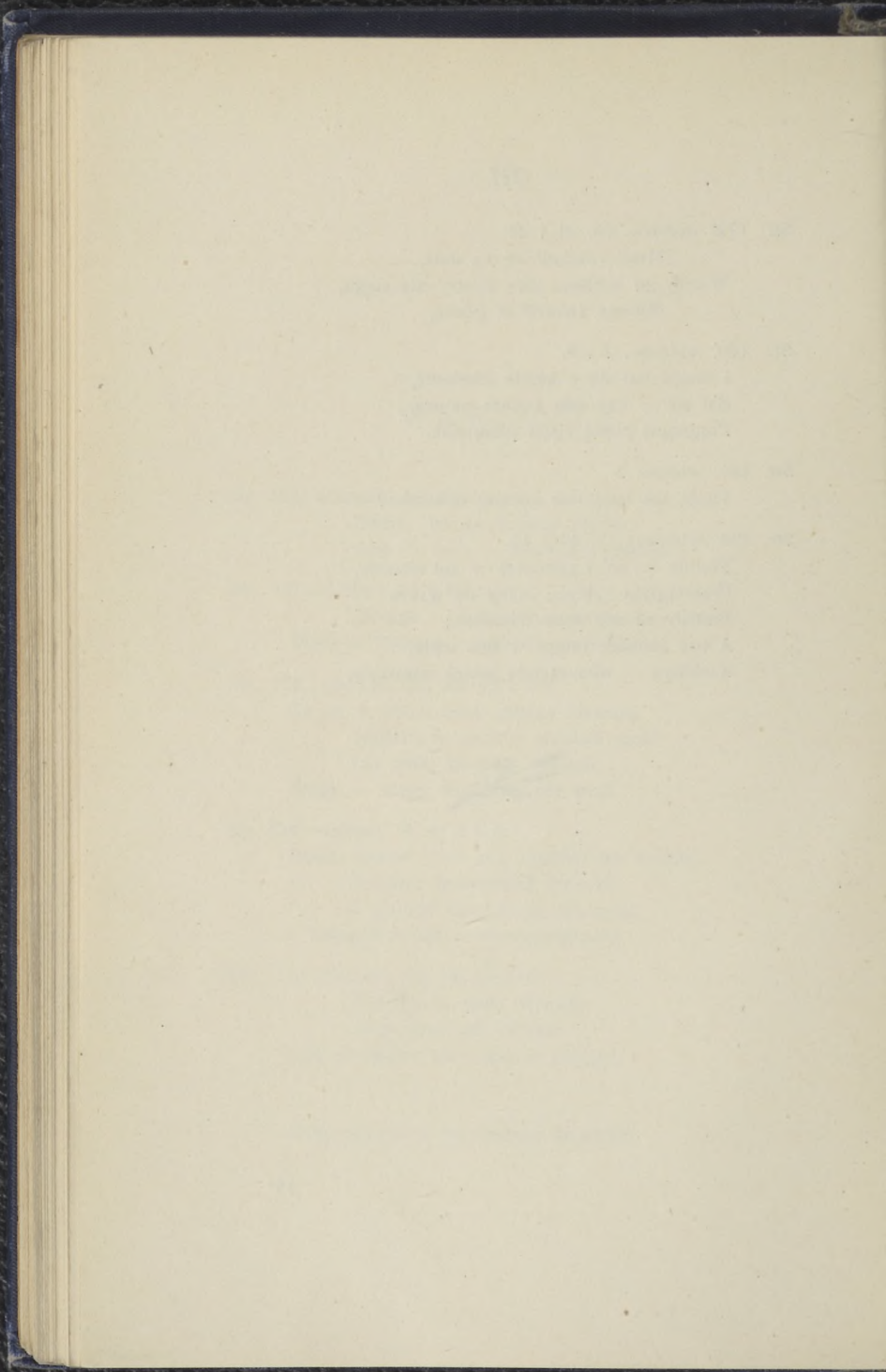
Str. 181, wiersz: 5.

Grają tak dziwnem światel odbiciem?

Str. 192, wiersze; 13, 14 i 15.

Trzody — co z pastwisk w auł wracały,
Przeciągłym rykiem, jakby do wtoru
Budziły ze snu echa wieczoru;
A psy żałośnie długo w noc wyły,
Rzekłbyś — nieszczęście jakieś wietrzyły.





KOŃ BEDUINA

POWIEŚĆ WSCHODNIA.

NON REPUKA

THE NEW YORK



KOŃ BEDUINA.

I.

Arabistanu czarowna kraina! . . .
Niebo tam piękne . . . piękne okolice . . .
I najpiękniejsze pod słońcem dziewice —
A cud piękności — rumak Beduina.
W jakie się sploty grzywa jego zwija,
I jakie ognie miota jego oko,
Gdy cieką nóżką i piersią szeroką
Wiatry, tumany i fale rozbija! . . .
To widzieć trzeba — bo na to słów niema!
Lecz biada tobie błędny Beduinie,
Jeśli za łupem gonisz przez pustynie,
Śród skwarnych piasków, *samum* ¹⁾ cię zatrzyma.
Naprawdę będziesz wiernego rumaka
Wam tylko obu znanemi wyrazy,

Zmuszać do biegu²⁾ — choćby miał lot ptaka,
Którego bystry sokół nie dogoni;
Jeśli ci Allach drogi nie odłoni,
Już do palmowej nie trafisz oazy;
Bo w piaskach, zginą ślady jeźdźca i rumaka.

* * *

Wionął samum — i całą zamącił pustynię . . .
I słońca blask zagasił — a swą władzą dumny,
Wirem zatoczył z piasków pod niebo kolumny,
Jakby na nich chciał oprzeć, swej chwale świątynię;
Lecz jak je podniósł nagle, tak nagle rozmiata,
To znów, cały step zmienia w wielki cmentarz świata,
Jedne po drugich wznosi tysiączne mogiły,
Obok tyluż przepaści — a z ziemi wnętrzości
Całych karawan znikłych podnoszą się kości,
Aby o jego strasznej potędze świadczyły.
Lecz któż to przez piaszczyste przebija się morze?
Jeździec na koniu, bielszym niż śniegi Libanu,
Toczy bój z huraganem — i w chmurach tumanu
Świta jak wschodzące zorze.
Choć mu samum grób otwiera,
I górami piasku wali,
On z przepaści się wydziera
I na sypkiej igra fali.
I jak strzała — lotny w biegu
Już balsamy łądu chwyta,
I już rumak swe kopyta
Na oazy oparł brzegu;
I już w drżącej palmy cieniu

Pośród kwiatów, przy strumieniu
Staje — zsiada, na twarz pada
Allahowi dzięki składa.

* * *

Powstał — i pieści konia co u włóczni stoi,
I z piany go ociera i w źródle go poi;
Potem na śnieżną szyję rzuciwszy ramiona,
To go głaszcze, całuje, to ciśnie do łona;
To mu rozwiewa pukle splątanego włosa,
To mu w dłoni podaje ostatnią garść prosa.

«Gdyby mi dano, koniu mój kochany,
«Władzę tak wielką jak mają Imany,³⁾
«A w zarząd Hedžas⁴⁾ z wszystkimi powiaty,
«Lub piękny Jemen, albo Szam⁵⁾ bogaty,
«Z takim pośrodku wspaniałym namiotem,
«Co by był — czemu trudna nawet wiara —
«Sto razy większy niżli El-Sakara⁶⁾,
«A cały szyty perłami i złotem;
«Choćby mi nawet chciano przydać k'temu
«Jedną z rozkoszy znanych w siódmym niebie,
«I najpiękniejszą z Proroaka haremu . . .
«Koniu, mój koniu, nie wziąłbym za ciebie!»

II.

Pod palmą i w cyprysów odpocząwszy cieniu,
Ruszyła karawana. — Pod wagą ciężarów
Zginają się wielbłądy — a kupcy — w milczeniu
Jedni: liczą różaniec, drudzy: zysk z towarów.
I weszli na pustynię . . . W górze — niebo czyste . .

Wkoło — ocean piasków . . . ni chmurki, ni drzewa,
Ani tam kiedy wietrzyk wilgotny powiewa,
Tylko piaski, powietrze i niebo ogniste.
Szli długo — kurzem, spieką i znojem zmęczeni,
Bo słońce leje na nich kaskady promieni;
A oni tak jaskrawe na się barwy wdzieli,
Rzekłbyś, że to szatani w ognistej kąpieli.
Pustynia coraz dziksza — ni cienia, ni zdroju,
Powietrze iskr milionem migoce i pali;
Oni idą i mdleją — pół skarbów by dali
Za jeden liść palmowy, za kroplę napoju.

* * *

Wtem! na krańcu widnokręga,
Niby chmurka, niby wstęga,
Rozwija się, rozzielenia;
Nad nią kilka palm wytryska . . .
I szmer jakiś się przeciska . . .
Jakaś wonność zalatuje;
Ach! . . . spragniona dusza czuje,
Że to kwiatów wonne tchnienia
W jeden rajski oddech zwiane,
Że to nuty brzmiań zmieszane
Liści, ptasząt i strumienia.
A nad gęstwą drzew wzniesione,
Widać słońcem ozłoczone
Półksiężycy minaretów,
Ostrza kiosków i meczetów,
Tak błyszczące, tak iskrzące,
Jak w noc, gwiazdy spadające.

«To oaza!» krzyk radośny

Jednomyślny i rozgłośny

Huknął z całej karawany;

«Tak cudowna! . . . i tak blisko! . . .

«Czy to nie jest raj proroka? . . .

«Czy nie hurys czarnooka

«Założyła tu siedlisko?»

Biegną — trud już zapomniany;

Ani czuje nikt ciężaru,

Znojnych piasków, słońca skwaru;

Zda się jakby nowe siły,

Nowe dusze w nich wstąpiły.

Biegną . . . widzą brzeg urwisty,

A nad brzegiem obraz mglisty,

Co w zielonych ram obwodzie

W cichej, jasnej, drzemie wodzie!

Bo jezioro, jak zwierciadło,

Daje na swych wód błękicie

Tej oazie drugie życie —

Krok jeszcze . . .

Znika widziadło . . .⁷⁾

Nikną wody, drzewa, chmurki . . .

Tylko widać w pustyni rozproszone wzgórki,

Które z piasków ostatnia napędziła burza.

*

*

*

Nagle! krzykiem wojennym rozległy się wzgórza;

Rozstępują się piaski⁸⁾ — a z piasków powstają

Na swych lotnych rumakach zbrojni Beduini;

Rzekłbyś — że to są duchy zabitych w pustyni,

Którzy na głos Allacha z grobów zmartwychwstają.

III.

Arab na puszczy, żyje łupem i rozbojem.
On liczbą niebezpieczeństw swoje lata liczy!
I długo walczy z głodem, niewczasem i znojem,
Za cząstkę nieraz drogo kupionej zdobyczy.

* * *

Oskoczona karawana
Próżno słaby opór czyni,
Bój trwał krótko, a wygrana
Jest przy synach tej pustyni.
Słudzy, którzy broń chwycili,
Walcząc, legli krwią oblani --
Kupcy, którzy broń rzucili,
Pochwyceni — i związani . . .
Kupcy w niebo patrzą — płaczą,
Bo nieprędko dom zobaczą,
Bo nieprędko ich z niewoli
Izmaela ród wyzwoli,
Chyba mu się opłaca, kosztownym okupem —
Ale ten, kto w piaszczystej pustyni legł trupem,
Nieopłakany łzami, nieuczczon pogrzebem,
Gdzie upadł, tam zostanie i zeschnie pod niebem;
Chyba, że znęcone pastwą:
Wilk, hyena — dzikie ptastwo,
Z nór i skał ciągnąc gromadnie,
Na świeżego trupa padnie,
I z krakaniem, skrzydeł biciem,
I z szczekaniem, warkiem, wyciem,

Rozerwie i rozniesie po szerokim świecie
Kości — aż je czas zetli — a wicher rozmiecie.

* * *

Beduini w radości — huczno i wesoło
Zdjęli juki z wielbłądów i zwlekli do kupy
Kufry, paki i skrzynie, — potem siedli wkoło
Rozdzielić po bratersku zdybycze i łupy.
Prysły sznury rozcięte — i wieka odbite!...
Allah!... co za bogactwa!... tu: materye lite,
Tu: szale tkan Kaszmiru, owdzie: złote sprzęty,
I perły — co Pers nurek, w głębiach morskich ima;
I z dalekiego Indu przywożne dyamenty;...
Tyle skarbów!... chce każdy pochłonąć oczyma;
Bo w ich blasku wzrok chciwy tak głęboko tonie,
Jak w przepaściach wieczności, przez które po skonie
Po przerzuconej kładce długo iść potrzeba,
By się dostać do bramy wiodzącej do nieba.

* * *

Wybrani starsi, dzielić zdobycze,
Skończyli podział; — lecz zgody nie ma...
Iskrzą się oczy... a na oblicze,
Jak z kubka losu rzucone kości,
Runęła z duszy gra namiętności:
Chciwość, co zawsze z zazdrością w parze,
Dzikie, stepowe zapala twarze;
W sercu — jak szabla w pochwie ukryta
Tai się zawiść, — a wierna ręka,

Gdy kłótnia rośnie — gdy przyjaźń pęka,
Pomimowolnie za kindżał chwyta.

* * *

Wtem zarżały rumaki! ⁹⁾ — wstał jeden i bada . . .
Na stepie pusto . . . głucho . . . nie widać nic zgoła;
«To pewnie płocha gazel, odbita od stada
«Pomknęła w głąb, pustyni» . . . i wrócił do koła.
W kole — spór coraz wre, szumi, pali;
Aż, jakby płomień z ziemi wytrysnął
Tak wszyscy razem z miejsc się porwali —
W każdego ręku kindżał zabłysnął.

* * *

Rżą rumaki . . . pył widać «czy oczy nie mylą?»
Patrz, pył większy, gęstszy, «to pewnie być musi
«Lecąca przez pustynię karawana strusi»
I znów wrzawa — straszniejsza niż była przed chwilą.
I już z kindżałem w górę podjętym
Z postawą groźną — okiem zawziętym,
Mierzą się . . . srożą . . . lżą — jedną razą
Szczęk! . . . po żelazie dzwoni żelazo.
O co? . . . o złotą blaszkę lub o kamyk lśniący.

* * *

Rżą rumaki! . . . pył nagle objął ich jak w sieci,
Zgiełk umilkł, — Beduini stanęli jak wryci,
Ujrzawszy w całym pędzie ku sobie lecący
Oddział jazdy tureckiej — umyślnie wysłany,
Na spotkanie bagdackich kupców karawany,

Który zbłądził w pustyni i dziwnem zrządzeniem,
Nadbiegł i wkrag ich ścisnął, jak palec pierścieniem.
Opór tu niepodobny, zbyt nierówna siła;
Jeden tylko ratunek — w ucieczce; lecz próżno! . . .
Rzucili się do koni . . . przybiegli . . . za późno!
Jazda turecka już je pierwszej pochwytiła,
A Arabcy — przed chwilą bogacy, zuchwali,
Zrąbani i związani, w jassyry się dostali.

IV.

Słońce kryło się w morzu; z morza powiew świeży
Dmuchał na wpół uwiedłą naturę wybrzeży,
Wstrząsł liśćmi cytrynowych i oliwnych sadów,
Zerwał z ruin pnącą się gałąź winogradów,
I uleciał, wciągnąwszy woń róż i jaśminów. —
Z minaretów, krzykliwy odśpiew muezzinów ¹⁰⁾
Dwukrotnie wszystkich wiernych na modlitwę wzywał;
I cały świat się modlił — a od gór libańskich
Drgając ostatniem brzmieniem, czasem zalaływał
Daleki odgłos dzwonu świątyni chrześcijańskich.
Gwiazdy — ogniste głoski w księżde przeznaczenia,
Jaśniej, gęściej, gromadniej wytryskały z cienia
I świeciły na niebie; — na ziemi, czerniało,
I cichło . . . choć szum ciszę budził nieustanny
Morza, co w milion bryzgów o brzeg się łamało,
I w gajach cyprysowych mruczącej fontanny.

* * *

Od wybrzeży obszerna ciągnie się dolina,
Którą z dróży z gór leący wężykiem przerzyna;

Tam oddział mężnych Spachów, ¹¹⁾ przy zielonym
[brzegu
Z karawaną, z jeńcami, stanął na noclegu.

* * *

Śród jeńców, był Szejjch Arab; miał głęboką ranę,
Ręce w tył, nogi mocnym rzemieniem związane.
Nie spał — choć wszystko wkoło usnęło w obozie;
Wył z bólu i ze złości, jak pies na powrozie,
I gryzł ziemię pod sobą i przekleństw nie szczędził,
Że on, co życie całe na stepach się wędził,
Co tyle innych razy — bo któż je przeliczy! . . .
Do domu bez bogatej nie wracał zdobywszy,
Co z większych niebezpieczeństw umiał się wywinąć,
Musiał teraz, on wolny, jak niewolnik ginąć . . .
Wtem zarżał koń daleko — Arab pilnie słucha . . .
Poznaje . . . za nim tęskni rumak jego biały . . .
A ten głos, tak przyjemnie wpada mu do ucha,
Jakby go własne dzieci z powrotem witały.
I słyszy wkrótce drugie, potem trzecie rżenie . . .
Ale już tak stłumione, jak głuche jęczenie . . .
Zdjął go żal — i nie może żalu z piersi zegnać
«Ha! rzekł, muszę go jeszcze ujrzeć i pożegnać.»
Więc, na piersiach, na brzuchu, jako wąż zdradziecki,
Przesuwa się, czołgając wśród straży tureckiej,
I mimo ciężkich pętów i nieznośnej rany,
Dopełzył — kędy za nogę, koń jego kochany
Stał włosiennym powrozem przykuty do haku.

* * *

«O! mój ty! rzekł, mój wierny, mój dzielny rumaku!
«Już ty innemu pójdziesz służyć panu,
«Turek do swego wprowadzi cię khanu, ¹²⁾
«Zamknie cię w miejscu ciasnem i niezdrowem,
«Już nie odetchniesz powietrzem stepowem;
«Na twe spotkanie nie wyjdą na wzgórki,
«Moje małżonki, moje piękne córki,
«I zmęczonego po drodze i znoju,
«Nie pójdą poić do jasnego zdroju;
«Nie będą pyłków z śnieżnej szyi zmiatać,
«Ani twej grzywy w warkocze zaplatać;
«Nikt ziarnka prosa w swej ci dłoni nie da,
«Bo pewnie Turek, psom cię Giaurom przeda;
«O! nie! mój koniu, mój druchu pocziwy,
«Ty będziesz wolny, i wrócisz szczęśliwy.
«Gdy mamy ginać! . . . niechaj ja sam ginę . . .
«Leć już i pociesz mą biedną rodzinę.»
To mówiąc, chwycił za pęto ustami —
Długo się sili i długo mociuje,
Szarpie i gryzie, i targa i żuje,
Aż sznur włosienny pękł, ścięty zębami.

* * *

Poczuł koń, że jest wolny, parsknął . . .
[strząśł się cały,
Spojrzał na swego pana, i stał jak zdumiały . . .
Zdało się, że myśl człeka badał i — przeniknął.
Bo wpół, za pas zębami swego jeźdźca chwytą,
Wzniósł w górę — i po błoniu grzmią tylko
[kopyta . . .

A tentent, coraz dalej głuchnął, cichnął, niknął . . .
Ockniona straż turecka rzuca się do koni . . .
Lecz gdzie i za kim gonić? — «Nadaremna jazda,
Rzekł któryś — to Dżinn¹³⁾ pewno przemknął się
[po błoni!]

Bo jako błędna w noc letnią gwiazda,
Gdy się oderwie z niebios zenitu,
I przez otchłanie leci błękitu —
Tak pędził rumak ze swoim panem.

* * *

Już przebiegł pole i pnął się w góry,
Wyżej i wyżej — aż tam, gdzie chmury
Wierzchołek mglistym wieńcą turbarnem;
Z gór się wijącą spuszcza drożyną,
Pomiędzy łomy, głazy, zawały,
Co się być zdają spadłą lawiną
W tysięczne kształty strzaskanej skały.
A od podkowy, z drogi krzemiennej
Sypie się za nim szlak iskr promienny.
I pędzi dalej — trafił na parów
Głęboki, ciemny — przepaść, nie wstrzyma . . .
Dał skok — przesadził — i już go nie ma,
Tylko się tentent został wśród jarów.
I pędzi dalej; — przybiegł do rzeki,
Cisnął się w nurty ze stromej ściany,
Pękają fale, pryskają piany . . .
Dopłynął brzegu . . . i już daleki . . .
I już wśród stepów piersiami porze
Bałwany żwirów i piasków morze.

I tak do pustyń dotarł granicy;
A góry, rzeki, piaski, oazy,
Migały tylko, jak snu obrazy
Pierwszą miłością śniącej dziewicy.

* * *

Pierwszy promyk jutrenki, co wschód zaru-
[mienia,

Rozwidniał krajobrazu szernione przedmioty,
I już widać jak w dali bieleją namioty,
Wiecznie koczującego Arabów plemienia.
Ujrzał je koń — i zda się, że zdwaja bieg chyży,
Przebiegł przestrzeń, jak strzała — już blisko . . .
[już bliżej . . .

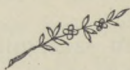
Aż nareszcie znajomych koczowisk dopada
I przed Szejcha namiotem, drogi ciężar składa.
Z namiotu wybiegają matrony, dziewczęta,
Na ich twarzach, gra przestrach z radością zmie-
[szany,

Cisną się do Araba, rozrywają pęta,
I gojące balsamy leją mu do rany.

* * *

A koń . . . jak stanął tak stał niewzruszony,
Bokami robi . . . zmęczony, spieniony,
Pot z niego spływa . . . drży . . . chwieje się, ślania . . .
Rzucą się wszyscy, co się w krąg zebrali,
By zbawcy ojca spieszłą pomoc dali . . .
Ale daremne są wszystkich starania . . .
Bo koń, w ostatnim konwulsyjnym ruchu
Wstrząsł się . . . wyprężył — i upadł bez ducha.

Tak skończył dzielny rumak Beduina
Z rasy szlachetnej, jak na to są świadki,
Nedżid po ojcu — a Kenhejlan z matki. — ¹⁴⁾
A długo . . . długo — jak brata lub syna,
Płakał go Arab i cała rodzina.



OBJAŚNIENIA.

Zdarzenie to prawdziwe opisane jest w «*Podróżach na Wschód*,» Lamartina. Wszyscy w ogóle, zwiedzający krainy wschodnie, nie mogą się dosyć odchwalić wytrzymałości, instynktu i piękności koni arabskich. Krajowcy nadto, przypisują im szlachetność i wspaniałomyślność, oraz pojęcie wyższe nad inne zwierzęta. «Koń — mówią oni — jest najpiękniejszym utworem po człowieku».

1) *Samum*, *Simum*, *Samiel* — nazwiska gorącego huraganu, duszącego i zasypującego niekiedy całe karawany, wśród piaszczystej pustyni.

2) Napróżno będziesz wiernego rumaka
Wam tylko obu znanemi wyrazy
Zmuszać do biegu . . .

Arabowie mają pewne znaki i wyrazy im tylko samym i ich koniom znajome, których, w gwałtownej potrzebie lub w ostatecznem używają niebezpieczeństwie. Koń wtenczas, w najbystrzejszym pędzie, jeszcze ostatnich sił używa dla przyspieszenia biegu.

3) *Iman*, *Imam* — rządcą, władcą. Ymam, Ymenn jest jakoby wassałem sultana tureckiego.

4) *Hedzas*, Arabia skalista, w której znajduje się Mekka i Medyna.

5) *Yemen*, Arabia szczęśliwa. *Szam*, nazwisko Damaszku.

6) *El-Sakara*, meczet Omara w Jerozolimie, postawiony na miejscu dawnej świątyni Salomona.

7) Krok jeszcze . . . znika widziadło.

Aż nadto wiadomy jest ów szczególny fenomen pustyni który Francuzi nazywają «*Mirage*». Puchler-Muskau w swej, po Afryce podróży, tak go opisuje; „Nagle zdało się nam, że widzimy dwa wielkie okazałe jeziora, po których rozsiane były cieniste wysepki i statki z żaglami. Zachwyceni tak cudownym widokiem, zapytaliśmy się o imiona tych jezior, w których woda tak czysta. Sam drogman uległ złudzeniu, lecz jeden z Arabów objaśnił nam śmiejąc się, że nikt w tej wodzie nie ugasi pragnienia, albowiem jest to tylko zjawisko, powtarzające się prawie co dzień, na wielkiej pustyni Sahara. Jakkowiek byliśmy przekonani, że widzimy tylko fantasmogoryą naturalną, niepodobna nam było wyjść z lubego błędu: obraz był dla zmysłów naszych rzeczywistością; dopiero przybliżywszy się doń na 500 kroków, zniknął tak nagle, jak nam się pojawił, niezostawiwszy najmniejszego śladu swojej bytności.»

8) Rozstępują się piaski i t. d.

Beduini w pustyniach, mianowicie tam, gdzie są kępy piasku wichrami naniesionego, zagrzebują się w piasek, i z tych zasadzek, czychają na podróżnych i przechodzące karawany.

9) Wtem, zarząły rumaki . . .

Konie arabskie, rzeniem ostrzegają o bliskości zwierząt lub podmykającego się nieprzyjaciela.

10) Z minaretów krzykliwy odśpiew muezzinów.

Muzułmanie obowiązani są podług ustaw koranu, pięć razy w ciągu dnia oddawać się modlitwie; modlitwa powinna być poprzedzona obwieszczeniem (ezan). Ten ezan zastępuje miejsce dzwonów, których użytek nieznanym Muzuł-

manom; ogłaszają go z galeryi minaretów, tak zwani *muezzini*. Muezzin, według wyobrażeń islamizmu, nietylko wiernych wzywa na modlitwę, ale wszystkie narody świata.

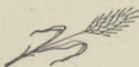
¹¹⁾ *Spahi* inaczej *Sipahi*, tak nazywano niegdyś jeźdźców w armii tureckiej.

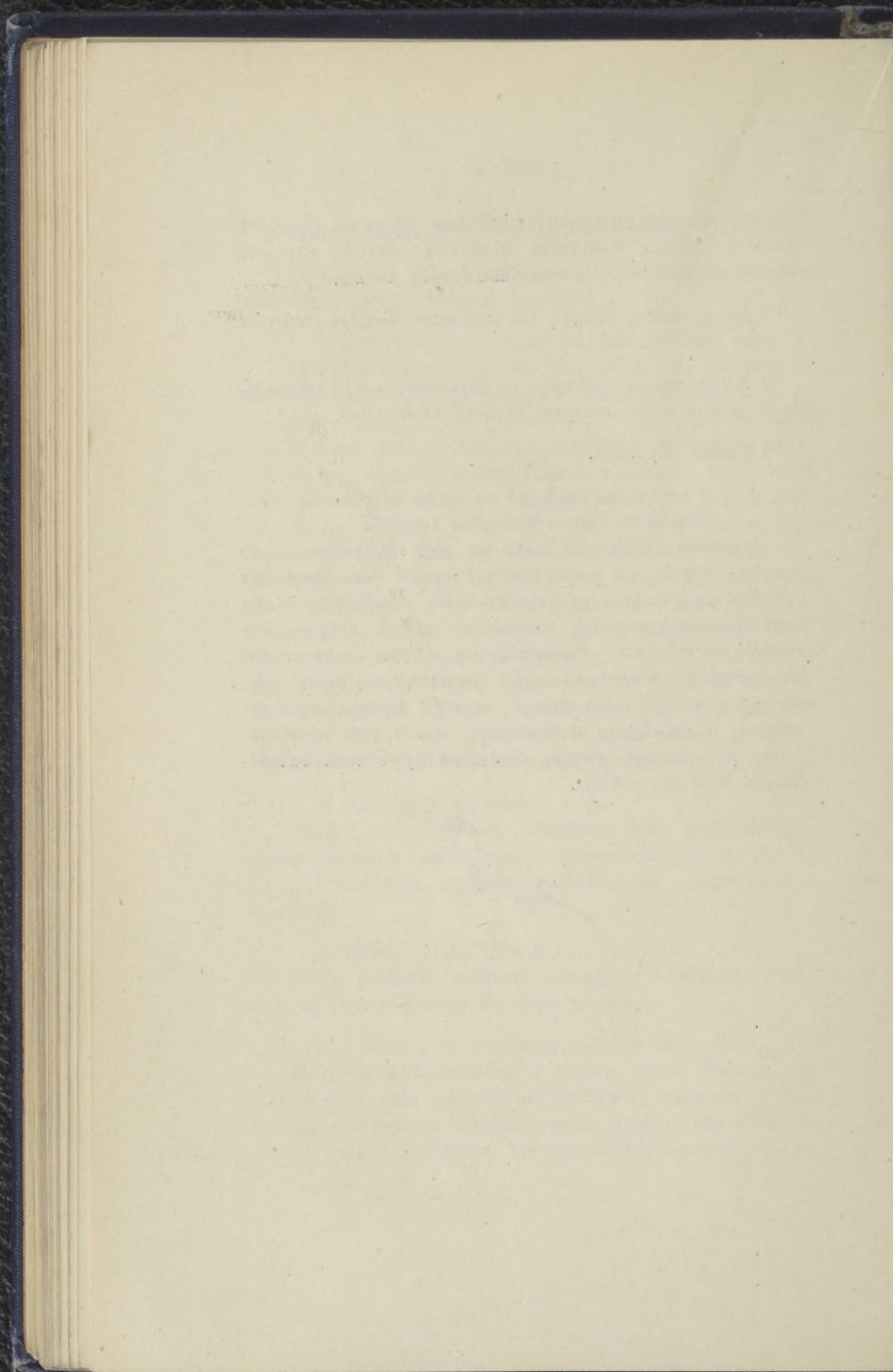
¹²⁾ *Khan*, znaczy toż samo co karawana, seraj i odpowiadawca w pewnej części naszemu domowi zajezdnemu.

¹³⁾ *Dżinn*, zły duch.

¹⁴⁾ Z rasy szlachetnej, jak na to są świadki,
Nedżid po ojcu a Kenhejlan z matki.

Arabowie dzielą swe konie na pięć ras, pochodzących według podania, od pięciu klaczy Proroka. Rasy Kenhejlan i Nedżid są uważane za najpiękniejsze; zresztą rasy te nie mają charakterystycznych znaków, po których je łatwo można było rozróżnić. Rozpoznaje się za pomocą świadectw ich genealogii, wyprowadzonej i zaświadczonej przez właścicieli, w których pochodzenie męzkie i żeńskie, wyszczególnione z największą dokładnością. Każdy koń wyprowadzony na sprzedaż, zwykle opatrzony bywa temi świadectwami swej rodowitości.





ANTAR.

OBRAZEK WSCHODNI.

NAVY

OFFICE OF THE SECRETARY



ANTAR.

Prześliczną jest Szamska pustynia; prześliczne w szamskiej pustyni czarownego Tedmoru *) zwaliska. Lecz kto żył w tych ogromnych murach? . . . dla kogo dźwigniono te świątynie? . . . kto w nich zbudował długich kolumn ulice? . . . — to wiedzą tylko uczeni Damaszku lub Jerozolimy! Antar nie zna tego. Antar, ozdoba stepów, miecz zwycięstwa, rosa przyjaźni, cienisty cyprys gościnności, wie, gdzie wynaleźć tych, co śmieli wyrządzić krzywdę jemu i jego pokoleniu, wskaże wam wszystkie, daleko rozrzucone i prawie zdmuchnione już wiatrem, wrogów swoich mogiły; obroni was w pustyni od chciwości i wiarołomstwa stu jeźdźców arabskich i rozdzieli z wami ostatnią garść pieczonego prosa; ale nie zna tego, co w księgach pisano. Starcy tylko sąsiednich ułusów **) powiadali mu, że to

*) *Tedmor*, dawna Palmira, znamenita stolica Zenobii.

**) *Ułusy*, koczowiska, zamieszkałe przez odrębne familie.

są szczątki miasta, w ubiegłych wiekach przez złośliwe duchy wzniesionego, i zbliżyć się ku temu miejscu nie radzili. Lecz Antar nie lęka się ani ludzi, ani duchów i hardo spogląda na pyszne Tedmoru zwaliska.

Stoi i spogląda . . . Włócznia jego, krwawa, jak zemsta, bystra jak pocisk piorunu, tkwi przy nim, wbita w ziemię niepłodną. Balka, szlachetna klacz jego, królowa klaczy Nedża, stoi u włóczni, i wlepiwszy w Antara swe ciemne, ogniste przenikliwe oczy, chce zdaje się poznać stan jego duszy ognistej. Smutna, bo i on smutny. Balka odgadła, że ludzie zasępili jej pana, i silnie bijąc kopytem, zżyma się na ich niewdzięczność. Antar pojął myśli Balki; objął ją za szyję i pocałował w czoło, to piękne czoło, ozdobne gwiazdeczką białą, błyszczącą w oddali, jak księżyc w pierwszej nocy miesięcznej.

Antar na zawsze ludzi porzucił. Przelewał za nich krew swoją, mienie im swoje poświęcił, zerwał dla nich i miłość, i przyjaźń — a oni go zdradzili! . . . Dopóki wiatr w pustyni z miejsca na miejsce przenosić będzie piaszczyste mogiły, dopóki obłoki po jasnym niebie ciągnące, szarawego cienia na ziemię rzucać nie przestaną, dopóki miecze gasić będą pragnienie krwawym napojem płynącym w żyłach synów Adama, dopóty on nie zbliży się do ludzi. Na sto wystrzałów z łuku, noga jego nie podejdzie do mieszkań człowieka; na całą długość drzewca włóczni, nikt ze śmiertelnych nie

ośmieli zbliżyć się ku niemu. Na to zaprzysiągł Antar, a nigdy napróżno nie dawał przysięgi.

Stoi . . . głód rwie jego wnętrzości, ale on go umie pokonać.

Spalone skwarnem słońcem powietrze, bez najmniejszego powiewu, drży, trzęsie się, miga nieznacznym płomieniem, podobnym temu, który się wije po rozpalonem żelazie, a migocące blaszeczki, podobne gęstym igiełkom ognistym, bystro przesuują się w powietrzu przed jego oczyma; lecz cała okropność znojów pustynnych nie zmusi go nawet z miejsca się ruszyć. Ziemia płonie pod jego stopami, on to znosi cierpliwie i stoi niewzruszony, oczekując, dopóki struś lub sarna nie przebieży pustyni, aby w mgnieniu oka wskoczyć na konia, dognać zdobycz i włócznie zadać jej raz śmiertelny.

Co to się porusza między kępami piasku, naniesionego wiatrem u blizkiej skały podnóża? — to pewno gazella. Antar już na koniu, z włócznieą ponad głowę wzniesioną. Nie omylił się: była to gazella, mała, lekka, prześliczna. Balka, również ją poznała i pędem strzały puściła się w tę stronę; przyuczona, nie potrzebuje, aby jej uзда wskazywała kierunek; myśl jeźdźca nią kieruje, a ona wyprzedza myśli swoim polotem.

Antar dopędzał już gazellę i nie dalej był od niej, niż na wystrzał łuku; nagle usłyszał ponad głowę szum straszny w powietrzu, które czarnym ściemniało cieniem. Podniósł głowę i ujrzął niezmiernej wielkości drapieżnego ptaka, który wiosen-

nej chmurze podobny, osłonił sobą większą część niebios sklepienia. Oczy jego iskrzyły się, jak błyskawica, a rozwarłe szpony, siłą i ogromem swoim, mogłyby objąć i unieść odłam skały, zdobiący groźny wierzchołek El-axy. Antar pojął, że straszny ów ptak olbrzymi ściga również gazellę, która nowe widząc niebezpieczeństwo, jeszcze chężej uciekać poczęła. Lecz Antar zawsze był słabszych obrońcą; zapomina, że sam przed chwilą uganiał się za gazellą, chcąc wydrzeć jej życie; myśli teraz już tylko o ocaleniu jej od dzikości powietrznego wroga. Ptak, Antar i gazella długo i szybko w jedną pędzili stronę, coraz to więcej ku sobie się zbliżając, a gdy wzajemna ich odległość nie przenosiła kroków dwudziestu, mężny jeździec zręcznie nad głową zawinawszy włócznią, silnie, cisnął ją w górę. Ta, świszcząc, jak wilgotny wiatr pośród kolumn Tedmoru, ugrzęzła w piersiach skrzydlatego olbrzyma.

Ptak wydał krzyk okropny, z jękiem zmieszany, który samego Antara przeraził, a zachwiany w powietrzu, zdawało się, że lada chwila upadnie na ziemię i swem olbrzymiem cielskiem przywali zuchwałego syna pustyni; już nawet końcem skrzydeł dotykał piasku, lecz ból zmusił go znowu wzbić się w powietrzne szlaki.

Od uderzenia piór po suchej i rozpalonej powierzchni, gęsty tuman kurzu zapełnił przestwór, i piasek zasypał oczy Antara. Zsiadł więc z konia i zamroczony, przez kilka minut pozostał na

miejscu; lecz gdy pył opadać zaczął, z zadziwieniem ujrzał u stóp swoich tę samą gazellę, która przed chwilą uchodziła przed jego włócznią i szponami drapieżnego ptaka. Z przymileniem spoglądała na swego obrońcę, a prześliczne jej oczy tkliwą wyrażały wdzięczność. Antar chciał ją ręką pogłaskać, lecz zaledwie jej dotknął, zerwała się i znikła w zapyłonym stepie. Prerażony tak nadzwyczajnem zdarzeniem, powrócił do rozwalin Tedmoru; wszedł w jedno z opustoszałych mieszkań i dla spoczynku rzucił się na ziemię. Miecz jego stał u ściany, a wierna Balka szczypała zeschniętą trawę, rosnącą u wnijścia. On sam był bez pokarmu, lecz głowa jego tak była zajęta myślami, już to o niepojętym ptaku, przez siebie zwalczonym, już to o wdzięcznej gazelli, że o zaspokojeniu głodu bynajmniej nie myślał.

Antar zasnął w rozwaloniem pustkowiu. Obudzonego nowe, cudowne uderzyło zjawisko: ujrzał się leżącym na pysznej otomanie z błękitnego atłasu, ze srebrną frendzlą i złotymi chwastami, w obszernej komnacie, zdobnej jedwabnemi zasłonami i kobiercami, malowanej złotem i lazurem. Pośrodku był wspaniały wodotrysk, wokół którego stali w błyszczących ubiorach eunuchy i niewolnicy, trzymając złote miednice, sadzone szafirami i szmaragdami, chińskie naczynia z wodą różaną, kosztowne wachlarze o piórach strusich i tace z rzadkimi płodami. Pięćdziesiąt dziewięć w białem odzieniu, stało po obu stronach sali z gitarami i bębenkami. Powietrze tchnęło świeżością i rozkosznym zapachem jałowcu.

Skoro tylko Antar otworzył oczy, dwóch niewolników zbliżyło się do jego łoża, i z poszanowaniem padłszy na kolana, podało mu wodę, pachnące mydło i złotem przetykane ręczniki, a dwaj drudzy skropili go wonnościami.

— Na Boga!... — zawołał zdumiony Antar, zrywając się z posłania! — co to znaczy?... gdzie jestem?... kto wy jesteście i czego ode mnie chcecie?...

Wszyscy eunuchy i niewolnicy uderzyli czołem i rzekli:

— Ja, sidi! o godny panie! jesteś gościem u najszlachetniejszej, najwstydlivszej, najcnotliwszej wielkiej królowej Tedmoru, której panowanie niechaj się przedłuży aż do skończenia świata!... Nam rozkazano służyć ci i oddawać cześć taką, jak jej samej.

— Niech na was spadnie przekleństwo ojca waszego! — zawołał z najwyższym gniewem Antar: — wy żartujecie ze mnie... Ja nie znam waszej królowej i nigdy nie słyszał, aby ktokolwiek w tych rozwalinach panował. Jestem synem pustyni i nie bywałem nigdy gościem monarchów. Mnie tu nieznośnie!... oddajcie mi klacz moją — ona mi droższa nad wasze królestwa, podobnej bowiem w całym niema stepie.

— Dostojny panie, — mówili słudzy, schylając się do ziemi, — klacz twoja je teraz siano z róż i tulipanów, i pije wodę ze śniegu gór Libańskich. My twoi niewolnicy, lecz ty, panie, nie możesz

stąd wyjechać bez dozwolenia naszej królowej, jesteś bowiem w miejscu zaczarowanym, w miejscu bez wnijsia i wyjścia.

— Kto jest wasza królowa i gdzie ona? — zapytał Antar, wiadomością tą jeszcze bardziej zdumiony.

— Imię jej Giul-nazar, — odpowiedzieli słudzy; — ona jest Peri, z rodu dobrych geniuszów.

— Prowadźcie mnie do niej! — rzekł Antar. Chcę z nią mówić i twarz jej zobaczyć.

— To niepodobna — odrzekli słudzy. — Piękność jej twarzy jest tak błyszcząca, że mogłaby cię zamroczyć i na zawsze wzroku pozbawić. Możesz być do niej dopuszczony, lecz nie inaczej, tylko z koniecznemi do tego ostrożnościami; a naprzód w łaźni być ci potrzeba.

Tak więc, mimo całą zapalczywość swą, mimo niepohamowaną zuchwałość stepowego rycerza, Antar został posłuszny ich żądaniu. Czuł nad sobą władzę jakiejś niewidomej siły, która odejmując mu wolę, serce spokojnością napełniała.

Eunuchy zaprowadzili go do łaźni, zbudowanej z białego marmuru, z jaspisowemi kolumnami i złotą kopułą, gdzie dwanaście młodych ślicznych niewolnic przeznaczonych było na jego usługi. Stamtąd przeszedł do wspaniałego pokoju, rzęsisto świecącego ogniem brylantów, ściany i pułap okrywających; pyszna szkarłatna zasłona przedzielała go na dwie połowy. Wszyscy wchodzący z pokorą uderzyli przed nią czołem i nikt nie śmiał plecami

się obrócić; powiedziano Antarowi, że i on winien z uszanowaniem oddać pokłon zasłonie, za którą spoczywa najwstydlivsza z królowych, królowa Tedmoru. Bez wahania więc dopełnił tego obrzędu i posadzono go na sofie, dotykającej zasłony.

Ciche, spokojne pienie, zmieszane z dźwiękiem powietrznej muzyki, rozkosznie wstrząsało słuchem Beduina, który niespokojnie na wszystkie rozglądał się strony, starając się dociec, skąd śpiew wypływa. Nagle, drzwi się otwarły, i wszedł długi szereg służalców, niosąc na głowach złote tace, zastawione mnóstwem doskonałych potraw i naczyń ze słodyczami i sorbetem. Aromatyczna ich woń silnie podrażniła zgłodniałego Antara. Z żarłocstwem hyeny, chwytającej trupa z pośrodku walczących wojowników, rzucił się na przyniesione pokarmy i łakomie nasycił się nimi, a studzy z uśmiechem podawali mu coraz nowe jada i napoje.

Śród obiadu, miły głos niewieści dał się słyszeć z poza szkarłatnej zasłony;

— Pokój z tobą, Antarze, synu Rebiewa! My tu z niecierpliwością oczekiwaliśmy twego przybycia.

— I z wami pokój, wielka królowo! Oby się rosa twoja rozmnożyła! — odpowiedział Antar.

Głos umilkł!... i Antar spokojnie jadł i pił, jak poprzednio.

Po przejściu kilku minut, powtórzono znowu z poza szkarłatnej kotary znajome powitanie, na które Beduin odpowiedział wyrażeniem stepowej delikatności, życząc królowej, aby jej wilgoć przelała

się na całą pustynię i żeby jej pomyślność zawsze chłodną pozostała *).

Znowu nastąpiło milczenie, i znowu po chwili po raz trzeci tenże głos powtórzył poprzednie powitanie, na które Antar odpowiedział!

— Niechaj cień twój rozpostrze się szerzej od cieni gór Tudycha! Ja, Królowo, jako twój życzliwy, piję na cześć i na korzyść twoją! . . .

— Niechaj będzie na zdrowie! — przydał głos. — Synu Rebiewa, tyś moim gościem, i spodziewam się, że przez dni kilka pozostaniesz u mnie. Ja ci jestem obowiązana za ocalenie mej wolności i życia lubo ty sam nie wiesz, jakąś mi oddał usługę.

— Ja tobie oddałem usługę? . . . zapytał zdziwiony Antar.

— Jakieżże to zdarzeniem, kiedy ciebie nigdy w swem życiu nie widziałem! . . . Niechaj wrogowie rozryją mogiłę ojca mego, jeżeli pojmuję, co do mnie mówisz i co ze mną się dzieje! Na światło twych oczu, na imię matki twojej, zaklinam, objaśnij mnie, jak tu się dostałem, kto jesteś i za co z taką przyjmujesz mnie gościnnością? . . . Gubię swój rozum, nie mogąc pojąć tego, co tutaj widzę i słyszę!

*) W języku Beduinów, mieszkających w skwarnych, bezwodnych pustyniach Arabii, słowa: rosa, deszcz, wilgoć, obejmują w sobie także pojęcie dobroczynności. Chłodny — znaczy u nich to samo, co doskonały; niziną, mokry, wilgotny, używa się w znaczeniu słów: obfity, rozkoszny, dlatego, że w nizinach rośnie trawa tak konieczna w ich koczującym życiu.

— Uspokój się, synu Rebiewa! — głos odpowiedział. — Usiądź u nas na kobiercu bezpieczeństwa, a ja zaspokoję twoją ciekawość. Ty jesteś w Tedmorze, którego rozwaliny dziś rano zadziwiły cię swoją pięknnością i ogromem. Wiedz oraz, odważny bohaterze pustyni, że to miasto zbudowane zostało niegdyś przez Dżinnów, złośliwych i przebrzydłych duchów, któremi Salomon — niech spoczywa w pokoju! — władał siłą cudownego pierścienia, jakim go anioł Dzebraif obdarzył. Salomon zaludnił je narodem religijnym, spokojnym i nieszkodliwym; zalecił mu gościnność dla wszystkich podróżnych w tej pustyni i pomoc pożywieniem i wodą. Mieszkańcy Tedmoru przez długi czas święcie wykonywali ustanowienia króla proroka i żyli w pokoju i obfitości. W końcu jednak właściwa rodzajowi ludzkiemu duma zgładziła pamięć obowiązków, przepisanych przez założyciela ich bytu i szczęścia. Oddali się rozpuście, zaczęli pić wino, jeść mięso wieprzowe, z zaniedbaniem zupełnem obrządków wiary, i wypędzali od siebie nieszczęśliwych podróżnych i pielgrzymów. Hańbiąca wieść rozniosła to po świecie, i odtąd wszyscy od Tedmoru stronili. Zdarzyło się, że niejaki Tarik-as-sałat, ateusz, jawnie pogardzający długim codziennym pięciu modlitw, zajechał do miasta, w przejeździe do indyjskich astrologów, i był przez mieszkańców z nadzwyczajnem poszanowaniem przyjęty. Zastawili dla niego wspaniałą ucztę, — lecz skoro tylko odstępcą dotknął swemi ustami jadła i napojów,

wszystka woda w mieście i okolicy zamieniła się w gorzką wodę morską, wino przybrało kolor i smak krwi, a chleb i inne pożywienie w mgnieniu oka skamieniały. Przyciśnieni gniewem Allacha, mieszkańcy Tedmoru zaczęli mrzeć z głodu, gryźli ziemię, pożerali własne żony i dzieci; nakoniec zmuszeni opuścić swoje mieszkania, przybytki i świątynie, rozbiegli się po różnych krajach w których niewierni przyjmując ich, jak niewolników obchodzili się z nimi z największą srogością; wkrótce też potem opustoszałe miasto zamieniło się w zwaliska. Wtenczas to Lalla-Rech, jedna z pierwotnych i najpiękniejszych Peri, wyprosiła u Asafa, następcy Salomona, pozwolenie osiedlenia się tam i założenia nowego państwa, dlatego, że Dżinny, to jest złośliwe duchy, nieustannymi napadami jej rodzinę trwożyli. Podwładne jej spokojne duchy, wezwane przez nią z Peristanu, czarownej krainy przez swoją rodzinę zamieszkaną, wzniosły dla swojej władczyni te wspaniałe gmachy, zasadzili ogrody i laski, i całą dzielnością sztuki i natury ożywiły pustynie i miejsca ponure, w których śmiertelni, prócz pierwotnego spustoszenia, rozrzuconych głazów, sterczących kolumn i mnóstwa nasypów gorącego piasku, nic więcej dostrzedz nie są w stanie. I ten tylko z was, synu Rebiawa, może napawać się niedościgłym dla ludzkich oczu widokiem, któremu tajemnicza władczyni Tedmoru sama zechce okazać łaskawość, dopuszczając go w okrąg nieoszacowanego bytu duchów swoich.

Tu kilka wieków przeżyła Lalla-Rech w spokoju i szczęściu. Znany Szanfary, poeta i bohater pustyni, swoją odwagą, talentami i pięknością, zniewolił jej serce; miłość złączyła ich w tem miejscu, i Lalla-Rech została matką prześlicznej El-masy. Gdy córka doszła pełnoletności, Lalla-Rech oddaliła się do Peristanu, zostawiwszy Tedmor bezpośredniej jej władzy. El-mas rządziła do czasów kalifa Omara. Ona ukochała znamienitego Lebida, wstawionego nieszczęściami, męstwem i poezją, Lebida, którego pieśni brzmią dotychczas w pustyni, Lebida, pozbawionego tronu podstępami własnego brata i skrapiającego krwią swoją królewską, w czasie długoletniej pielgrzymki, sypkie piaski arabskich koczowisk, przelewając ją w obronie uciśnionych i znękaných, podobnych sobie tułaczów, przez niesprawiedliwość własnych bliźnich. Znużony walkami, głodem i pragnieniem, prześladowany przez zawistnych i niewdzięcznych ludzi, często znajdował tu przytułek i tu odbierał te wielkie natchnienia, którym świat nigdy dziwić się nie przestanie, czytając nieśmiertelne jego kasydy. Lebid był moim ojcem. Po jego śmierci — zginął bowiem przez zdradę greckiego cesarza — matka moja postanowiła porzucić te miejsca i, podobnie, swojej rodzicielce, oddalić się do swej ojczyzny, Peristanu. Od tego czasu ja rządę mieszkającymi w tych okolicach i rozwalinach spokojnymi duchami których liczba tysiące tysięcy przechodzi. Władza moja obejmuje dość ograniczoną powierzchnię

starożytnego państwa Tedmoru, lecz prześliczną, urozmaiconą pysznemi budowlami i ogrodami, choć ludziom wydaje się tylko nagą pustynią. To państwo, założone przez moją pra-babkę, długie lata było nieznanne złośliwym Dżinnom, wrogom naszego plemienia, i cichy ród Peri długo w tej stronie cieszył się prawdziwem szczęściem. Lecz od pewnego czasu jeden z najszkaradniejszych Dżinnów, podstępami, chytryością i złośliwością przechodzący wszystkich braci swoich, odkrył ustronne nasze mieszkanie i napadami swymi zaczął je niepokoić. Imię jego Dżan-gir, wielkością ogromnej górze podobny; wieleśmy już wycierpieli od tego piekielnego ducha, lubo podług ustaw Salomona — który niech odpoczywa w pokoju! — Dżinnom nie wolno wtargnąć w środek miasta, w starożytności ich rękoma wzniesionego. Jednak dotychczas nigdy od tego potwora w gorszem nie byłam, niż dzisiaj, niebezpieczeństwie. Zabawiając się bowiem przechadzką w poblizkich górach, przesłam nieostrożnie za nieprzystępną jego plemieniu granicę, gdy nagle ujrzałam zdaleka głowę tego straszdyła, wychylającą się z za krańców horyzontu; pragnąc oszukać jego przezorność i co najrychlej dostać się do domu, przemieniłam się w rączą gazellę i do Tedmoru uciekać zaczęłam; lecz on potrafił mnie dojrzeć — runął, jak burzliwy wichur i drogę mi zastąpił, byłam więc zmuszona w przeciwną uchodzić stronę. Wówczas to i ty mnie ujrzałeś, synu Rebiewa i z włócznią w rękę

puściłeś się, jak za zwyczajną sarną. Poznawszy to, chytry Dżan-gir natychmiast przywdział na siebie postać straszego ptaka Uniki, zdolnego porwać słonie i wielbłądy, i również za mną pogonił. Ścigana od dwóch nieprzyjaciół, zaczęłam upadać na siłach i już sądziłam się zgubioną, gdy ty wspaniałomyślnie, zamiast mnie, poraziłeś mego prześladowcę. Włócznia twoja ugrzęzła mu między gardłem a kością piersiową. Dżan-gir chcąc wyrwać pocisk z rany, przypadł ku ziemi, lecz w zbyt silnym upadku niespodzianie uderzył drzewcem o kamień, i cała włócznia, tonąc w jego piersiach, przenikła aż do wnętrzości. Okropny ból wydobył z jego piersi jęk, który nas oboje ogłuszył. Wzleciał i za libańskimi górami upadł w Słone morze, na którego dnie leżeć będzie tysiące tysięcy lat, dopóki drzewce nie zgnije i rdza żelaza nie strawi. Tym to sposobem, Antarze, synu Rebiewa, ocaliłeś mi życie i wolność, a ja przez wdzięczność — przysięgam na Allacha i wszystkich jego proroków! — uczynię dla ciebie wszystko, o co mnie tylko poprosisz.

— Królowo! . . . — zawołał Antar, trzymając palec w zębach od zadziwienia, jakie w nim wzbudziło opowiadanie Peri. Wielka i szlachetna królowo! . . . niech Allah zniszczy twoich wrogów! Mógłżem pomyśleć, że gazella, za którą się upędzam, była istotą wyższą nie tylko nad sarny, ale nawet nad ludzi? — nigdy bowiem nie wyobrażałem sobie, aby mogły istnieć na świecie

podobne cuda. Cieszę się w duszy, że miał sposobność wyświadczenia ci podobnej usługi, lecz nie mam cię o co prosić. Ja, nieszczęśliwy, poprzysiągłem błąkać się samotnie w pustyni i starannie unikać towarzystwa ludzi. Dopóki strzała fatalności nie powali mnie gdziekolwiek na gorący piasek, a hyeny nie rozniosą kości moich po wszystkich górach Arabii — między mną a ludźmi — krew i śmierć żelazna!

— Postanowienie twoje nieobmyślane i krzywdę przynosi męstwu twojemu — mówiła Peri; — powróć do swoich bliźnich, których powinienes być przewodnikiem i obrońcą; tobie przeznaczonem napełnić świat sławą swego imienia, a przeznaczeniu przeciw się niepodobna.

— Jeżeli tak zapisano na tablicy losów, — przemówił Antar — to się poddam tej woli wyroków, wrócę pomiędzy ludzi; lecz na piękność twoją zaklinam, powiedz mi, królowo, co u nich robić? Oni tak niesprawiedliwi i niewdzięczni! Krewni moi i opiekunowie w małości wyzuli mnie z całego majątku, powierzonego ich uczciwości przez zmarłego mego ojca. Odkąd zacząłem władać włócznią i łukiem, walczyłem, jak lew za ich krzywdy, a oni zawsze płacili mi zdradą. Moja gościnność i wspaniałość nie tylko nie rozbroiła ich złośliwości, lecz nadto ściągała na mnie ich fałsz i zawiść; prócz ciężkich zgryzot nic więcej w ich towarzystwie nie znalazłem. Odtąd wnętrzości moje zawrzały zemstą i w moich piersiach tkwi

nóż nienawiści!... Cóż więc mam robić między nimi?

— Życie ludzkie — odezwał się głos z za szkarłatnej kotary — ma jednak swoje słodycze, i ty, jeżeli to sam zechcesz, przy pewnej z mej strony pomocy, doświadczyć ich możesz.

— Życie nasze ma jakie słodycze?!... — z głośnym śmiechem zawołał Antar, — życie nasze ma słodycze?!... Niechaj ci, królowo, Allah wszystkie przebaczy grzechy, lecz żartujesz sobie ze mnie. W naszym życiu, jedno tylko chwilowe cierpienie zapomnienie poniekąd zbliża się do przyjemności, i to jeszcze ciągle należy je pokrzepiać wspomnieniami myśli i czczemi marzeniami. Na serce twej matki zaklinam cię, królowo, gdyż chcę znaczenie słów twoich przeniknąć, — okaż mi swoją opiekę: niechaj doświadczę choć jednej z tych słodyczy, które, wedle słów twoich, stanowią posag naszego życia! Przekonam się, z jakiej doliny są rodem i na jakich górach pasły swoje stada.

— Na oczy moje i głowę zaręczam — odpowiedziała królowa duchów spokojnych: — ja nie żartuję. Wiedz bowiem, synu Rebiewa, że z niezmiennej woli przeznaczenia, do istoty człowieka, żyjącego w towarzystwie sobie podobnych, przywiązane są trzy wielkie słodycze: słodycz zemsty, słodycz panowania nad podobnemi sobie stwo...

— Słodycz zemsty! — krzyknął Antar, z dzikiem wzruszeniem, przerywając mowę Peri. — Tak

jest! . . . masz słuszość. Czuję, że zemsta powinna być największą słodyczą. Przystaję na tem, i jeżeli czemkolwiek sobie zobowiązałem ciebie, królowo, pozwól mi upoić duszę tą słodyczą; więcej nie żądam niczego od ciebie.

— Chętnie, — odparła Guil-nazar ze zmyśloną obojętnością, w której się przymus przebijał. — Weź klacz swoją i jedź w stepy, tam napoisz duszę tą słodyczą, a kiedy powtórnie zażadas gościem być moim, powracaj w rozwaliny Tedmoru i staraj się zasnąć na tem miejscu, na którym się teraz przebudzisz.

Z temi słowy zniknęły z oczu młodzieńca czarowne pałace, i ujrzał się siedzącym na długim ociosanym kamieniu, który silnym palcem czasu był zrzucony z wierzchołka kolumn nawpół rozwalonej świątyni. Przy nim stała wierna Balka i nowa włócznia zatknięta w ziemię, dar tajemniczej władczyni Tedmoru i talizman przyszłych jego zwycięstw. Tarcza i szabla w tem samym miejscu leżały, gdzie je z rana był zostawił. Pałający młodzieniec schwycił oręż, dosiadł konia i puścił się w pustynie. Świsł tylko sypiących iskry krzemieni i wysoki słup pyłu, jak dym z zapalonego stosu suchego ciernia, długo wskazywały kierunek jego drogi.

Już nieraz gorące i zimne wichry nad Szamską przewiały pustynią, i nieraz wiosenne gwiazdy z dziennych i nocnych obłoków obfitość wód na nią wylały, a jeszcze piaski Tedmoru ni razu śladem końskich kopyt nie były ruszone, i nikt

z jeźdźców nie słaWił jego ruin wdzięcznych...
Lecz otóż, jedzie właśnie młodzian na ślicznym
gniadym koniu; tarcza błyszczy na jego ramieniu,
u bioder ciężki prosty pałasz wisi, a łuk z tyłu
przywiązany. Ale wzrok młodzieńca zasępiony;
serce częściej się chwieje, niż cienki koniec gibkiej
jego włóczni, z długiej trzciny zrobionej. Zwrócił
koniem w zwaliska Tedmoru i zniknął między
jego kolumnami.

.

Szkarłatna zastona wisi, jak dawniej, w brylan-
towym pokoju; u szkarłatnej zastony siedzi smutny
młodzieniec, a z po za niej słyhać miły, dźwię-
czny głosik:

— Pokój z tobą, Antarze, synu Rebiewa!
Z niecierpliwością oczekiwałam na ciebie.

— I z tobą pokój królowo! — posępnie od-
rzekł syn pustyni. Niechaj Allah błogosławi oczy
twoje, oby zakwitły róże twoje na wszystkich
wzgórkach sypiącego się piasku!

— Jesteś znów gościem moim, synu Rebiewa
— powiedział głos z za kotary.

— Raczej niewolnikiem! — odparł Beduin
i po chwili milczenia przydał: — Upoiłem duszę
słodyczą zemsty. Ach!... niech cię, królowo,
Allah obdarzy zdrowiem i pomyślnością!...
zaprawdę wielka to i nie do wyrażenia słodycz.
Dzięki twjej opiece, zemściłem się nad wrogami
moimi. Ciała ich bez pogrzebu walają się w pustyni,
a stada kruków i szakali w ślad za mną idą, jak

za swoim wodzem. Imię moje rozpościera przestracz i wzbudza zadziwienie po wszystkich ulusach. Ludzie zowią mnie wielkim, nikt bowiem nie wyplenił ich więcej nade mnie. Kąpałem się we krwi i oddychałem śmiercią; przy każdym pokonaniu nienawistnego mi człowieka, grom radości odzywał się w piersiach moich, a odgłos jego, jak ryk tygrysa w górach Akaby, długo potem jeszcze odbijał się w przepaściach kamiennej duszy mojej. W konwulsyjnych wykrzywieniach ust wroga, przybitego włócznią do ziemi, widziałem uśmiech zemszczonej krzywdy mojej; miłym on był, chociaż poniekąd okropny. Siadałem w pośrodku pomordowanych przeze mnie prześladowców moich, leżących na piasku krwią przesiąkniętym, z którego pod piekącym słońcem krwawa para unosiła się ku niebu, i biesiadowałem z nimi, jak z najdroższymi sercu istotami. O! nigdy biesiada z miłymi przyjaciółmi, z tkliwą matką, z ubóstwioną kochanką, nie może być słodsza, weselszą, bardziej zachwycającą od tej, jaką mieć można pośród trupów prześladowców swoich! . . . Zemsta, zaiste największą jest słodyczą; całkowicie jej doświadczyłem i widzę, że przeznaczenie nie mogło wymyślić nic doskonalszego dla osłodzenia na tej ziemi smutnego bytu człowieka. Niezawodnie, że warto się urodzić, jeżeli można choć cokolwiek zemścić się nad nienawistnym sobie rodem człowieczym. Lecz ta jedyna, ta prawie niebiańska słodycz jest, na nieszczęście, krótkotrwała. Upojenie jej przemija,

jako mgła poranna i zostawia po sobie nieprzyjemne uczucie.

Cóż ci mam jeszcze powiedzieć, królowo? Kiedym zmiotł z powierzchni ziemi wszystkie oczom moim nienawistne istoty i kiedy już nie miałem ani przyczyny do zemsty, ani przedmiotów nienawiści, uczułem wtenczas w sercu najsroźszą tęsknotę, i wśród świetnej, jasnej i ludnej pustyni, ujrzałem siebie otoczonego drugą pustynią niezamieszkaną, martwą, zimną, bladą, ponurą, gdzie słońcem — fatalność, wiatrem — strach, a rosą — łzy. Bezustannie czuję w ustach słony smak krwi ludzkiej, wokoło siebie zapach trupi. Spójrzyj na moje ręce . . . na nich skóra zeschła, jak gdyby od palącego dotknięcia zazdrośnika; kości we mnie zdają się być nie moje, ale cudze — bez życia, skamieniałe, chłodne i ciężkie, jak kości zdrajcy, w pieczary przez hyeny zawleczone; krew moja gorzka, zatechła, podobna wodzie, pokrytej zieloną pleśnią solniaka. Ona mi pali żyły i w gardle odzywa się rozpaczą. Zgnilizna z zabójstwa załęgła się w mojej piersi, i czuję, jak rdza, krwawymi zębami szarpiąc moje serce, zwolna je pożera. Ja zemsty pragnę! sam nad sobą mścić się będę, jeżeli ty nademną się nie zlitujesz. Przyszedłem prosić cię, królowo, ażebyś mnie ocaliła . . . Zemsta największą jest słodyczą, ale okropne po niej następstwa.

— To zwyczajne skutki wszystkich uciech naszego życia, — rzekła Peri — lecz wiedz, synu

Rebiewa, że trucizna, pozostawiona w duszy od jednej słodyczy, użyciem tylko drugiej wyleczoną być może. Trzy ich tylko w naturze, wszystkie inne są sztuczne i wymagają osobnych natężeń umysłowego usposobienia, aby mogły być pojęte. Pierwsza więc z tych słodyczy przyrodzonych, jak ci to mówiłam, to słodycz zemsty, którą poznałeś i doświadczyłeś; druga, to słodycz panowania nad podobnemi sobie istotami; trzecia . . .

— Ja chcę doświadczyć tej drugiej słodyczy!
— przerwał z zapałem Beduin: — przekonany jestem, że ona mnie uleczy.

— A więc jej doświadczysz — rzekła niewidzialna władczyni Tedmoru. — Poruczam cię opiece Allacha.

— Niechaj utwierdzi twoje panowanie! — odpowiedział bohater.

Zniknęła znów brylantowa komnata ze szkarłatną zasłoną, i Antar oddalił się w pustynię . . .

Po kilku latach jeździec na gniadym koniu raz jeszcze zjawił się w okolicach Tedmoru. Krążył długo dokoła rozwalin, jak gdyby nie śmiał wstąpić w ten krąg zaczarowany. Postać jego zdawała się być jeszcze smutniejszą, niż pierwej. Zatrzymał się u złomu kolumny, myślał długo . . . wreszcie ruszył z miejsca i szybko zniknął między wzniosłemi kupami rumowisk i kamieni. Odtąd już nie widziano go w pustyni; w brylantowym tylko pałacu królowej Tedmoru rozlegały się głosy:

«Gość, gość przyjechał znowu do królowej, i już pozostanie tu na zawsze!»

.....
Pograżony w posepnych dumaniach, siedzi Antar u szkarłatnej zasłony. Królowa przychylnie gościa przyjmuje.

— Pokój z tobą, Antarze, synu Rebiewa! Z niecierpliwością czekałam na ciebie.

— I z wami pokój królowo — odpowiedział Beduin. — Przybyłem tu podziękować ci za łaski twoje. Doświadczyłem słodczy panowania nad bliźnimi moimi. Jest wielka i zachwycająca, i nieledwie przyjemniejsza od samej słodczy zemsty. Gdym opuścił twój pałac, obwołano mnie naczelnikiem i rządcą niezliczonych pokoleń, które jednocząc się przy mojej włócznie, utworzyły naród silny, mężny i bogaty. Przewodniczyłem im na polu bitwy i rządziłem ze swojego namiotu; wodzowie i bohaterowie cisnęli się około sznurów jego i z pokorą oczekiwali moich rozkazów. Nie może być nic wznioślejszego, niż widzieć tysiące tysięcy podobnych sobie istot, poruszanych jednym naszym słowem, czerpiących wolę swoją z ogólnego źródła naszych chęci, i aby spełnić myśli nasze, ochotnie czyniących ofiarę z własnych swych myśli, majątku, a nawet i życia. Stąd więc władca istotnie duszą i ciałem czuje się być wyższym nad człowieka; pojęcia jego podwyższają się, namiętności ograniczają i tracą całą swoją szkodliwą siłę z łatwości im dogadzania, a chęci jego zbliżają

się ku żądaniu samej tylko cnoty. Posiadanie wszystkiego, osadza w duszy jego spokojność i nakłania do wspaniałomyślności i szczodroty, do rozprzestrzenienia własnego szczęścia na to wszystko, co go otacza, słowem: do powszechnego dobra. Lecz tu już granica słodczy; za nią zaczyna się gorycz straszna, zabijająca, zatruwająca swym jadem najdroższe chwile jego życia. Ledwo przystąpisz do dzieła powszechnego dobra, natychmiast spostrzeżesz, że ci sami, których z takim zapalem prawdziwe szczęście ustalić pragnąłeś, nie umięją i nie chcą wznieść się do wysokości twych myśli i nie pojmują twojego serca. Z wysokości tronu, odkrywasz u nóg swoich otwarte piekło upodlenia, gdzie dniem i nocą płoną poziome namiętności, pochłaniając z niesłychaną łatwością wszystkie twoje dobre uczynki i najlepsze chęci; i chwalebne zamiary twoje w oka mgnieniu, przepalają się w podły węgiel osobistej korzyści silniejszego i przebieglejszego. A tak, po długim i męczącym pasowaniu się z usiłowaniem ludzi, przeciwiących się ugruntowaniu własnego ich szczęścia, uczujesz w końcu zmęczenie i przepelnienie przykrości, zaczniesz pogardzać ludźmi i odtąd stajesz się nieszczęśliwym. Ja sam szybko przekonałem się, że ci, których do ufności swojej przypuściłem, starali się tylko zrobić mnie narzędziem swej chciwości, lub środkiem do zgubienia nieprzyjaciół swoich, i odtąd to, męczarnie niedowiarstwa szarpały moją duszę. To przejęło mnie wstrętem i wyzuło

nawet z chęci roześmiania się czasem, i ja pośród szumnego towarzystwa, wśród mojej potęgi, ujrzałem się samotnym, bezsilnym, ugnięcionym ciężarem bezkorzystnej władzy, prześladowanym przywidzeniami bladej podejrzliwości, niebezpieczeństwa i zdrady. Z początku, wola moja znajdowała jeszcze poniekąd przyjemność w ślepem spełnianiu jej przez mych zaufanych, lecz następnie ich niewolnicze uniżenie, odjęło jej i tę ostatnią pociechę; unosiła się tylko i panowała w pustem przestworzu, głów ich bynajmniej nie sięgając, bo mi wtedy zbyt już nisko pełzali. Naówczas tęsknota i przesyt, wtrąciły mnie w przepaść dziwacznych rozrywek, od których oderwania się, gwałtowne i wyszukane sposoby rozum mój i uczucia zgnębiły. Serce moje zeschłe, zewnątrz spalone, a puste we środku, podobne do przejrzałego jabłka Kołokinta, rosnącego u skał podnóża, pękło z trzaskiem i rozsypało w duszy mojej, nasiona czarnej i zaraźliwej rozpacz. Ileż to razy, chciałem porzucić książęce pałace i swoich poddanych, i uciec w pustynie bezludnej! Lecz jakaś niewidoma siła, przeciwiąc się chęciom, przykuwała mnie do mojej godności monarszej. W tej słodczy panowania widzę utajony, delikatny, ulotny ogień, który paląc się bezustannie w łonie, utrzymuje uczucia w upojeniu, wzbudza nieugaszone w piersiach pragnienie, nakłaniając mimowolnie usta do gorzkiej czary rozkazywania. Zwyciężyłem w końcu jednak samego siebie, porzuciłem wszystko i przybiegłem znów do ciebie, wielka królowo,

abyś raczyła uleczyć duszę moją. Cierpię, nie do uwierzenia! Słodycz panowania zrodziła we mnie młodość śmiertelną, która mnie męczy, dławi i zabija. Jednakże ciągle jeszcze pragnę panować, rządzić, rozkazywać i rozporządzać losem bliźnich moich; nie mogę żyć bez władzy i porzucając ją, zdaje mi się, żem nierozsądnie wyrzekł się razem powietrza, wody i słońca.

— Cierpisz naturalnem następstwem tej słodyczy — rzekła Peri z po za szkarłatnej zasłony. — Obowiązana dla ciebie wdzięcznością, pragnę jak najserdeczniej uleczyć twoją duszę, lecz ty wiesz, synu Rebiewa, że jad, wyciśniony w serce z jednej słodyczy, tylko użyciem drugiej zniszczonym być może. Ty dwóch już kosztowałeś — czy się odważysz kosztować i trzeciej? Lecz uprzedzam, że ta trzecia słodycz, silniejsza jeszcze bardziej niż tamte, i czarująca, zostawia również po sobie straszną, nieprzecierpianą gorycz; a co ważniejsza, że ta gorycz, gdy raz zatruje duszę, już nigdy i niczem osłodzić jej niepodobna.

— Na wszystko się odważam! — Zawołał Antar. — Napróżno pragnąłem doświadczyć pierwszej, i lepiej mi podobno było całe życie pozostawać nieszczęśliwym, jakim byłem w młodości, nie znając ani jednej z przeznaczonych nam losem słodyczy; lecz kiedy otrułem się pierwszą, chcę ich doświadczyć do ostatniej. Niech trup mój, napojony jadem wszystkich słodyczy naszego życia, niepogrzebiony, wałając się w pustyni, stanie

się wilkom i sępom trucizną! Niech skosztowawszy zgorzkiego ciała człowieka, karmionego chlebem namiętności, zwanych u nas tkliwemi, wzniosłemi i szlachetnemi, opowiedzą towarzyszom swoim w górach Emamy, jaki jest smak szczęścia ludzkiego. Powiedz zatem, królowo, jak się nazywa ta trzecia słodycz? . . .

— Miłość! — odpowiedziała Peri.

— Miłość!? . . . — krzyknął Beduin; — miłość ma być słodyczą? . . . Ja zawsze sądziłem, że ona tylko męczarnią . . . Ach! królowo, jam już doświadczył miłości! . . . Lat temu dziesięć, nad brzegiem potoku, w pobliżu którego czerniły się jurty *) nienawistnego mi pokolenia, spotkałem dziewicę rajskiej urody, w długiem, błękitnem odzieniu, swobodnie na głowę zarzuconem, z pod którego, przy każdym wiatru powiewie, połyskiwała twarz świeża i śliczniejsza od pełnego księżyca, wychylającego się nocą z za obłoku i kryjącego się natychmiast za drugim. Czerpała wodę . . . a gdy stanęła, to kibić jej równością swoją zawstydzała trzcinę, rosnącą u źródła potoku; gdy się schylała lub podnosiła, ciało jej wydawało się zwinniejsze, niż czarnej żmii, wijącej się po piasku, rozpalonym słonecznym skwarem południa. W dużych, okrągłych jej oczach błyszczał ten jasny, czarujący promień tkliwości, jaki połyska w spojrzeniu łani, gdy zwracając swą gładką i lśniącą szyję, spogląda na

*) *Jurta* namiot Kirgiza, pokryty wołokiem.

białe łaniątko, u jej wymienia leżące. Olśniony świetnością jej twarzy, stałem nieruchomy, jak słup w pustyni wskazujący drogę, nim odważyłem się zbliżyć ku niej, by rozpocząć rozmowę. Ona, łaskawie odpowiadała na moje pytania, z wdzięcznym uśmiechem wysłuchiwała mej przysięgi, że ją do śmierci kochać będę, i naznaczyła mi to samo miejsce widzenia się na dzień następny; potem, naczynie z wodą stawiając na głowie, szybko do poblizkiego pobiegła ułusu. Przyszedłem nazajutrz rankiem do źródła, lecz ona się nie pokazała; nigdzie jej nie było w tej stronie, i jurty tego plemienia zniknęły też w nocy z nad brzegów potoku. Napróżno szukałem jej w całej pustyni; nikt nie mógł mi powiedzieć, kędy się podziała. Odtąd jej obraz nie rozstawał się już nigdy ze mną; nosiłem go w duszy, kołysałem w sercu i usypiałem we krwi mojej. Ilekroć znajdowałem się w niebezpieczeństwie, zawsze cień jej przedstawiał się widocznie oczom moim, i zdawał się mnie zaślaniać przed natarczywością przemagającego nieprzyjaciela. A tak, i mszcząc się włócznie nad ludźmi, i rządząc nimi, nie przestawałem jej szukać, myśleć o niej i płakać po niej. Z nią jedną tylko mógłbym kosztować słodczy miłości, jeżeli tylko miłość w sobie ją zamyka. Lecz zapewne już jej nigdy, nigdy nie zobaczę. Tak jest . . . to było tylko przywidzenie, moc czarów i zemsty starej czarownicy Szamrai, znanej w całym Chedżadzie, której syna zabiłem w pojedynku na włócznie . . .

W zapale opowiadania o pięknej nieznanym, Antar nie spostrzegł, że szkarłatna uchyliła się zasłona, i że wszyscy przytomni, padłszy na ziemię, pochylili głowy przed obliczem odsłoniętej królowej. Wówczas, kiedy bolesne wspomnienia przecięły głos jego, podniósł głowę, a wzrok jego spotkał się z blaskiem nowo odkrywającego się widoku, który wstrząsł duszę jego jednochwilowem uderzeniem podziwienia i zachwytu. Na wspaniałym tronie, migocącym złotem i brylantami, siedziała ta sama Beduinka w błękitnej zasłonie, o której dopiero co opowiadał.

— Niech mnie mój ojciec przeklnie! — krzyknął nagle, zrywając się z sofy: — Allach! Allach! . . . to czary?

— Uspokój się Antarze, synu Rebiewa, — rzekła wdzięcznym głosem — i poznaj w niewidzialnej królowej Tedmoru, tę prostą córkę pustyni, która naznaczyła ci schadzki na brzegach potoku, która ochraniała cię w niebezpieczeństwach i niewiedomie myśli twoje spełniała. Ja jestem tą gazellą, która po pokonaniu złośliwego Dżinna, chciała ci okazać swą wdzięczność, łasząc się u nóg twoich. Odtąd, bądźże już nie gościem, ale panem w moim domu. Tu, zdawna czekała ciebie słodycz miłości, której tak późno pokosztować zapragnąłeś, dopiero po doświadczeniu wszystkich innych słodyczy . . .

Wstała, podeszła ku niemu, i wzięwszy za rękę, posadziła go przy sobie na tronie. Antar długo

jeszcze nie wierzył swojemu szczęściu, póki nareszcie nie spadła zasłona i od świadków ich nie oddzieliła.

.

.

Przeszło lat wiele. Antar i Giul-nazar siedzieli u okna, wychodzącego na ogród, zachwycając się świeżością pięknego wieczoru. On, trzymał ją w objęciach swoich, a pałający wzrok topił w różowe jagody i rozkoszną pierś Peri, łakomie napawając się widokiem czarujących przyjemności, podobny tęczy, wypijającej wodę z utworzonej przez deszcz krynicy, na kraju nagiej pustyni. Drżące namiętnością usta, wyciskały na nich gorące pocałunki, których płomień przenikał do samego serca szczęśliwej małżonki. Nagle Antar konwulsyjnie przycisnął ją do łona

— Najdroższa moja! — zawołał — teraz zupełnie się przekonałem, że w życiu człowieka niema ani jednej słodyczy, mogącej się zrównać ze słodyczą miłości podzielanej z ubóstwianą istotą. Ona, całe nasze istnienie napełnia niewyrażoną słodyczą, prawdziwie wiosennem weselem, nie zostawiając w ciele najmniejszego zakątka złościwości, ni rozpaczy. Krew w żyłach staje się słodką, jak sok trzciny cukrowej, i marzenie przybiera obrazy piękniejsze i bardziej rozmaite, niż biały tuman, jawiący się na stepie w gorący poranek, uwodząc patrzących widokiem jezior, drzew, zamków i miast zminaretami. Dusza, pałająca miłością, w samym

jest kwiecie i oddycha ciemno-ponsowem wonnem szczęściem róży, rozkwitającej pod promieniami wschodzącego słońca. Lecz wiem, czem kończą się nasze słodycze, i ty sama uprzedziłaś mnie o nieodmiennych tej skutkach, którą tak silnie uczuвам. Lękam się trucizny, zostającej na dnie serca po jej ulotnieniu; boję się nowych cierpień duszy więcej, niż głodnej śmierci; więc błagam cię, wygaś życie moje ostatnią kroplą tej słodyczy, skoro ujrzysz, że już gorycz zaczyna się w niej przebijać. Przysięgnij, że spełnisz moje żądanie . . .

Peri rzuciła mu się na szyję, namiętnie zlepiła usta swoje z jego ustami, i po długim, długim i wymownem milczeniu, odrywając je z boleścią, drżącym, stłumionym łzami głosem wyrzekła: „Przysięgam.“

.
Jeszcze ubiegły lata. Antar leży na miękkiej i wonnej pościeli, obok prześlicznej Peri, i trzyma jej rękę w swej dłoni, lecz zdaje się tęsknić; usta jego milczą, oczy milczą także, myśl nawet zdaje się błądzić w pustyni. Wierna Peri spogląda na niego z boleścią, smutkiem i miłością, a pełne ognia promienie jej oczu nie rozgrzewają już duszy Antara. Dwie pełne łzy roni i namiętnie oplata go swemi rękoma. On, jakby gwałtownem krwi uderzeniem, ze snu przebudzony, rzuca się w jej objęcia i rumieni się na samą myśl obojętności. Jej ogień silną iskrą przeleciał w serce jego.

Miłość, wzburzyła w nim całe życie i zapaliła je tęczowym płomieniem rozkoszy, pogrążając następnie w upojeniu — słodki zbiór uczuć, snu, mroku i śmierci, chwilowy obraz rajskiego szczęścia. Antar, przykuty do ust gorącej kochanki, przyjemnie zasnął na jej łonie... zasnął na wieki... Peri z ostatnim pocałunkiem, wciągnęła w siebie jego duszę i ze swoją własną złączyła. Dopełniła przysięgi: dusza Antara żyć będzie wiecznie miłością w duszy kochanki i nie dozna nigdy goryczy, idącej w ślad za słodyczami tej namiętności, w ziemskim bycie człowieka.

.

Życie jego nagle zgasło, lecz w jego ciele i po śmierci, wszystkie żyły długo jeszcze drżały odgłosem szczęścia ostatniej chwili, podobnie jak dźwięk ostatniego uderzenia chrześcijańskiego dzwonu, rozlega się bez końca w głuchych górach Libanu. Wierna Peri ze swych go objęć nie wypuszcza; namiętnie przytula do serca zimnego trupa kochanka i gorącemi oblewa go łzami. Jej ogień rozgrzewa marmurowe ciało, i zimny trup, jeszcze odczuwa na powierzchni swojej, słodycz miłości.

Członki jego zsiniały, ciało odpada już od kości, lecz Peri jeszcze się z nim nie rozstaje. Ona, delikatnie przytrzymuje rękoma nieczułe szczątki najukochańszej istoty, przytulając je do swej piersi, bielszej nad mleko. Ona nigdy z tym

się nie rozstanie, którego w życiu z takim kochała zapałem.

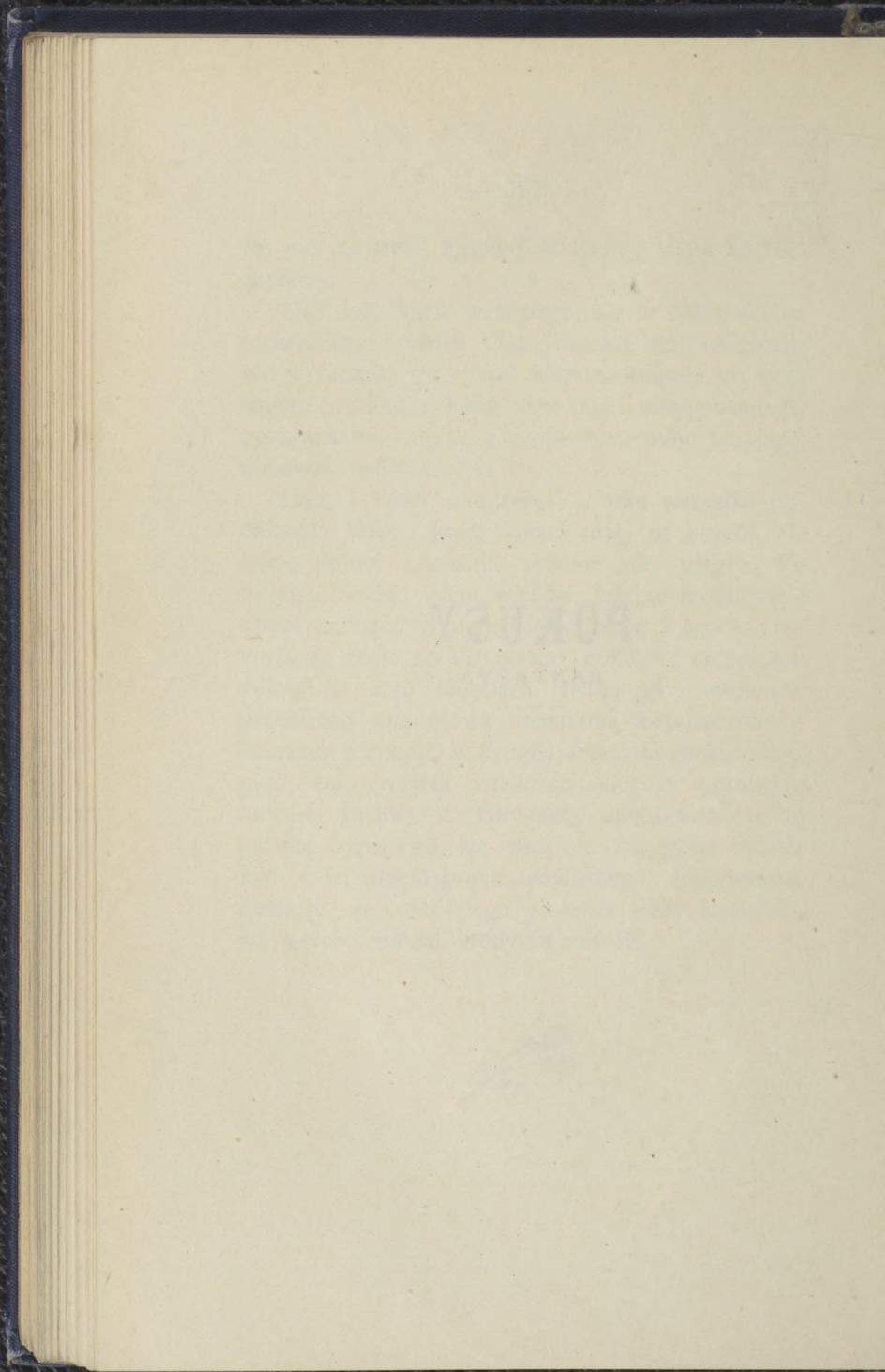
Oto już Antar przemienił się w biały, suchy, niekształtny szkielet. Ona jednakże ani na chwilę nie wypuszcza go z rąk, któremi opasała go przy śmierci, i suche kości kochanka, obsypywane jej pocałunkami, nieraz przeniknione były uczuciem pieczyot najtkliwszych.

Lecz i kości niszczeją... czas wszystko pochłania. Więc i kości Antara stlały na popiół, ale serce dobrej kochanki zmianie nie uległo. Po upływie wielu, wielu wieków, jeszcze moglibyście ujrzeć cudną Peri nieruchomie leżącą w tem samym miejscu, gdzie po raz ostatni poila się szczęściem miłości w jego objęciach. Jedną ręką, wspierała prześliczną swą głowę, ocienioną rozpuszczonymi kruczymi włosami, w drugiej, trzymała garść siniego pyłu, cały ostatek wielkiego niegdyś pomiędzy ludźmi Antara. Z tkliwością spoglądała na tę garstkę sypiącego się prochu, łza jedna upadła nań z jej oka, i proch ukochanego śmiertelnika, owijając się wokół tego posłańca serca kochanki, raz jeszcze zdrzął słodyczą miłości.



POKUSY

FANTAZYA.





POKUSY.

1.

Pędzi jeździec przez stępy w noc ciemną,
Jakąś żądzą trawiony tajemną. —
Czy ucieka? . . . czy może w pogoni
Za tabunem porwanych mu koni? . . .
Czy go nuda w szeroki świat żenie? . . .
Może miłość, lub zemsty pragnienie? . . .
Myśl człowieka, — to przepaść! — któż zgadnie,
Jaki tam twór porusza się na dnie.

2.

W nagłym pędzie — koń stanął jak wryty;
Zarył w ziemię przednimi kopyty,
Zestrzygł uszy — i chrapaniem z garła,

Dawał znaki, że czuł wielką trwogę.
Czyby tygrys zastąpił mu drogę? . . .
Czyby przed nim przepaść się rozwarła? . . .
Nie! — w tej chwili przez nieboskłon czysty,
Przelatywał meteor ognisty,
I nim ugaś z łomotem i traskiem,
Tak nieziemskim objął stepy blaskiem,
Takiem morzem świetlanego płynu
Oblał trawy — z ich puchem i kwiatem;
Że step — zdał się czarnoksiężkim światem,
Z iskier: złota, szafiru, rubinu.

3.

Jeździec — młodzian w życia pełnej sile,
Mało zważał na niebios zjawisko;
Bo przy świetle, które trwało chwilę,
Dojrzał inne, — groźniejsze . . . tuż blisko.
Czterech konnych — w rzeczy dzielnych gońców,
Wprost nań biegło z czterech stepu końców;
W inne barwy, każdy był przybrany, ¹⁾
Koń każdego, — innej był odmiany.
Widać — zdradnie został oskoczony,
A tu z nikąd pomocy, ni schrony.
Uciec! . . . hańba i niepodobieństwo! . . .
Czterech zwalczyć? . . . to istne szaleństwo! . . .
Więc się tylko — osadził w strzemieniu,
Za nóż chwycił — dla bliższej obrony,
I pozostał w miejscu niewzruszony,
Zdając resztę — swemu przeznaczeniu.

4.

Ów, co nań pędził od strony wschodu,
Na wiśnio-gniadym sadił bachmacie;
Widać potomek Kańskiego rodu,
Od stóp do głowy — cały w szkarłacie.
A blask szat jego, takiej był mocy,
Że choć już ugaśł ów wąż świetlany,
On, świecił sobą, wśród cieniów nocy,
Jakby w jutrzeńki ogniach skąpany;
Gwiazdą z rubinów miał kaftan spięty,
A na kołpaku — lychnis zatknięty. ²⁾
Powitał jeźdźca, skłonieniem głowy,
I doń przemówił takimi słowy:

5.

„Błyszczą gwiazda poranna na Wschodzie,
Promieniami w świat daleki strzela;
Rośnie róża w czarownym ogrodzie,
Roskosz — w uśmiech jej listki rozdziela;
Uśmiech róży — to serce dziewicze,
Gdy przeczuwa miłości słodycze;
Błaski gwiazdy — to młodzieńca oczy,
Gdy je dziewczę swym czarem otoczy.
Ty, młodzieńcze chciej być gwiazdą Wschodu;
Ja ci różę ukażę ogrodu.
Żadna hurys w Edenie Proroka,
Nie ma blasku tak czarnego oka,
Ani włosa — z tak bujnemi sploty,
Ani ustek — miłszych do pieśczoły.

Przy ognisku: potulna i cicha,
Jak ów fjołek, co w trawce oddycha;
Lecz niech w stepie dosiędzie rumaka,
Z orłem, chartem, puści się po fali
Traw szumiących . . . by polować ptaka,
Zgonić zwierza, co pomknął się w dali;
Dziwny ogień żarzy się w jej łonie,
Co z ocz tryska . . . i na licu płonie;
Że rozpoznasz w stepowej dziewczynie,
Krew Sułtańską, co w jej żyłach płynie.
Ale miłość — jak każdy dar nieba,
Aby osiąść: zdobyć ją potrzeba.

6.

Tam, na wschodzie, są góry olbrzymie
Ciemnym lasem porosły ich boki,
Wyżej skały, a ich szczyt wysoki
W śniegach wiecznych i w lecie i w zimie.
Do gór środka, jest przejście tajemne,
Przez parowy głębokie i ciemne.
Wąska ścieżka, którą dzikie kozy
Wydeptały, pędząc przez wąwozy,
Gdy je spłoszą wilki lub niedźwiedzie,
Pełna trudów, w ten górski świat wiedzie.
Nad huczącym w przepaściach potokiem,
Przez drzew gęstwy, przez skał rozpadliny
Piąć się trzeba — aż tam . . . gdzie przed okiem
Błyszczą fale wśród wielkiej doliny.
Allah! Akbar! — krzykniesz od zachwytu,
Gdy w krąg ujrzysz otchłanie błękitu.

7.

Na jeziora rozległym obwodzie,
Cudny obraz odbija się w wodzie;
Z brzegów, lasy w głąb' piętrami rosną,
Świerk z modrzewiem, wiąz miesza się z sosną;
Niżej lasów — ciemne, nagie góry,
Poszczerbione . . . burz i gromów ślady,
Z ich rozpadlin pędzą wodospady,
A po grzbietach czepiają się chmury;
Od chmur niżej — sterczą szczyty białe,
Niby starców głowy posiwiałe;
A pod niemi — na błękitów fali,
Coraz niżej, głębiej . . . coraz dalej . . .
Sunie księżyc i gwiazdy — lub słońce,
W tych bezdennych przepaściach świecące.

8.

Za jeziorem, w zacisznej ustroni,
Śród kwitnących morel i jabłoni,
Zasiadł auł — i zajął w użytek
Bujny padoł, pod liczny dobytek.
Tam, zobaczysz, na rozkwitłej łące,
I wielbłądy z bydłem się pasące;
Jak pomiędzy ich spokojne stada,
Tabun źrebców pędzi jak kaskada;
Jak po wzgórzach pnąc się przez manowce,
Rozproszone skubią trawę owce.

9.

Śród aułu — jest jurta osobna,³⁾

Wyższa, szersza i więcej ozdobna,
Białym kryta wojłokiem, a z góry
W dół, ujęta przez jedwabne sznury;
Tkań kaszmiru zdobi jurty ściany,
Z boków skrzynie, co mieszczą sprzęt drogi,
W środku perskie wspaniałe dywany,
I wzorzyste kobierce pod nogi.
A w tej jurcie — hoże dziewczęcę rośnie,
Które tęskni i marzy miłośnie.

10.

«Mam strój piękny, barwny i bogaty,
«Z chińskich tkanin kosztownych mam szaty;
«Sznury pereł, moc złotych pierścieni,
«Co się błyszczą od drogich kamieni;
«Nic mi nie brak — a przecież ja czuję,
«Że mi czegoś do szczęścia brakuje.

«Po jeziora gdy igram kryształe,
«Niby rybka co pluśnie nad fale,
«Widzę jasno w przezroczu tej wody,
«Że mi Allah nie skąpił urody;
«Nic mi nie brak, — a jednak ja czuję,
«Że mi czegoś do szczęścia brakuje.

«Mam służebnic orszak na skinienia,
«Co mi pracę w lekki trud zamienia;
«Chcę swobody? . . . mam stopy na okół . . .
«Jak wiatr lecim — koń mój, chart i sokół.
«Nic mi nie brak, — a przecież ja czuję,
«Że mi czegoś do szczęścia brakuje.

«Gdy noc cieniem otoczy namioty,
«Sny mnie budzą . . . bo czegoż się nie śni? . . .
«Słucham . . . słowik powtarza me pieśni,
«Ja tak lubię tę piosnkę tęsknoty;
«Nic mi nie brak, — a jednak ja czuję,
«Że mi czegoś do szczęścia brakuje.

«Stary Mułta, z gwiazd wróżył mi szczęście,
«Gdy mnie dzieckiem żądano w zamięście,
«Dziś, gwiazd pytam? — czy się z ich promieni
«Krażek światła w jeźdźca nie przemieni? . . .
«Gwiazdy milczą — i dopiero czuję,
«Jak mi wiele do szczęścia brakuje.»

11.

Narzeczony o którym wspomina
Rozmarzona, w swych dumach dziewczyna,
Ty nim jesteś! . . . wieść o tobie głucha,
Jak szmer liści, doszła do jej ucha,
I ubrała — w jej myśli młodzieńczej,
W gwiazd promienie i w kolory tęczy;
Teraz — wzrokiem śledzi na obszarze,
Czy się w dali choć pył nie ukaże,
A z za pyłu jaki jeździec dzielny,
Co wyprzedza swój orszak weselny!
Próżno czeka! . . . przez stepów przestworze
Pędzą — sarny i dzikie tabuny,
Lecą — wichry, orły i pioruny;
Kogo pragnie — dopatrzeć nie może.

Gdzież ów jeździec? . . . powtórzę ci w treści,
Smutny wątek, niedawnej powieści.

12.

W Siedmiorzeczcu dwóch przyjaciół żyło,
W dwojgu piersiach, jedno serce biło.
Na barantę, na bój, czy na łowy
Powstał zamiar — to jak z jednej głowy;
Tak we wszystkim zgadzali się wzajem,
Sułtan Akbaj, z Bijem Karybajem.
Czy koczować? . . . czy obrać siedlisko? . . .
Zawsze razem, zawsze siebie blisko,
Nigdy w sporze; — nic im na zawadzie,
Choć gromada chodzi przy gromadzie,
Chociaż tabun przy tabunie hasa,
Choc błoń szupła ich stada wypasa.

13.

Raz rzekł Sułtan: „przyjaźń co nas łączy,
Niechże z nami w grobie się nie kończy;
Tobie Allach dał pociechę, syna,
W mojej jurcie rośnie mi dziewczyna;
Gdy dorosną, jak dwóch pni gałązki;
Niech się złączą przez małżeńskie związki;
Jednem drzewem niech się w górę wiją,
I nas starców — swym cieniem okryją.“
Ręka w rękę — i zamiar w tej chwili
Obaj ojce przysięgą stwierdzili.

14.

Przyszła zima, — ciężka, mroźna zima;
Śnieg się sypie . . . dla stad karmu nie ma;
Próżno konie kopią śnieg od głodu,
Zamiast trawy, dokopią się lodu.
„Trzeba spiesznie dobytek ratować,
Zwinąć jurty . . . w góry odkoczować,
Gdy z nas każdy inną pójdzie drogą,
Łatwiej stada wyżywić się mogą.“
Po naradzie, — Karybaj z Akbajem
Każdy innym powędrował krajem;
A Karybaj trupem drogę znaczy,
Stracił stada — i umarł z rozpaczy.

15.

U sułtana — to rozkosz i zbytek,
Z każdą chwilą mnoży się dobytek;
Aul — coraz szerzej się rozpiera,
U ogniska — tłumna czeladź zbiera;
Allah w szczęściu i zdrowiu go chowa.
W tem, uboga przychodzi doń wdowa,
Prosi wsparcia, pokazuje syna,
Dawną przyjaźń, przysięgę wspomina.
Sułtan w złości, obelg im nie szczędził,
Wdowę z dzieckiem wyszczał i wypędził;
„Precz mi z oczu! . . . jam nie bogacz taki,
Bym mógł wszystkie przygarniać żebraki,
Wybrać zięcia, który jeść co niema . . .
Ja nie oddam córki bez Kałyma“.⁴⁾
O! Akbaju! gdzież święte umowy? . . .

Czy je wicher rozpedził stepowy?
Czy je słońce spaliło? . . . czy morze
W swe bezdenne schłonęło je łoże? . . .
Gdzież twa przyjaźń? . . . co jak gwiazda lśniąca
Miała obu przyświecać bez końca?
Wszystkoż znikło? . . . wyszło, jak źródło czyste,
W twego serca pustyni piaszczystej? . . .
A czas leci . . . oj! płynie powoli,
Temu w szczęściu — a owym, w niedoli.

16.

Duch rycerski zawsze w twój rodzinie
Stał wysoko — jej krew w tobie płynie,
A do czynu nie brak ci odwagi,
Więc się pomścij tak ciężkiej zniewagi;
Twoje prawa niczem nie zachwiane. —
Chcesz wziąć odwet za krzywdy doznane? . . .
Teraz pora! . . .

Au! w górach skryty
Mieści — starce, dzieci i kobiety;
Sułtan o los swych skarbów spokojny,
Wszystkich zdatnych na koni i do wojny,
Na daleką wziął z sobą wyprawę,
Zyskać nowe zdobycze i sławę.
Śmiały napad na au! wśród nocy,
Rzuci popłoch, — a przy mej pomocy
Znajdziesz szczęście — gdyż twa narzeczona
Chętnie w twoje skłoni się ramiona. —
Ja ci drogę ukazę tajemną,
Jeśli żądasz miłości? — jedź ze mną.

II.

1.

Gdy ów, swe czynne zalecał usługi
Czwałem z południa nadbiegł jeździec drugi;
Koń pod nim dzielny, maści był bułanój
Sam — w żółte barwy cały przyodziany,
Lśnił — niby złotym pyłem potrząśnięty,
Na złote słońce, miał kaftan zapięty.
Noc była ciemna — ale w owej chwili
W stronie południa, gdzie się niebo chyli
I krańcem swoim brzegów stepu sięga,
Ciągnęła chmura, niby czarna wstęga,
I takie blaski wciąż miotła z siebie,
Że było widno na ziemi i niebie.

2.

Zręcznie osadził konia przybysz nowy
I temi jeźdźca powitał słowy:
„Młodość, miłość, krasne lice,
To są tylko błyskawice;
Czar rokoszy, serc wzajemność,
Gwiazdy — co spadają w ciemność!“

Na nikłym blasku, któż swą przyszłość wspiera?
Gdy dusza młoda na świat się wydiera,
Żal, gdy ją zwicznie, lub w więzach zatrzyma,
Jakieś tam dziewczę z czarnymi oczyma.
Kwiat róży piękny, — ale krótkotrwały
Lada wiatr strząśnie... słoneczne upały
Zżółcą i spalą — i rychłą przemianą
Blaski ulecą... a kolce zostaną.
Kwiat róży piękny... czyż dla jego woni,
Wstrzyma się łowiec, gdy za zwierzem goni?...
Gdy piersią twoją owładła tęsknota,
Jak życie odziać w cudne szczęścia farby?
Do szczęścia droga jedyna, przez skarby
W postaci pereł, djamentów i złota.
Ale bogactwo, jak każdy dar nieba
Ażeby posiąść... zdobyć je potrzeba.

3.

Jest kraj, z którego wyżyn Amu płynie,⁵⁾
Nim się w piaszczyste rozleje pustynie,
Kraj żyznych dolin, wdzięcznie okolonych,
Wiecznie kwitnących i wiecznie zielonych;
Po wzgórzach lasy z balsamicznem tchnieniem,
Wabią do siebie owocem i cieniem.
Poza wzgórzami, groźne wstają góry,
Olbrzymie skały, co jak chińskie mury
Od wtargnień zimy, bronią jak od wroga,
A w końcu dolin — przez przepaście droga;
Szalona Amu hucząc wśród kamieni,

Tysiące w siebie pochłania strumieni;
A chcesz tam dotrzeć, z kąd czerpie swe wody? . . .
Świat niedostępny . . . zamknięty przez lody;
Sterczą iglasto w wiecznych śniegach szczyty,
Na których niebo wspina swe błękity.

4.

W owych dolinach — śród wiecznej zieleni,
Wspaniałe słońce w ognistym turbanie
Jakby Padyszach na niebios rydwanie,
Rozzuca wkoło złoto swych promieni.
To też smug każdy tej szczęśliwej ziemi,
Wciąż się okrywa płodami złotemi;
Złotym nektarem nalewa się trzcina,
Winorośl złote swe grona rozpina
Przez drzew gałęzie, w sploty łącząc drzewa,
Gdzie złoty owoc śród liści dojrzewa,
A całe łany złoty blask odziewa.
Ale nietylko słońce z szodrej dłoni,
Wszystkie bogactwa składa do tych błoni:
Tam, każdy potok czystem złotem płynie,
A gdy się spuścisz do krain podziemnych,
W skałach głębokie odkryjesz jaskinie,
Dziwnie błyszczące w swych kryjówkach ciemnych;
Sądzisz, że iskry, że gwiazdy, że kwiaty,
W zaczarowane objęły cię światy,
A to opale, szmaragdy, rubiny,
Które sam Allach spuścił w te doliny.

5.

Z tych ziem błogich wyszła karawana;
Sto wielbłądów ugina swe garby,
Sto wielbłądów dźwiga wielkie skarby,
Kupców Giaurów, których zręczność znana,
Jak oszustwem, na drodze zamiennój,
Dać zły towar — a wziąć drogocenny.
Psy niewierne, co szydzą z Proroka,
Z juk wielbłądzich nie spuszczaają oka,
Bo ich dusze jakby za pokutę,
Do tych skarbów, chciwością przykute.
To też sobie obliczyli z góry,
Ile zysku da im przedmiot który;
Gdzie i komu . . . zbyć towar bogaty:
Szale Indu, kitajskie bławaty,
W licznych pakach, sprzęt srebrny i złoty,
I nad wszystko cenniejsze — klejnoty.

O! kto częśćkę tych skarbów posiędzie,
Żyć . . . użyje — i szczęśliwym będzie.

6.

Karawana pójdzie przez pustynie,
Przez szlak czarny, głodnym stepem zwany, ⁶⁾
Przez ruchomych piasków oceany,
Gdzie ślad każdy zsuwa się i ginie,
Jak na wodzie, . . . skoro łódź przepłynie.
Tylko zdała ludzki, lub wielbłąda
Szkielet biały, z pod piasków wygląda,

I wskazuje, jakby dla przestrogi,
Gdzie kierunek tej pustynnej drogi;
Któżby zechciał w kraj przekleństw i grozy,
Swe wędrowne posunąć obozy?
Walczyć z tarczą rozżarzoną słońca,
Kiedy pali ogniem swych promieni,
Albo z wichrem — gdy z końca do końca,
Na ogromnej tych pustyń przestrzeni
Rwie kurzawy, zaćmi dzieńne blaski,
I jak morzem, porusza te piaski;
Któżby zechciał, złożyć tam swe kości? . . .
Gdyby nie miał wiary i pewności,
Że po dziennym trudzie i po znoju,
Cały tabun wypocznie u źródła,
Gdzie zaczerpnie nowych sił i życia
Do dalszego tych pustyń przebycia.

7.

Nam te szlaki z dawien dawna znane,
Więc możemy zdobyć karawanę.
W stepach zbierzem ochoczą drużynę,
Na łup, zawsze gotowych junaków,
Którzy na wzór tych drapieźnych ptaków,
Krążą zdala, gdy wietrzą zwierzynę.
Z tą drużyną, ruszmy na spotkanie
Zagłębionej w piaskach karawanie.
Zasypiemy źródła na ich drodze,
Gdy ich gjaury nie znajdą — więc w trwodze
Czy kierunku złego nie obrali,

Łatwo dadzą sprowadzić się dalej,
Przez omylne znaki — na bezdroża,
W coraz dziksze tych pustyń przestworza.
Dnia piątego, tonąc w piaskach wrzących,
Śród oddechów powietrza duszących,
Gdy wielbłądów część padnie . . . a ludzie
Na pół żywi i złamani w trudzie,
Gdy pragnienie wzrośnie do szaleństwa,
A znój weźmie resztę sił i męstwa:
Wypadniemy z zasadzki — i strzały
Puścim gęste — a w zębach kindżały . . .
Zawre walka — i przy nas wygrana;
A w zdobyczy — będzie karawana.
Potem podział: — ty, jak wódz oddziału,
Część najlepszą otrzymasz z podziału.

8.

Teraz — zdjęć chciałbym zasłonę z twych oczu,
I jak w sennego marzenia przezroczu,
Przesunąć obraz — dotąd jeszcze mglisty,
Lecz który może wziąć być rzeczywisty.

Kiedy na bujnej stepowej równinie,
Stanie twój auł . . . i sto jurt rozwinie,
A na około, jak zasięgniesz okiem,
Cieszyć się będziesz własnych stad widokiem,
Bydła i owiec, wielbłądów i koni,
Gdy rozproszone śród rozkwitłych błoni
Brodzą — w traw żyznych falistej powodzi,
Tymczasem słońce pod poziom zachodzi:

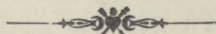
W aul wracają wypasione stada,
I za gromadą, ciągnie się gromada,
Niosąc wymiona wypełnione mlékkiem;
I brzmi powietrze pastuchów okrzykiem,
Psów naszczekaniem — krów głębokim rykiem,
Przeciągłem owiec tysiąca beczaniem,
I kłusujących dojnych klaczy rżeniem;
Tak, że źrebięta trzymane śród klatek,
Gdy głos postyszą wracających matek,
Rwą swoje pęta . . . łamią opór wszelki,
Rżąc — każde pędzi do swej karmicielki.
A nad tę wrzawę i w zgiełk zlane głosy,
Wybija w górę dźwięczna pieśń pastusza,
I czystą nutą uderza w niebiosy.
Tak orzeł — kiedy unosi się w słońce, 7)
Gromady ptastwa u stóp wirujące,
Jednym swym krzykiem — gromi i zagłusza.

9.

W aule coraz głośniejsze wre życie . . .
Tylu stad na raz i ludzi przybycie,
Wrzawa się wzmaga i rośnie i szerzy,
Oprzętem zwierząt zajętych pasterzy,
Krzątaniem niewiast około wieczery;
I brzmia po jurtach gęśli skoczne tony,
To je ryk przerwie, to znów śmiech szalony,
Tak, że w noc późną, ciągły zgiełk się słyszy; —
Aż sen się spuści i wszystko uciszy.

10.

A jeśli każesz na wysokie drzewce
Zatknać chorągiew — zdaleka i bliska
Gość nie ominie twego koczowiska.
Pobożni Chodźe i stepowi piewce,
I podupała lub skrzywdzona rzesza,
Co się tak chętnie przy zamożnych wiesza,
Cisnąć się będzie do gościnnej misy,
By kęs twój spożyć i pić tve kumysy;
A za to — cuda niestworzone prawić,
I twoje imie uwielbiać i sławić.
Wieść zaś — co szybko krańców stepu sięga,
Obudzi podziw . . . co to za potęga!
Co to za gwiazda błysła światłem nowem,
Ponad obszarem zamierzchłym koczowym?
Bijów, Sułtanów najpiękniejsze córy
Wyglądać będą, czy rychło do której
Z nich, wyślesz strojne z podarkami swaty,
I czy dasz kałym liczny i bogaty?
A nawet ojciec twojej narzeczonej,
Pierwszy ci przyjdzie uderzyć pokłony,
Aby przebłagać — uzna własną winę,
I za niewielki kałym — da dziewczynę.
Zresztą — cześć zyskać i rozgłoś wśród ludu,
Czyż to nie warto zabiegów i trudu? . . .
Ja twą dolę chcę zrobić przyjemną.
Jeśli pragniesz bogactwa? — jedź ze mną.



III.

1.

Jeszcze ów swojej nie dokończył mowy,
Gdy od północy, nadbiegł przybysz nowy;
Pod nim — koń Arab, biały bez odmiany,
Sam cały w bieli, jak z srebra ulany,
I z półksiężycem na kołpaku lśniącym,
Raczej być duchem zdał się — niż żyjącym.
Ale się ciemną odznaczał urodą,
Przy ogorzalej twarzy — czarną brodą.

2.

W tej chwili właśnie — na samej północy,
Stały słupy czarniejsze od nocy;
Lecz wraz, w ich środku, wśród ciemnego łona,
Zabłyła jasność . . . ognista, czerwona,
Rosnąc w potęgę . . . zdała się natężyć,
A potem zwolna przygasać i zwęźać;
Znow, obrót iskier wszczął się bezustanny,
Każdy słup ogniem rozżarzył się nowym,

Z każdego, trysły dyamentów fontanny
W krąg otoczone deszczem rubinowym;
I chwilę trwało to złudne widziadło,
Aż znów przygasło, — a kiedy już zbladło,
Cień się od światła półkołem odgrodził,
I tak się zdało — że z tamtąd dzień wschodził.

3.

Przybyły, jeźdźca powitał ukłonem
I tak przemówił doń — poważnym tonem:
„Miłość, bogactwo, — są to dary cenne,
Ale nie trwałe — bo łatwo odmienne...
Czas... ludzie... zresztą wypadków zawilość,
Pochwyć skarby i ostudzą miłość.
Ja, żądzom twoim radbym dać ostrogi,
Na podnioślejsze, myśl skierować drogi;
Brak pragnień — zwykle niemoc ducha zdradza;
Cel, jaki radbym ci wskazać — jest władza.
Ale tę władzę, jak każdy dar nieba,
Ażeby osiąść — zdobyć ją potrzeba.

4.

Jak gwiazdy gasną na niebios błękiecie,
Tak i na ziemi, im świetniejsze życie,
Tem większa ciemność — kiedy mąż zasługi
Składa w grób żywot i plenny i długi.
Tak — dogorywa Han na swej stolicy...
Licznie zebrani rodów naczelnicy,
Śród ciągłych kłótni, zbrojną ręką radzą,

Komu po śmierci tę władzę oddadzą.
Han, nie zostawia potomków po sobie,
Zaraza, w jednym złożyła ich grobie,
Są, dalsi krewni, którzy postrach szerzą
Wzajem się niszcząc — mordem i grabieżą.
Obaj chcą władzy — naród, zdjęła trwoga,
O wybawienie śle modły do Boga,
A nie śmie uznać żadnego — za wroga.

5.

Ktoby wystąpił . . . śmiało i otwarcie
Przeciw obydwom — ten znajdzie poparcie
W całym narodzie, — i ci, co w tej chwili
Padli na duchu — chwycą się oręża,
Skupią swe siły — bo będą wierzyli,
Że to sam Allach, zesłał do nich męża,
Który im spokój i pomyślność wróci,
A wichrzycieli — złamie lub ukróci.

6.

Tobie przystało wziąć prym przed innemi,
Wszak ród swój wiedziesz od władców tej ziemi.
Walka cię czeka zacięta i długa,
Lecz w miarę przeszkod rośnie i zasługa;
Gdy rozgromieni padną przeciwnicy,
I wrócisz spokój wzburzonej krainie,
Wówczas przywodząc zwyciężkiej drużynie,
Pójdiesz hołd złożyć do Hanów stolicy.

Grom dział, huk kotłów i surm dźwięki grzmiące,
Witać cię będą . . . a ludu tysiące
Cisnąć się będzie, by dotknąć twej szaty,
Złożyć ci wieńce i sypać ci kwiaty
Po drodze; — kiedy na dzielnym rumaku,
W poważnych mężów i licznym orszaku
Wjedziesz na zamek — i letniemu Hanu
Uderzysz czołem — jak ojcu i panu.
A Han — przez wdzięczność serce ci otworzy,
I swoją władzę w ręce twoje złoży.

7.

A rządzenia nie tak trudna sztuka,
Gdy się własnych korzyści nie szuka,
Gdy do siły, łączy się przebiegłość,
Która wpoi: bojaźń i uległość.
Przy tem bacność! — gdy dostrzeżesz ślady,
Na twe życie czychającej zdrady,
Zgnieść ją trzeba jak szkodliwą żmiję
Co z swym jadem pod trawą się kryje.
Butnej dumie każesz podciąć skrzydła,
Niech się nie dmie i niech się nie puszy;
Na miłości własne — włóż wędzidła;
Gdy okiełznasz, — żadna się nie ruszy;
Głupców, błaznów, których zastęp mnogi,
Wciąż się będzie cisnąć w twoje progi,
Każ przepędzać na stepowe łąny
Niech tam pasą: osły lub barany.
Dla potrzebnych, skrzywdzonych i nędzy

Bądź miłościw i nie szcędź pieniędzy;
Ale strzeż się jak ognia lub moru,
Wpuścić podłość do swojego dworu,
I pochlebstwo, które głaszcząc uszy
Wszystko dobre wyżsiej i wysuszy,
Jak ów owad, co na drzewa pada
I liść, kwiaty i owoc objada.
Strzeż — niech podłość twej władzy nie kala,
A pochlebstwo, w swych splotach nie więzi,
To, i drugie, trzymaj zawsze z dala;
A gdy blisko — to już na gałęzi.
Bo rządzenia nie tak trudna sztuka,
Mieć dłoń silną, — to cała nauka;
A zostawisz pamięć w lata długie,
Żeś złe karcił, a wznosił zasługę.

8.

Wypoczynek znajdziesz po staremu,
Śród rozkoszy i pieśczęt haremów.
Mur wysoki i obronne wieże,
Ów przybytek osłania i strzeże;
Obca stopa przekroczyć te progi,
I wzrok obcy wcisnąć się nie waży,
Bo rzezańców czarnych, zastęp mnogi,
Dniem i nocą stoi tam na straży.
Tam — rokoszne, cieniste ogrody,
A w ich środku lustro czystej wody;
Łódź wesoła ślizga się i pędzi
Stada białych i czarnych łabędzi;

Rybki złote i błękitne w centki,
W zastawione chwytają się wędki;
Rozproszone sarenki po błoni,
Biorą pokarm podany im z dłoni;
Śród kwietników, w marmurowe wanny,
Deszcz kryształów leją wciąż fontanny,
A zwabiona latawców gromada,
Przelatując od drzewa do drzewa,
Błyszczą barwą piór cudnych i śpiewa,
I krawędzie fontanny obsiada.

9.

Czyje ramie porusza te łodzie?
Kto na wędki łowi rybki w wodzie? ...
Komu ptaszki chwytają karm z ręki? ...
Kto pierzchliwe przyswaja sarenki? ...
Kto kwiatami zdobi włosów sploty? ...
Kto się stroi w perły i klejnoty? ...
Oto, orszak niewieścich piękności,
Kwiat nad kwiaty, które władcy swemu
Z ziem dalekich wzięte do haremu,
Dań składają — z wdzięków i miłości.

10.

Więc w haremie skoro zajdzie słońce,
A w ogrodach błysnie lamp tysiące;
W pysznym kiosku, lub też pod namiotem,
Jedwabiami błyszczącym i złotem,
Gdy na perskim odpoczniesz dywanie,

Wonnych kadzidł otoczon obłokiem,
A przed tobą, śliczny orszak stanie,
Lic niewieścich z pałającym wzrokiem,
Gdy śpiew jednych i muzyczne dźwięki
Innych, taniec rozwinie ich wdzięki
W miękkie ruchy, i zmysły podrażni
W iskry, gwiazdy, słońca — wyobraźni, —
Cóż porównać da się z owym stanem? . . .
Jak bydz władcą i wyboru panem.

11.

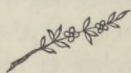
Chociaż miłość z pieśczętą edeńską,
I odwaga — co zdobi pierś mężką,
Nawet sława, która zwykle ludzi
Silnie wstrząsa i do czynów budzi;
Są to czucia co pod niebo wznoszą,
Ale zemsta — jest serca rozkoszą . . .
Jeśli wroga z duszą złą i hardą,
Który dąży by cię okryć wzgardą
Ufny w siłę, zechce ci ubliżyć,
W proch obrócić, shańbić lub poniżyć,
Albo szkodzić, mienie tve zagrabić,
Albo stawić zasadzki — by zabić;
Gdy go zdołasz w moc swoją pochwycić,
Zgiąć kark dumny, krwią zemstę nasycić
I miecz krwawy zatknąć na mogile, —
To najmiłsze w życiu ludzkim chwile.
Albo, gdy masz sobie przekazane
Ciężkie krzywdy — przez przodków doznane,

Które z ojca przechodzą na syna,
I jak świętość, nosi je rodzina
W głębi serca, — aż doczeka chwili,
Że potomkom tych, co ją skrzywdzili
Zada odwet, co się zarumieni
Krwi potokiem i falą płomieni.

12.

Nie działanie trwożne, tajemnicze,
Może zemsty rozjaśnić oblicze
Ani dać jej roskosz i słodycze.
Jej potrzeba aby jawną była,
A tę jawność — daje tylko siła,
Albo władza, która może wrogi,
Gnie jak trzcinę i ściele pod nogi.

Ja ci przyszłość chcę rozjaśnić ciemną,
Jeśli pragniesz mieć władzę! — jedź ze mną.



IV.

Gdy trzech wysłańcy, z trzech stron jeźdźca stali,
I na odpowiedź w milczeniu czekali,
Nadbiegł i czwarty od zachodniej strony;
Znać pędził szybko, bo koń był spieniony,
A na ognistym przybywał rumaku
Wronym bez zmiany. — Sam, dorodny młodzian,
Od stóp do głowy, w czarne szaty odzian,
Tylko miał orle pióro przy kołpaku.
Wraz za nim, łuna smugami krwawemi,
Coraz się wyżej wznosiła od ziemi,
Szła do pół nieba — jak gdyby odbicie
Stepów płonących, na nocy błękicie.
Przybyły, ręką wskazał na pożary . . .
„Tam walka! — spór to dawny, jak świat stary,
Dzikich najeźdźców co za łupem gonią,
I tych — co swobód i swej ziemi bronią.“ . . .
A nachylając się do jeźdźca ucha,
Szepnął mu słowo, — tym jednym wyrazem

Tak rozplómił młodzieńczego ducha,
Że bez wachania wyrzekł: — „jedźmy razem!“ —
Jakoż — dwaj jeźdźcy wespół się objęli,
Pomknęli cwałem i w ogniach zniknęli.



OBJAŚNIENIA.

¹⁾ W inne barwy każdy był przybrany.

Ubiór Kirgizów, mianowicie zimowy, składa się z długiego baraniego kożucha, którego poły owijają się około nóg, a na to wciągają szarawary skórzane, zapuszczone w buty, pasem rzemiennym utwierdzone, — na głowie czapka spiczasta z baraniego kożucha, zwana „*malachaj*“, której skrzydła w czasie silnych mrozów zapuszczają się na kark i szyję, chroniąc twarz, i zostawiając zaledwie otwór dla oczu potrzebny. — Ubiór to nie estetyczny, ale praktyczny, od gwałtownych mrozów jakie w zimie bywają w stepach, zabezpieczający. — Kirgizy kochają się w jaskrawych kolorach, to też często zobaczyć można, że całe ubranie jest jednego koloru, czerwonego lub żółtego, którym skóra zwierzchnia „*malachaja*“, kożucha i spodni, jest zafarbowana. — Inni wyglądają zupełnie biało, jeśli skóra odzienia jest świeżo wyprawną i niefarbowaną, inni nareszcie czarno, skoro się ich odzienie mocno zbrudzi.

²⁾ A na kołpaku — lychnis zatknięty.

Lichnis chalcidonica, kwiat obficie w stepach rosnący, a w ogrodach naszych znany pod nazwiskiem „gorącej miłości.“

3) Śród Aułu — jest jurta osobna.

Auły są to wsie koczowe kirgizkie z mniejszej lub większej ilości jurt złożone. — *Jurty* zaś są pojedyncze namioty, formy półkulistej, pokryte wołokiem, z okrągłym otworem u wierzchu do wypuszczania dymu. Kirgizi, a za nimi Rosyianie, nazywają jurty „kibitkami“; nie użyliśmy tego wyrażenia, albowiem w naszym języku ma zupełnie odmienne znaczenie.

4) Ja nie oddam córki bez kałyma. —

Kałym — jest oplata jaką daje kawaler ojcu lub bratu swojej narzeczonej. — U kirgizów żony się kupują; kałym w ogóle, składa się z pewnej ilości zwierząt domowych większych i drobniejszych; wysokość jego zależy od wdzięków i społecznego stanowiska tej, którą sobie życzy Kirgiz wziąć za małżonkę. —

5) Jest kraj z którego wyżyn Amu płynie,

Rzeka *Amu-daria*, starożytny Oxus, biorąca początek w łańcuchu gór zwanych Stindu-kusz, wpada do morza a właściwiej jeziora Arałskiego. —

6) Karawana pójdzie przez pustynie,

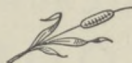
Przez szlak czarny . . . głodnym stepem zwany.

Kara-kum znaczy: Czarny-piasek, czarna pustynia; Bid-pak-dała znaczy: Step głodny, ciągnący się dwieście werst bez wody i trawy; leży pomiędzy górami Ak-tau z północy, jeziorem Bałchasz ze wschodu, rzeką Sir-darją z południa, a rzeką Sary-su od zachodu, pomiędzy 45 i 47 stop. szer. geograficznej, a 85,³⁰ i 95,³⁰ długości geograficznej.

7) Tak orzeł — kiedy unosi się w słońce

Porównanie o orle jest wzięte z natury — kilka razy zdarzyło mi się widzieć na stepach, wielkiego orła, jak spuściwszy się z powietrznych wyżyn, usiadł na ziemi. — W tej chwili, nie wiedzieć skąd, zebrała się gromada, wron,

kawek, srok, gawronów, wróbli i innego ptastwa, i obsiadła orła na około, wprawdzie w dosyć przyzwioitem oddaleniu, — gromada ta ruszała się, chodziła, podskakiwała: kracząc, szcebiocząc, nigdy jednak zanadto się nie przybliżając. Orzeł siedział spokojnie, przypatrując się tym ewolucyom ptaszej gawiedzi; — jeżeli podleciał i przesiadł się na inne miejsce, cała gromada pociągnęła za nim, aby go znów otoczyć jak poprzednio; dopiero gdy lot obrał w wyższe powietrzne przestrzenie, gromada ptaków odprowadziwszy go do pewnej wysokości, powracała na ziemię i rozpierzchała się tak bez śladu, jak niewiadomo skąd się poprzednio zebrała.



CZARNOKSIĘŻNIK
TWARDOWSKI.

Dwa ustępy z dramatu osnutego na podaniach gminnych.

OSOBY.

STAROSTA.

HANNA, jego siostra.

TWARDOWSKI, czarnoksiężnik,

JUSTYNA, żebraczka.

WSZEBÓR }
SASIN } szlachta polska.

SZATAN.

ŻYD, arendarz.

ORSZAK MYŚLIWSKI.

SŁUŻBA.

CHÓRY ANIOŁÓW I DUCHÓW PIEKIELNYCH.

Rzecz się dzieje na Podgórzu Tatrzańskim, w drugiej połowie XVI-go wieku.





USTĘP PIERWSZY.

PAŁAC.

Wspaniała komnata — po jednej i drugiej stronie, fantastyczne karjatydy utrzymują strop z rzeźbą złoconą; — głąb' sceny zajmuje w ścianie ogromne zwierciadło. — Noc — w wazonach alabastrowych palą się kadzidła — przy ścianach lampy różnokolorowe, stłumione rzucają światło; — po jednej stronie: stół kobiercem okryty, na którym leżą wielkie księgi i cały przyrząd czarnoksiężki i astrologiczny, a między tym laska czarnoksiężka; po drugiej: na sofie perskim okrytej kobiercem, wśród jedwabnych poduszek, złotemi frendzlami i kutasami obszytych, w chińskiej jedwabnej czarnej szacie ze smokami, śpi Twardowski.

Chór duchów piekielnych.

Czuwajmy! czuwajmy
Nad duszą, gdy we śnie!
Niech promień anioła
Nie wciśnie się w nią.
Po kropli — wsączajmy
Jad, gorycz i pleśnie,
Niech razu nie zdoła
Czystą załsnąć Izą.

Niech myśli szalone,
Jak wichry śród morza
Targają wciąż — duszą,
I pędzą — w bezdroża!
(Twardowski zrywa się ze snu).

Twardowski.

Jak mnie sny męczą! — hej! . . . przybądź szatanie!
(do Szatana, który wystąpił z pod ziemi).
Nową rozrywką wstrząśnij umysł mój . . .

Szatan.

Chcę być posłusznym — choć wyznam ci panie,
Że mych pomysłów wyczerpnął się zdroj.

Twardowski *(z ironją)*.

O nędzny karle! także twa potęga? . . .
Gdzież — nieprzebranych uciech obietnice?

Szatan.

Roskoszy ludzkich wprawdzie spora księga,
Aleś z niej wszystkie wykradł tajemnice . . .
Żyłeś zbyt prędko . . . puściwszy swe żagle
Na morze uciech — zużyłeś się nagle . . .

Twardowski *(z gniewem)*

Milcz! bo powściągnę twój język zuchwały! —
Nadwornym błaznom pozostaw morały;
Kiedyś niewolnik, czyń to, co ci każe.
Wiesz, jakie prawo nad tobą mi służy!

Szatan.

Mistrzu! tem słowem niech cię nie obrażę,
Że już przy tobie nie wytrzymam dłużej.
Chwili wytknienia nie ma wierny sługa,
Wprzągłeś mię gorzej niż wołu do pługa,
A wiedzion chęcią dokuczania wściekłą,
We dnie i w nocy, i lądem i morzem,
Jakby na zaciąg pędzisz całe piekło,
Że już w tej pracy odetchnąć nie mogę.
Posłuszni na twe najmniejsze skinienia,
Szalone chęci, najdziksze marzenia
Musimy spełniać . . . — Na twoje rozkazy,
Z Karpat nad Bałtyk przenosimy głązy;
Wieszamy mosty po szczytach Krępaku,
Całe jeziora dźwigamy w przetaku.
Co było skarbów zaklętych wśród ziemi,
Co ze skrzyń skąpców nasz fortel wyłupił,
Jużbyś królestwo za to złoto kupił,
Które rozrzucasz garściami pełnemi.
A teraz policz codzienne pustoty,
Zwady i gwałty, i piekielne psoty . . .
Po drogach, karczmach, po wioskach i w mieście,
Gry i hulanki, i sprawki niewieście,
Gdziem nieraz musiał własny grzbiet nadstawić,
By cię od guzów lub stryczka wybawić.

(po chwili milczenia)

Mógłbyś już sobie i nam pofolgować,
Wypocząć chwilę — za błędy żałować —
A wzięwszy kosztur i sakwy pielgrzymie,
Przejsz się . . . i osiąść na dewocyi — w Rzymie . . .

Twardowski (*śmiejąc się*).

Cha, cha, cha! widzę dobrze jesteś kuty,
Tylkoż czas mojej nie nadszedł pokuty . . .
A nim nadejdzie — jeszcze bardzo długo
Musisz być sprawnym i posłusznym sługą . . .
Pierw . . . chcę rozkoszy czarę spełnić do dna; —

(*po chwili namysłu*)

Kiedy twa głowa w pomysły niepłodna,
Czekaj — to z mojej tryśnie zdroj obfity.
Ukaż mi zaraz oblicze
Czyste, czarowne, dziewicze,
Najpiękniejszej żyjącej kobiety.

Szatan (*po chwili także namysłu*).

Ona śpi teraz . . .

Twardowski.

Najlepiej, gdy senna —
Natura w stroju powszednim się chwyta,
A cóż dopiero . . . kobiéta,
Istność co chwila odmienna.

Szatan.

(*bierze ze stołu laskę czarnoksiężką i dotykając nią zwierciadła*)

Więc patrz! . . .

(*w zwierciadle ukazuje się cela sklepią, oświecona lampką wiszącą przed obrazem Matki Boskiej Częstochwskiej — klęcznik — łoże skromne, na którym w powabnym nieladzie, przez pół okryta, śpi Hanna. — Anioł stróż, z założonemi na krzyż rękami, stoi nad jej wezgłowiem*).

Twardowski.

(przybliża się do zwierciadła i mówi z zachwyceniem).

Przedziwny wdzięków zbiór! . . .
Co za miłosne form zagięcia!
Wszystkich rokoszy wzór,
Zwianych, w niewinność dziecięcia!
Jak czyste serce musi bić
Przy tak spokojnem piersi tchnieniu;
I jakież ognie muszą lśnić
W czarownem ócz spojzeniu! . . .

Szatan *(na stronie)*

Namiętny wzrok
Zatapiaj w ten obraz luby,
To pierwszy krok
Na drodze do twej zguby.

Twardowski.

Czuję . . . jak wre
Pierś ma gwałtownym płomieniem;
Serce się rwie
Za tem ułudnem widzeniem . . .
Słyszę pęd krwi,
Jak burzą targa każde tętno . . .
Obłąd mnie émi
Pędzony falą namiętną! . . .

Szatan *(na stronie)*

Trzeba mu dolać żaru
W postaci kropel nektaru.

(głośno)

Mistrzu! chcesz może podsłuchać
jaki jest wątek jej marzeń i czuć? . . .
Mogę ci piękną zbudzić . . .

Twardowski *(z zapalem)*.

Ach! zbudź ją! . . . zbudź!

*(Szatan dotyka łaską zwierciadła — Hanna ma sen
niespokojny — w końcu się budzi.*

Hanna *przeciera oczy, ogląda się z obawą, nareszcie
uspokojona widokiem celi, mówi:*

Ach! to widzenie jakże mnie strwożyło!
O jak to dobrze, że się tylko śniło! . . .
Byłam w ojczystym domu. — Już pszczoł roje
Brzękiem witały błyszczący się ranek,
Kiedy pobiegłam między grządki moje
Do ziół i kwiatów — moich wychowanek.
Tam róże, lilje i modre powoje,
W świeży na głowę chciałam upleść wianek:
I kiedy z niemi rozmawiam — schylona,
Śnieżny gołębek spadł mi na ramiona.
„Porzuć te kwiaty, leć ze mną do góry,
Tam, z niewiędtych uwijesz twój wieniec.“
— „O ptaszku! rzekłam, jakiemż ja pióry
Zdołam przelecić powietrzny gościeniec.“
— „Hanno! za skrzydła stanie duch pokory
A tam, z nagrodą czeka oblubieniec, —
Probuje a wzlecisz!“ — i frunął ku górze
Po nim smug jasnny pozostał w lazurze.

I jakaś błogość me serce owiała,
Kiedym się wznosić poczęła od ziemi;
Nie... nie na skrzydłach, bom skrzydeł nie miała,
Ale promieniami z duszy idącemi.
Raz na ten podół jesczem wejrzeć chciała
I z wspomnieniami pożegnać się memi,
Kiedy ptak czarny uderzył ze strony,
I jak gołąbkę chciał porwać w swe szpony.
Ten ptak mnie zbudził...

(składając ręce do obrazu Matki Boskiej)

O Matko Boża!...

Odstrasz go... odstrasz... od mojego łoża.

(usypia)

Twardowski *(na stronie)*

Myśli jej czyste, jak wody krynicy,
Żadnym wyziewem ziemskim niezmacone...
Może me serce tchem piekieł spalone
Odetchnie wolniej, kiedy go owieje
Anielski oddech dziewicy,
Może mu wróci straconą nadzieję?...

(głośno i z mocą)

Szatanie!

Szatan.

Słucham cię panie.

Twardowski.

Do jej komnaty ukaż mi drogę...

Szatan.

Mistrzu! nie mogę,
To moją władzę przechodzi już . . .
Wszak widzisz, że u jej łoża
Po jednej stronie . . . Matka Boża . . .
Po drugiej . . . Anioł-stróż

Twardowski.

Ha! . . . to sam trafię bez twojej pomocy, —
(posuwa się ku zwierciadłu, widzenie znika)
Gdzież jest? — o wstrzymaj lube widziadło!
Nie chcesz? — więc ja się mam dręczyć w ułudzie?
Cudów nie dotknąć a marzyć o cudzie?

(porywa za sztylet i uderza)

Ha! . . . raz przepadnij ty piekielna mocy!
(zwierciadło rozpada się na wiele części)

Szatan.

Niebaczny! — po cóż rozbiłeś zwierciadło?
W niem — twej fantazyi zlewały się skarby! —
Jak malarz w płótno wciela swoje farby,
Tak na powierzchni tego lustra czystej,
Myśl twoja . . . brała byt swój rzeczywisty.
Co była zdolna stworzyć śród zapału,
Proch odziać w skrzydła, wznieść do ideału;
Co z różnych cząstek rozpierzchłych w przestrzeni,
Zlać w jedną całość . . . w grę światła i cieni,
Atom w olbrzyma dźwignąć . . . z pyłu kwiatów
Myrjady nowych wyprowadzić światów;

To wszystko — w dziwnem zwierciadła przezroczu,
W iskrach jutrzeńki, w barwach tęczy grało.
Bo świat ten ziemski, ani takich wzorów,
Ani tak cudnych nie odbił kolorów,
Jakie dla twoich jawiły się oczu . . .
A tyś je rozbił! — cóż ci więc zostało?
Proch . . . ziemia . . . błoto! . . .

Twardowski.

Ej! szatanie,
Widzę zarywasz na nudne kazanie,
Zostaw je mnichom — wróć do własnej roli,
Mówmy . . . o pięknej naszej nieznajoměj.
Ty, tak przebiegły . . . wszystkich spraw świadomy,
Pewnie masz różnych notatek do woli . . .

Szatan (*przerywając*)

Cóż to? — czy chcesz mnie postrzydz w kanoniki, ¹⁾
Abym wam nudne spisywał kroniki?
Od takiej pracy — uniżony sługa.

(*po chwili milczenia*).

O niej ci powiem, bo powieść niedługa.
Jest to sierota, jednego ma brata,
Który wesoło umie zażyć świata;
Panu Staroście, jest bardzo na rękę,
Że siostra wdzieje zakonną sukienkę;
Bo posag znaczny . . . Niby dla poloru,
Pomimo wezwań z królewskiego dworu,
Wolał sierotę oddać do klasztoru,
Gdzie baby tak jej przewróciły głowę,

Że wszelkie względy i myśli światowe
Usnęły w duszy — a szkoda dziewczyny . . .
W ciągu tygodnia będą obłóczyły.

Twardowski (z radością)

Więc mieć ją będę.

Szatan.

Za skutek nie ręczę.
Przystępy do niej mocno są strzeżone;
Łatwiej osmalić siedmiobarwną tęczę,
Niż zwichnąć serce wiarą oświecone.

(po chwili namysłu)

Chyba że tam,
W to serce świeże, przez nieostrożność,
Wkradnie się miłość — a za nią próżność,
Wtenczas . . . ja przystęp mam.

(po chwili milczenia)

Jeśli chcesz — szczęścia możemy próbować!

Twardowski (z radością)

Prowadź mnie, prowadź!

(odchodzą)

Chór duchów piekielnych.

Ścigajmy! . . . ścigajmy! . . .
W ślad za nim, my duchy,
Silnemy podmuchy
Niećmy . . . żądy skrę.

I wciąż w nią dmuchajmy . . .
Aż istność płonąca,
Jak gwiazda lecąca
W żużel zwęgli się.
Aż duszę nieczystą
Z tych żużli wyrwiemy,
I w kąpiel ognistą
W głąb' piekła rzucimy.



USTĘP DRUGI.

KARCZMA.

Na przodzie sceny, po lewej stronie, stół karczemny na trzech krzyżowych nogach, zastawiony jedzeniem, dzbanami i roztruchanami; — na ławach przy stole: Starosta, Wszebór, Sasin i inni myśliwi z trąbkami i kordelasami u boku, siedzą z puhami w rękę. — Służba myśliwska krząta się około stołu — w kącie przybór myśliwski: rozjazdy, oszczepy, dzidy i t. d. W głębi drzwi wchodowe, w bliskości tychże ku prawej stronie: komin, na którym rześisty ogień się pali; — przy kominie, na ławce o piec oparta, siedzi Justyna żebraczka, w lachmanach, z głową dziwacznie w liście i kwiaty ubraną; trzyma wrzeczono i przędzie, a przed nią stoi kołyska, którą niekiedy kołysze — po prawej stronie sceny, drzwi do alkierza, przy których, o uszak oparty, stoi Żyd arendarz i oczekuje na rozkazy myśliwych.

Chór myśliwych.

Hej! pijmy . . . użyjmy,
Co dzisiaj — to nasze.
O jutrze — któż roi? . . .
Gdy pełny dzban stoi,
I w rękę pienią się czasie.

(piją)

Starosta *(do Żyda)*

Żydzie, staw miodu, kiedy zbrakło wina!
*(Żyd, ze służbą myśliwską, wynosi z alkierza dzbany
z miodem a nalawszy puhary, stawia je na stole)*

Starosta *(do myśliwych)*

Dziś nam się gruba wymknęła zwierzyna,
Dwóch, jakich dawnom nie widział niedźwiedzi;
Ujść nam — nie ujdą, gdy bakałarz śledzi, ²⁾
Jutro w trop, psiarnię puścim ze świtaniem,
To ich na oszczep lub w sieci dostaniem.

Wszebór.

Czas bo fatalny mieliśmy dziś w kniei.

Starosta.

Co to fatalny? — ja takiej zawiei
W życiu nie pomnę — toż jodły i buki
Wicher druzgotał, z korzeniem rwał, psował,
A przytem — co za wycie! jakie huki!
To czart z swą zgrają po puszczech harcował.
Dziękujmy Bogu, że nam się udało
Otrąbić w kniei i zebrać tu cało.

Sasin.

Co przeszło — to się w rychle zapomina.
Gdy dach nad głową i ogień wesoły,
I kiedy Wasza Miłość, przyjacióły . . .

(podnoszą puhar i kosztując)

Spotykasz takim miodem . . .

Starosta.

Moja wina,
Że lepszym przyjąć nie mogę Waszmości;
Proszę wybaczyć. W mym szlacheckim dworze
Inne przyjęcie czekało mych gości; —
Lecz gdy nas szatan zasklepił w tej norze,
Niechże chęć dobra za uczynek stanie; —
A żyd arendarz robi mi nadzieję,

(Żyd się kłania)

Że póki trąbka nie wyzwie nas w knieje,
Starego miodu nie zbraknie we dzbanie.

Chór myśliwych.

Więc pijmy — użyjmy,
Co dzisiaj — to nasze.
O jutrze — któż roi?
Gdy pełny dzban stoi,
I w ręku pienia się czasie!

(piją)

Justysia *(kołysząc dziecię śpiewa)*

Luli maleńki, luli,
Mruż oczki, mruż,
Niech Anioł-stróż,
Twą skroń, swem skrzydłem otuli.

Starosta *(do Żyda)*

Co to za śpiew? . . . i skąd jest ta niewiasta? . . .

Żyd.

Jakaś żebraczka — zdaje się, że z miasta,
Przyszła tu dzisiaj, zziębła, źle odziana,
Z dzieckiem na ręku — i siedzi od rana.
Kto jest? skąd idzie? nikt się nie dopyta,
Bo nie ma związku w jej gadaniu całym;
Ale że przytem cicha, pracowita,
To jej się ogrzać i posilić dałem.
A że się teraz nie w porę odzywa —
Wraz ją wypędzę . . .

(posuwa się ku Justysi)

Starosta *(wstrzymując go)*

Zostaw ją — niech śpiewa,
Przy miodzie, piosnce i dziewczynie,
Czas może weselej upłynie.

Justysia *(śpiewa)*

Był piękny Maj,
Zielone drzew pączki pękały;
I ptaszki w gałązkach śpiewały;
Oj dudko! . . . skoczno mi graj!
Szalonym wirem pędzi wiek młody
W świat uciech, pustot, przygody.

Chór myśliwych.

Hejże! w górę czasie!
Wszak to zdrowie nasze!
Bodaj się święcił wiek młody,
Wiek uciech, szczęścia, swobody!

(piją)

Justysia (*śpiewa*)

Zakradł się wąż,
Swe kręgi przesunął po drzewie,
Wystawił łeb — i szeptał Ewie,
O jabłku szeptał wciąż.
I pierchnął z lica uśmiech figlarny,
I łyzy zamgłiły jej wzroczek czarny.

Chór myśliwych.

Przecież my nie mnichy,
Więc trąćmy w kielichy;
Za zdrowie tych oczek figlarnych,
Zarówno błękitnych jak czarnych.

(*piją*)

Justysia (*śpiewa*)

Dość jęków!... dość!...
Motylów na świecie krocie,
A sroczka już skrzecze na płocie,
Cha, cha, cha! — gość! —
Luli, mój mały, w śnie słodkim luli,
Niech cię stróż-anioł skrzydłem otuli.

Chór myśliwych.

Cha, cha, cha! — gdy śmiechy,
Uderzmy w kielichy,
Na czyjaż cześć
Ten toast wznieść?...

Starosta.

Piliśmy zdrowie Króla Jegomości, —
Księdza Biskupa — pana Wojewody,
I gospodarza — i każdego z gości,
I pięknych oczek — i braterskiej zgody;
A więc wypijmy — mniejsza już o imię,
Ot, pacholątka, co w kołysce drzémie.

Chór myśliwych.

Zgoda!

(piją — niektórzy już śpią o stół oparci)

Jeden z orszaku, *(w pół pijany)*

Wartoby jeszcze wypić zdrowie — ojca!

Wszebór.

Bierz go tam lichy — może jaki zbójca...

Dość — głowa cięży — czuję żem senny...

(zasypia)

Starosta.

Ha! — i mnie złamał trud całodzienny.

(usypia)

Pierwszy z orszaku, *(już w pół pijany śpiewa)*

Hej! pijmy!

Drugi z orszaku.

Oj śpijmy.

Pierwszy z orszaku (*kończąc zaczęłą piosenkę*)
Co dzisiaj to nasze . . .

Sasin (*przebudzony*) ☞

Pal djable i dzbany i flasze.

Justysia (*śpiewa*)

Luli maleńki luli,
Mruż oczki, mruż . . .
Niech Anioł-stróż

Twą skroń, swem skrzydłem otuli.

(*Podczas śpiewu Justysi, myśliwi zasypiają, siedząc lub leżąc na ławach i opierając się na stole.*)

Jeden ze służby (*do innych, przypatrując się myśliwym*)

Ho! ho! nie na żart śpią nasi panowie,
Resztę wypijem — w stajni — za ich zdrowie.

(*Służba zbiera ze stołu jedzenie i dzbany z miodem, i z niemi wychodzi. Żyd, dawszy znak Justysi, aby nie śpiewała i nie budziła myśliwych, z ostrożnością odchodzi do alkierza; Justysia opiera głowę o piec i zasypia. — Ogień na kominie przygasa.*)

Twardowski, w czarnym krótkim ubiorze, i Szatan w barwie jako Służący, wnoszą na rękę omdloną Hannę. — Szatan podaje zedel, na którym ją na przodzie sceny sadzają. — Podróżni w długich czarnych płaszczach włoskich.

Twardowski.

(*ukazując na omdloną Hannę, z oburzeniem do Szatana*)
Patrz! cóżś zrobił?

Szatan.

(przypatrując się omdlalej)

To nic... trochę strachu...

Proste zemdlenie — dowód, że nerwowa... ¹⁾

Ale się nie trwoż — jest... i będzie zdrowa...

Gdy spocznie — przyjdzie do siebie po trochu...

Twardowski *(z gniewem pokazując po karczmie)*

Przeklęty djable! jak mogłeś nas, w lochu

Takim osadzić? — czemuś nie wzniośł gmachu,

Którym ci kazał?

Szatan.

Gmach gotów... i czeka...

Ślicznie się udał — to dzieło olbrzymie,

Nic wspanialszego nie zobaczysz — w Rzymie,

Nawet do niego droga niedaleka...

Lecz kto mógł zgadnąć? — że na zjeździe z góry,

Rumaki tak się przestraszą figury,

Że na kiel wezmą — przez chrósty i łomy

Rzucą się oślep na tor nieznajomy,

Uderzą o pień, urwą przód kolasy,

I jak szalone popędzą na lasy?...

Tegom przewidzieć nie mógł.

(ukazując na Hannę)

Patrz, jak bladość

Schodzi z jej lica... widzę twoją radość...

Oj, oj! — szczęśliwczę! — te drobne przeszkody,

Ta jakaś dziwna wypadków zawitość,

Nawet to miejsce — za wszystko ci miłość
Zapłaci datkiem sowitej nagrody.
Zajmij się piękną . . .

(podając Twardowskiemu flaszeczkę)

Ten kordyał ją zbudzi . . .

Ja się podróżnym zatrudnię przyborem . . .
Droga nie długa — to was nie utrudzi . . .
Jeszcze ją z zawałd oczyszczę toporem.
Gdy kur zapieje — na twoje wezwanie,
Poszóstny rydwan przed wrotami stanie.

(Twardowski zajęty Hanną. Szatan odchodząc — na stronie:)

Teraz radź sobie! — jużś w naszej mocy!

(Szatan przybliżył się do komina, rzuca kilka drewek na ogień i przypatrując się śpiącej Justysi)

A! a! Justysia! — to mi się udało
Zebrać ich razem; — dzisiaj o północy
Będziemy mieli zabawkę niemałą.

(zbliżając się do śpiących myśliwych)

Ci śpią — ażeby zbudzili się w porę,
Muszę im jedną wysunąć podporę.

(wyciąga środkową nogę z pod stołu, na którym oparci śpią myśliwi, i postawiwszy przy drzwiach wchodowych, wychodzi)

Twardowski *wziętym od Szatana kordyałem, cuci om-
dlalą Hannę.*

Hanna *budzi się, poglądając w kółko z przerażeniem.*
Przebóg! gdzież jestem? — cóż to za postacie?
Sen-li czy jawa?

Twardowski.

Najmilsza! zбайд trwogi,
Mały wypadek zdarzony wśród drogi,
Zmusił nas szukać schronienia w tej chacie.
W gęstwinie lasów i w burzliwej nocy
Kiedym w bezdrożach błąkał się po ciemku,
Ujrzałem światło — w nadziei pomocy,
Tu cię omdlałą przyniosłem na ręku.
Niech cię nie razi nędza lichej chaty,
Bo za chwil kilka, staną dzielne konie,
I w tak rokoszne powiozą ustronie,
Gdzie, nad twą głową błyszczące się stropy,
A jak kobierzec rzucony pod stopy,
Znajdziesz jedwabie i kwiaty.

Hanna.

O nie! mój luby! — zaklinam na Boga,
Nie jedźmy dalej . . .

Twardowski.

O moja droga!
Nie tu — pod strzechą niskiej lepianki,
W przytułku nędzy, zepsucia, kału,
Obrałem miejsce dla mej kochanki,
Najpiękniejszego w życiu ideału.
Na twe przyjęcie, czeka przybytek,
Przy którym, zamków królewskich zbytek,
Gaśnie, jak drobna gwiazda przed słońcem.

Błyszczą on teraz ogni tysiącem,
Wśród zgęszczonego ciętych sadów liścia; —
A bryzgi fontann bijących u wnijścia,
To deszcz brylantów i tęcza z opali. —
Jeśli na pałac raczysz zwrócić oczy,
Na kryształowych kolumn przezroczy
Łączą się łuki rzeźbione z koralu.
Po licznych stopniach wiodących do góry,
Ujrzysz mozaiką kładzione marmury,
I długim rzędem błyszczące komnaty,
A wszędzie złoto i kwiaty.
Tam, tam, o luba! u tych pysznych progów,
Mogących godnie przyjąć nawet bogów,
Nieśmiała miłość — z pokorą, z poddaństwem,
Błaga — byś w gmach ten nowe wniosła życie,
Zabłysła gwiazdą na jego błękicie,
I jak królowa zawładła tem państwem.

Hanna.

O luby! jakież to obraz uroczy!
Słów nie mam dosyć na objaw wdzięczności,
Nie blask to sprawa, który mnie otoczy,
Ale żeś godną uznał swej miłości.
Kiedy życzeniom więcej jest niż zadość,
I tylko w sercu gościć winna radość,
Czemuż ten obraz przejmuję mnie drżeniem?
Lękam się . . . wybacz, jedyny mój,
Czy ten czarowny pałac twój,
Nie jest snem, mrzonką, złudzeniem?
Bo umysł, w ciągłej kołatanie trwodze,

Że my po błędnej postępujem drodze . . .
Widziałeś — kiedy niosły nas rumaki,
Nie . . . nie rumaki . . . to były straszydła
Ogień ziejące, — pół konie, pół ptaki —
Jak na raz czarne rozwinąwszy skrzydła
W górę, ku chmurom, rwały się do lotu;
Na tę myśl samą nadpowietrznej jazdy,
Ustał mi oddech — dostałam zawrotu,
W oczach błysnęły milionowe gwiazdy;
Co dalej . . . nie wiem — choć czułam, że siła
Straszna, nieziemska, odtąd nas nosiła.

Twardowski.

To nocny tuman i skutek bojaźni,
W szereg twych marzeń rzucił lekkie skazy,
Żeś senne widma złąkłej wyobraźni
Za rzeczywiste przyjęła obrazy.

Hanna.

Radabym wierzyć — lecz czyż sen tak trwoży?
O nie! — to była przestroga
Zesłana nam od Boga,
Aby zaniechać dalszej podróży.
Powróć mnie, powróć w klasztorną ciszę,
Niech głos przecucia w sercu ukołuszę:
A tam modlitwą i łzami memi,
Przebłagam Boga za ciebie i siebie,
Że gdy nie mogę złączyć się na ziemi,
Przynajmniej złączym się w niebie.

Twardowski.

Słuchaj mnie Hanno! powrót do klasztoru
Już niepodobny — raz złamana krata,
Zemsta twych krewnych i przesady świata,
To przepaść! — dla nas nie ma już wyboru,
Tylko iść naprzód . . . w te gościnne progi,
Do których piękna miłość przewodniczy . . .
O droga Hanno! porzuć płonne trwogi
Piękniejszą przyszłość da ci świat w zdobyczy
Niż tę, co tracisz — bo zyskasz swobodę.
Wszak dotąd żadne nie wiążą cię śluby?
Sierota — sercem, ofiara — rachuby,
Miałaś poświęcić anielską urodę,
Tę perłę, godną cesarskiej korony,
Za wieniec z cierniów i łez upleciony.
O! do poświęceń, rozleglejsze pole
Świat ci przedstawia, niż samotna cela,
Która zamknąwszy w samolubnem kole,
Kratą od całej ludzkości oddziela.
Cel masz przed sobą — tylko podnieś oczy,
Ujrzysz człowieka, który zdarzeń zbiegiem
Popchnięty — stanął nad otchłani brzegiem
I lada chwila na jej dno się stoczy.
Sam się podźwignąć nie może — sił niema,
Złamany walką z życiem nieustanną,
Chyba go anioł od upadku wstrzyma.
Tym nieszczęśliwym ja jestem o Hanno?
Aniołem . . .

Hanna.

Nie kończ . . . wszakżem sługa twoja,

Wiedź i rozkazuj.

(słysząc pianie koguta)

Twardowski.

O najmilsza moja,
Chwile są drogie — spieszmy — rydwan czeka,
A podróż niezbyt daleka.

*(Twardowski okrywa Hannę, płaszczem, który leżał na
zydłu, i zabiera się do wyjścia)*

*(Podczas piania koguta, stół, na którym oparci spali
myśliwi, upada, ławy się wywracają, a z niemi myśliwi
padają na ziemię)*

Sasin *(porywa się z ziemi)*

Co to? — gwałt? napaść? — gdzie szabla, gdzie
[topór?

Starosta *(podnosząc się z ziemi i śmiejąc się)*

Cha, cha, cha! komuż myślisz stawiać opór?
Niesłychać aby wtargnęły Tatary.

Sasin.

Cóż się więc stało?

Starosta.

Ha! cóż? stół był stary

I runął.

Wszebór *(przypatrując się zwalonemu stolowi)*

Gdzie tam — to inna przyczyna,
To sztuczka czyjaś?

(pokazując nogę od stołu stojącą przy drzwiach)

Jak mogła ta noga
Wyjść z pode stołu i stanąć u proga?

Myśliwi *(z zadziwieniem)*

Prawda!

Wszebór *(oglądając się po karczmie i ujrawszy Twardowskiego i Hannę)*

A! — patrzcie — skąd się tu wziął Niemiec?

Myśliwi.

Prawda!

Wszebór *(ukazując na Hannę)*

I z nim niewiasta? . . . to ich wina! . . .

(do służby, która ukazuje się ze światłem we drzwiach wchodowych, do których Twardowski i Hanna zbliżają się)

Nie puszcząć!

(Niema scena pomiędzy Twardowskim chcącym wyjść wraz z Hanną a służbą myśliwską tamującą im przejście, po kilku nieudanych próbach Twardowski z Hanną na dawne wracają miejsce)

Starosta *(przypatrując się Twardowskiemu)*

Z stroju znać, że cudzoziemiec . . .
Lecz nie z tych, którzy nie chcą płacić myta
Trakt omijając . . .

Wszebór.

Może to Hussyta?

Jeden z orszaku.

Może Graf jaki?

Sasin.

Ot, Niemiec i basta.

A że nas zbudził — warto się z nim zwadzić;
I gładko Niemca — od duszki odsadzić.

Starosta (*przypatrując się Hannie*)

Oczy-ż mnie mylą? — ta młoda niewiasta . . .
Tak! . . . to jest Hanna! — to moja rodzona! . . .
Nie . . . nie . . . to w żaden sposób być nie może . . .
Przeciesz w tej chwili musi być w klasztorze . . .

(*przecierając oczy*)

Czy urok jaki? tak, tak, — to jest ona.

Sasin.

Ho! ho! rzecz taka nie puszcza się płazem,
Musim ją odbić.

Wszebór.

Więc przystąpmy razem.

Starosta.

Nie trzeba — ja sam.

(*przysuwając się do Twardowskiego*)

Illustris Domine . . .

Twardowski (*z dumą przerywając*)

Co Waszmość żądasz?

Starosta (*groźnie*)

Chcę spytać Waszmości,
Ktoś jest? i jakim prawem tę dziewczynę
Uwozisz z sobą?

Twardowski (*z dumą*)

To nadmiar śmiałości!
Po karczmach zdawać nieprzywykłem sprawy,
Ustąp precz z drogi.

(Twardowski z Hanną zabierają się do wyjścia)

Starosta (*zastępując drogę i dobywając kordelasa*)

Ja! precz? przez Bóg żywy!
Jeżeliś szlachcic . . . stawaj do rozprawy.

Hanna (*poznając starostę*)

Przebóg! to brat mój!

*(widząc w ręku Starosty podniesiony kordelas, rzuca się
naprzód i pada przed nim na kolana)*

O bądź miłościwy!
Jam winna . . . przebacz.

Starosta (*pokazując Hannę*)

O biedne dziecię!
Nie tobie chciałbym wyrzucać winy,
Co przewrotności nie znasz na świecie,
(ukazując na Twardowskiego)

A temu — który z niedoświadczenia
Pragnie korzystać młodej dziewczyny,

I nie szanuje świętego schronienia . . .
Ktoby on nie był — przebaczyć nie mogę; —
Mąż prawy — prostą zwykł obierać drogę,
Prosi . . . lub idzie przebojem w dzień biały . . .
A hultaj tylko . . . albo łotr zuchwały,
Nocą się skrada, godzi pokryjomu,
I wnosi hańbę do zacnego domu.

Twardowski (*dobrywając oręża*)

Co?

(*Justysia, która w ciągu tej rozmowy przybliżała się ostrożnie i przypatrywała się z zajęciem Twardowskiemu, właśnie w chwili kiedy ten dobywa oręża, chwytła go obie-
ma rękami za tęż rękę*)

Justysia.

Tuś mi motylu! — Teraz mi zdaż
Ulecieć z rąk . . . cha, cha, cha!

Twardowski.

Szalona!

Znów tu? — czyś z ziemi wytrysła łona?

(*wyrywa rękę i odtrąca Justysię*)

Justysia (*cofając się ku swemu miejscu, do Hanny, wska-
zując na Twardowskiego*)

Cha, cha, cha! piękna! — uciekaj! — to wąż!

Starosta (*do Hanny ukazując Justysię*)

Widzisz ofiarę! — przed Panem schył skroń,
Że ci w czas bratnią zesłał w pomoc dłoń.

Żyd *(który wyszedł z alkierza i przybliżył się do rozmawiających, ujrawszy Twardowskiego)*

To on! aj gwałtu!... oj będzie tu bieda!
(w przerażeniu cofa się i ucieka do alkierza)

Twardowski *(do siebie)*

To mi bies piwa kwaśnego nawarzył!
Czekaj psie czarny, za te wszystkie psoty,
Do takiej ciężkiej wpręgę cię roboty,
O jakiej — łeb twój barani nie marzył.

Sasin *(do Żyda bladego i drżącego, którego służba za koltierz z alkierza wyprowadza)*

Chodź żydzie — gadaj — ten Niemiec ci znany?

Żyd *(klaniając się, do Starosty)*

Wielmożny Panie!...

Starosta *(groźnie)*

Cóż prawdy się dowiem?

(Żyd milczy)

Sasin *(przyskakując do Żyda z kordelasem)*

Ja go ośmielę.

Żyd *(przestraszony)*

Już powiem!... już powiem!...

(mówi i chowa się za służbę, która go trzyma)

To rabuś... oszust... cygan nad cygany...

Kiedy w Krakowie trzymałem gospodę,
On wszystkie wino przemienił mi w wodę; . . .
To jest Twardowski! . . .

Mysliwi (*cofając się z przerażeniem*)

Czarnoksiężnik? . . .

Twardowski (*z dumą*)

Tak!

Jestem nim!

Hanna (*załamując ręce*)

Nieba!

Starosta.

Toś nielada ptak! . . .

Teraz z Waszmością pocznem z innej beczki;
Złegoś na świecie nabroił niemało,
Choć przed urzędem ujść ci się udało,
Z pod mojej ręki nie znajdziesz ucieczki.
Do tyłu zbrodni przybywa dziś nowa,
Gwałt na klasztorze — to sprawa gardłowa.

(*do służby*)

Pojmać i w łyki!

(*służba posuwa się ku Twardowskiemu*)

Twardowski (*groźnie*)

Ani kroku dalej!

Drżycie! — bo jeśli liczba was zuchwali,

I ja tu nie sam — na moje wezwanie
Wraz całe piekło na odsiecz mi stanie:
I was i chatę na dno ziemi wtrącę,
Albo dla większej hańby i zakały,
Wszystkich w pierzchliwe zamienię zające,
A psy was własne rozerwą w kawały.

(chwila milczenia)

Sasin.

Hola! — strasz sobie piekielnemi draby
Tych, co się boją... ot żydy lub baby...
Nas nie ustraszysz — coś zacz, to my wiemy.
Pięść mamy twardą, to się sprobujemy,
My się i djabła niezłękniem Mospanie!
(myśliwi z kordelasami posuwają się ku Twardowskiemu)

Twardowski.

Wzywam cię — staw się szatanie!
(pomiędzy Twardowskim i myśliwemi, z pod ziemi w płomieniach występuje Szatan, w czarnym, bogatym w złoto ubiorze. Myśliwi z przestachu usuwają się w głąb karczmy)

Twardowski *(do Szatana)*

Zabaw tych Ichmościów!

Szatan *(z pokłonem zwracając się do Myśliwych)*

Jestem na usługi...

Ściele się do stóp Waszmościom... jak długi...

(widząc ich przerażenie)

Cóż to? tak wszystkich ogarnęła trwoga?

Patrzycie na mnie jakby na raroga?
Przecież nie takim czarny jak mnie piszą! . . .
Oho! w tem widzę prosto zazdrość mniszą;
Dają mi ogon, rogi i pazury,
By dobrych ludzi odstraszyć od dzbanu;
Niechże w te brednie wierzą sobie ciury,
Ależ nie ludzie rycerskiego stanu.
Wiem, że gdy Waszmość bliżej mnie poznacie,
To się serdecznie zemną pokochacie,
Bom walny kompan do każdej zabawy,
Do gry, hulanki i gracz do kielicha.
Gardło dam w zakład . . . choć nie szukam sławy,
Że najtęższego przepiję wam mnicha.

Wszebór (na stronie, do towarzyszy)

Podobno lepiej wynieść się zawczasu,
I resztę nocy przepędzić wśród lasu.

(Myśliwi posuwają się ku drzwiom)

Jeden ze służby myśliwskiej.

(wpada do karczmy z przerażeniem)

Strach! strach! co się tam koło karczmy dzieje! . . .
Snać całe piekło wywarło się w knieje,
A w górze — co za pisk i jaki szum? . . .
Ze wszystkich świata stron
Czarnego ptaśwa zlatuje się tłum,
Kruków, sów, kawek, puchaczy i wron,
Słyszycie! . . . krokwie trzeszczą! . . . bo gromada
Cały dach karczmy obsiada.

(ogólne przerażenie)

Żyd (*wynosi się chyłkiem do alkierza, ale otworzywszy drzwi, cofa się z przestachem i jeszcze prędzej je zamyka*)
Nu, to już po nas!

Szatan (*do myśliwych*)

Weźcie Waszmość czasie,
Kiedyż właściwiej oddać się radości?
Żydzie, staw miodu na przyjęcie gości.

(*Żyd się chowa za myśliwych. Szatan ze stołu, który służba myśliwska w ciągu poprzedzającej sceny zastawiła, z pomiędzy kilku czas stojących, bierze jedną i śpiewa przedrzeźniając śpiew myśliwych*)

Hej! pijmy, użyjmy, co dzisiaj to nasze.
(*pije, z czaszy płomień bucha*)

Twardowski (*wesoło*)

Szatan jak widzę w dobrym dziś humorze,
Pewnie nam jaką sprawi krotochwilę.

Myśliwi (*zalamując ręce*)

Cóż my poczniemy?

Hanna (*składając ręce i wznosząc oczy do góry*)

Miłosierny Boże!

Ty nas przynajmniej nie opuść w tę chwilę.

Justysia (*na swoim miejscu przy piecu, nie zważając na tę całą scenę, śpiewa*)

Luli, mój mały, w śnie słodkim luli,
Niech cię Stróż-anioł skrzydłem otuli.

(*słychać zewnątrz mocne krakanie*)

Myśliwi.

Ach! cóż za wrzaski! . . .

Szatan (*do myśliwych*)

Tylkoż się nie trwożcie,
To nie jest ptastwo — ale mili goście,
Którym przyrzekłem dyalog wyprawić
Ot, tu, w tej karczmie. Nie jesteśmy w poście,
Więc nie zawadzi trochę się zabawić.
Waszmość, zasiądźcie ławy jak widzowie,
Ja zacznę prolog.

Sasin (*na stronie*)

Uf! — po tej przemowie,
Czuję, że zimno przeszło mnie do szpiku.

Szatan.

Ostrzedz winienem — że w polskim języku
Będzie dyalog — autora, przez skromność
Zamilczę imię; — jak go tam potomność
Później oceni, to mnie nie obchodzi.
Wprawdzie od wszystkich waszych dyalogów,
Będących tworem mądrych teologów,
A odgrywanych od żakowskiej młodzi,
Mój, tem się różni: że w waszych utworach
Djabeł podlejszą od błazna gra rolę;
Lada chłop, lada bartnik, co wzrósł w borach,
Djabła jak capa wyprowadzi w pole.
U mnie przeciwnie — djabeł jest osoba

Co się subtelnym dowcipem zaszczyca.
Treść taka — sądzę, że się wam podoba, —
Raz djabeł kupił duszę od szlachcica,
Szlachcic frant, djabła oszukać miał chrapkę,
Lecz sam nieborak złapał się w połapkę;
Rzecz dość zabawna, choć pomysł nie nowy.

Twąrdowski (który słuchał końca z niecierpliwością)
Po cóż kołujesz dalekimi słowy,
Wyłóż rzecz krótko.

Szatan.

Wybacz — te wybryki,
Których nabrałem z ksiąg waszej Logiki,
Foljanty grube — choć w nich — pusty dym!
Każeś być zwięzłym, ja zgadzam się na to,
A więc ci powiem krótko, węzłowato,
Mistrzu, ta karczma nazywa się — Rzym!

Twąrdowski (z zaleknieniem)

Jakto?

Szatan.

Po prostu, znajdujesz się w Rzymie,
A choć tu nie ma Świętych, ni Papieża,
Przecież w osnowie naszego przymierza,
Chodziło tylko o imię.

Twąrdowski.

Kłamstwo!

Szatan.

Jak widzę, pamięć ci nie służy.
A więc z własnego twego cyrografu
Przeczytam — cały ustęp z paragrafu,
W którym, o Rzymskiej mowa jest podróży.
(dobywa cyrograf, rozwija go i zwraca się do Myśliwych)
Waszmość osądźcie sami . . .

Oto karta

Z wołowej skóry, która tyle warta
Co i pargamin — napisana jasno
Bez żadnej zmyłki, — ręką i krwią własną
Zrobiony podpis, a przy dokumencie
Obie na wosku wiszące pieczęcie.
Skrypt — jak widzicie Waszmość — bez przygany,
Jakby pod trzema kluczami chowany ⁴⁾.

(milczenie)

Brzmi tak:

«po roku, czy po latach wielu,
«Preskrypcya, nie ma miejsca w ciągu tym:
«Gdy przez zabiegi lub w skutek fortelu,
«Szatan mnie skłoni, bym odwiedził Rzym;
«Rzecz całą naprzód rozważywszy ściśle,
«Przy dobrej woli i zdrowym namyśle,
«Nie nakłoniony groźbą ni namową —
«Stawiam na zakład szlacheckie me słowo:
«Że bez wybiegów i prawnych obrotów
«Własną mą duszę oddać jestem gotów
«W ręce Szatana, i w wiecznym zapisie
«Daję, daruję i praw do niej zbywam» . . .

Twardowski.

To ci się sztuka udała mój biesie!
Jak na twój lichy rozum — powiem nawet
Dużo dowcipu, — ale się spodziewam
Tąż samą miarką oddać ci wet za wet.
Cyrograf mówi wyraźnie i jasno,
Żem ci zapisał duszę moją własną . . .
Własną — nie cudzą! — więc od cudzej wara,
A zwłaszcza jeśli niewinnej i chrzczonej! . . .

(porywa na ręce dziecię z kołyski i mówi z ironją do Szatana)

Teraz niech Waszmość stuli swoje szpony
I o sposobność lepszą się postara.

Justysia.

(widząc, że Twardowski zabrał dziecię, zrywa się ze swego miejsca i posuwa się ku niemu)

Przeklęty! oddaj mi dziecię!
To mój jedyny skarb w świecie.
Wszystkoś mi wydarł; cóż mi życie znaczy?
Ha! — mej się lękaj rozpaczy!

(robi poruszenie jakby chciała dziecię odebrać)

Twardowski *(z gniewem)*

Odstąp odemnie nikczemny gadzie!
Czy fatalności niepojęta siła
Tak cię do moich stóp uczepiła,
Że mi do szczęścia stajesz na zawadzie?
Drżyj! bo jeżeli wydasz mnie na zgubę,

Ciebie, w otchłanie wciągnę gorejące,
A pierw, w twych oczach, to niemowlę lubę
Głową o kamień roztrączę.

*(podnosi dziecię, jakby chciał zamiar wykonać i rzucić je
o ziemię. Ogólne przerażenie)*

Justysia.

klękając przed Twardowskim, z przerażeniem)

Nie! — nie! — weź, zabierz, niech ja wprzód ginę!

(błagając)

A ocal biedną dziecinę.

(wyciągając ręce do dziecka)

Dziecino droga,
Zbaw ojca, zbaw!
Za nim się wstaw
Do Boga.

*(powraca na dawne miejsce z głową spuszczoną, siada i
kołysze pustą kołyskę)*

Szatan.

Pfe, mistrzu, tak się żartować nie godzi,
Alboś ty niańką, która dzieci wodzi?
Gdzież dobra wiara, fundament umowy?
Co do mnie — wszystko dopełniłem wiernie.
Sam wiesz, przez jakie musiałem przejść ciernie,
Aby najdzikszym pomysłem twej głowy
Zadość uczynić, — więc w prawie mem stoję,
Gdy się chcę także upomnieć o swoje.
Gdybym ci pozwem wydał rok zawity⁵⁾,
To przed cygańskim nawet trybunałem

Wygrałbym sprawę — sąd, z duszą i ciałem
Do piekła by cię wsadził, przy sowitej
Nawiązce, za koszt i straty z twej winy; —
Ale mi więcej o twą sławę idzie,
By zacne imię nie podać ohydzie.
Kiedy cię w szkołach uczono łaciny,
Musiałeś słyszeć, że *verbum nobille*
Debet . . .

Twardowski (*przerywając*)

W kąć djable ze starem przysłowiem.
Kiedys erudyt, sto lepszych ci powiem.
Od których świętość czuć będzie o milę:
Nil est in rebus humanis stabile ⁶⁾,
Mówi Chryzostom — a Augustyn święty . . .

Szatan (*zatykając uszy*)

Dość! dość! żeś mądry, to przyznać ci muszę.
Ale gdy rozum puszczasz na wykręty,
Żal mi cię szczerze — bo dajmy . . . że duszę
Potrafisz zręcznie wycofać z tej sprawy,
To cię sąd ludzki czeka — mniej łaskawy;
Za to, żeś w związkach zostawał z złym duchem
I na gorącym pojman był uczynku —
Wsadzą cię w turmę, obciążą łańcuchem,
Wezmą na męki — a po długiej męce,
Kat cię w Krakowie upiecze na rynku.

(*zwracając się do Myśliwych*)

Cóż? czyliż nie tak?

Starosta.

Umywamy ręce
Od spraw szatańskich.

Twardowski.

Raz skończmy szatanie!
W piśmie wyraźnie stoi: że tak długo,
Póki mej duszy piekło nie dostanie,
Masz być posłusznym woli mojej sługą.
Więc rozkazuję! — Niech się nikt nie waży
Ztąd krokiem ruszyć.

(do Szatana wskazując na drzwi wchodowe)

A ty! stój na straży!

(do Hanny, zabierając się do wyjścia)

Chodź, droga Hanno . . .

Hanna.

Nie — ja tu zostanę,
Postanowienie moje już obrane,
Tu wieczny rozdział zajdzie między nami;
Zgrzeszyłam — grzech mój pragnę oblać łzami.
Pomoc mnie boska, i opieka brata
Od dalszych pokus zabezpieczy świata,
W ścianach klasztoru . . .

Twardowski.

Hanno! cóż to znaczy?
Jak wytłómaczyć nagłą uczuć zmianę?
Gdy już przeszkody wszystkie przełamane,

I los nam wdzięczniej uśmiechać się raczy . . .
Czyż miłość twoja snem znikomym była?

Hanna.

Kochałam ciebie — dopókim sądziła,
Godnym miłości, — nawet w owej porze,
W którym traf twoje odsonił nazwisko,
Choć mocno czułam, żem upadła nisko.
Jak nikt z swych marzeń niżej spaść nie może . . .
Kochałam przecież — bom wierzyła w błędzie:
To mąż niezwykły i potężny duchem,
To orzeł — który obłąkał się w pędzie,
Chciał w słońce lecieć — a niebacznym ruchem
Spadł na dół — przecież choć z skrzydłem zła-
[manem

Pomimo ciosów, piorunów i burzy,
Stanie do walki — z światem i szatanem;
Czoło się jego nad fale wynurzy
Dumne, spokojne — i broni nie złoży
Chyba wraz z życiem — lub gdy się ukorzy,
Jedno przed Bogiem.

(po chwili namyśtu)

Tyś zaparł się Boga,
Podeptał wszystko, co wzniosłe, co wielkie —
Uczuć najświętszych ostatnią kropelkę
Zniszczyłeś — kiedyś matce wydarł dziecię;
I aby nędzne uratować życie,
Wolałeś podejść, sztuką zażyć wroga,
Zamiast swą rękę uzbroić do bitwy
Zamiast swe czoło skłonić do modlitwy —

Że ja . . . niewiasta rumienić się muszę,
Żeś jedną chwilę był w mem sercu panem;
Gdy do purpury stworzoną swą duszę
Kłamstw i podłości okryłeś łachmanem . . .
Pogardzam tobą.

Twardowski.

O Hanno! po coś to słowo wyrzekła!
Marzyłem, że ty duszę moją zbawisz,
Oczyścisz z grzechów — poprawisz . . .
A ty ją strącasz do piekła?
Twoja niewinność i wiara i wdzięki,
Obłąkanemu w ciemnej błędów nocy,
Były jak promień niebieski jutrzeńki,
Jak śpiew anielski — przy których pomocy
Miałem z ziemskiego podźwignąć się kału,
I w ślad za tobą, jak za czystym gońcem,
Więzy szatańskie strząsając pomału,
Chciałem się podnieść aż do ideału,
Któregoś ty — była słońcem.

(po chwili namysłu)

Kto straci wiarę, kto raz na bezdroże,
Na to burzliwe namiętności morze
Łódź swą skieruje, — jeżeli go w biegu
Nie wstrzyma nagle Wyższej Łaski promień,
Już on nie łatwo pokona ów płomień,
Który go żenie, który go od brzegu
Zbawczego zdala trzyma — i wciąż miota
Dumą — w obłoki, rozpaczą — w otchłanie; . . .
Wówczas, niech piękna błysnie nad nim cnota,

Schyli doń rękę — nim z przepaści wstanie
Z szeregiem myśli, jak z zaciętym wrogiem
Bój staczać musi — każdą wprzód ukorzyć,
Zgiąć, złamać, jeńcem u stóp swoich złożyć;
Dopiero wtenczas pojedna się z Bogiem.

(po chwili namysłu)

I jam się w siła obłąkał rozumu,
Mniemałem, że w nim jest siła Wszechmocy,
Że on jest lampą, która w cieniach nocy
Po nad falami bezmyślnego tłumu
Świeci i żaglem kieruje, — jam wierzył,
Że rozum ścisłym poparty rachunkiem,
Tam mnie zawiedzie — gdzie stanąć zamierzył,
A reszta — jest ślepym trafunkiem.

(po chwili znowu namysłu)

Zgrzeszyłem — ale nie lękam się kary!
Ludzką pogardzam . . . Człowiek wiecznie błądzi . . .
Bogam obraził — niechże mnie Bóg sądzi,
Żem tak roztrwonił marnie Jego dary.

(oddając dziecię Justysi)

Matko, weź dziecię . . . wychowaj je w cnocie,
I z pieluch zaszczep w serce tej istocie,
Że rozum: czczy bańka — bez wiary!

(podając rękę Szatanowi)

Szatanie! rękę masz!

Chór duchów piekielnych.

Już nasz! hurra! już nasz!

*(Szatan porywa Twardowskiego i w górę się z nim unosi,
w czasie tego wznoszenia słysząc śpiew Godzinek:)*

Zacznijcie wargi moje chwalić Pannę Świętą,
Zacznijcie opowiadać cześć jej niepojętą. . .

*(Śpiew milknie, zagłuszony przeraźliwym krakaniem. —
Szatan i Twardowski w górze znikają; — ogólne osłupienie)*

Justysia.

(z dzieckiem na rękę, postępuje na miejsce, z którego Szatan porwał Twardowskiego, podnosząc rękę w górę i ukazując przytomnym)

Widzicie! widzicie! bies zerwał dach chaty,
I jakie od ziemi podnoszą się chmury!
To nocnych latawców rój czarny, skrzydlaty,
Jak trąba powietrzna wzbija się do góry,
I z krzykiem szalonym wciąż leci,

(słysząc pianie koguta)

Widzicie! wśród cieniów, świta plamka blada,
Jak coraz mknie w górę i mnoży swe blaski,
A czarny rój, gradem ku ziemi odpada,
Słyszycie ich wycia, przekleństwa i wrzaski?
A gwiazdka — w błękitcie już świeci!

(podnosząc dziecię do góry)

Dziecino droga!
Zbaw ojca, zbaw.
Za nim się wstaw
Do Boga.

Chór aniołów.

Dusza grzesznika zawisła w przestworze
U granic ziemskich i niebieskich dróg;

Długa pokuta, zbawić ją może,
W dzień sądny — przebaczy jej Bóg.
(wszyscy przytomni padają na kolana)

Chór.

W proch . . . w proch . . . — przed Panem!
Z czołem schylonem, zgiętem kolaniem
U Majestatu korzym się Twego —
Daj mu zbawienie,
Win odpuszczenie; —
I nie wódź na pokuszenie,
Ale nas zbaw ode złego,
Amen.



OBJAŚNIENIA.

¹⁾ Alluzya do Janka, Archidyjaka Gnieźnieńskiego i Długosza, polskich Kronikarzy.

²⁾ *Bakalarzem* nazywał się myśliwiec, który długiem ćwiczeniem w tej się sztuce wydoskonalił; patrz: Maciejowskiego: Polska i Ruś aż do połowy XVIII-go wieku. T. II, str. 370 i następne.

³⁾ Wiszniewski, w *Historji Literatury Polskiej* T. IV. str. 184 powiada: „że właśnie w XV wieku, wiele się pod względem lekarskim zmieniło. System muskularny począł ustępować przewagi nerwowemu i większej czynności naczyń, jak suchy kaszel we Francji i osobliwsze krwotoki pokazują.“

⁴⁾ W przywileju nadanym w Czerekwicy r. 1454, przez Kazimierza Jagiellończyka, powiedziano: *Item volumus et decernimus ut acta seu libri terrestres, per illos ad quos pertinet, juxta consuetudinem antiquam tentam consequentur.* — Gołembowski: *Dzieje Polski*, za panowania Kazimierza str. 96. — Księgi pod trzema kluczami Sędziego, Podsędka i Pisarza chowane być mają. Zygm. w Piotrk. 1538 roku. K. P. 434.

⁵⁾ *Rok zawity*, był to termin stały wyznaczony przed sądem, w sprawach Statutem Litewskim, Rozdziałem IV, art. 42 przewidzianych; a jeśliby która strona za wołaniem Woźnego, bez przyczyn prawnych nie stanęła, to w rzeczy na pozwie napisanej, upada i wiecznie ją traci.

⁶⁾ Chrisostomus, w 5 Homilii pag. 816 et seq.

PRZYPISEK WYDAWCY.

W papierach pośmiertnych po Gustawie Zielińskim, znaleźliśmy ślady, że pierwotną jego myślą było, napisanie libretta do opery p. t. „*Mistrz Twardowski*“, do której muzykę miał pisać A. Moniuszko. Co stało na przeszkodzie pierwotnemu zamiarowi — niewiemy. Zieliński widocznie zamiar zmienił, napisawszy tylko dwa ustępy w formie dramatycznej, zatytułowane: „*Czarnoksiężnik Twardowski*.“ Pozostawiony szkic libretta Aktu I-go, do opery: „*Mistrz Twardowski*“, jest następujący:

Okolice wiejska w bliskości Krakowa.

(Po lewej stronie sceny: gospoda z ławami przed domem; po prawej: dalej od sceny, kościółek wiejski, głąb sceny stanowią wzgórza i skały.)

Scena I. Żniwiarze i żniwiarki, z kosami i sierpami, z wieńcami ze zboża, bławatków i maków, schodzą z gór z pieśnią żniwiarską, przed gospodę. Kmieć Bartosz z żoną, odbierają wieńce i dziękują żniwiarzom za ukończone żniwa, zapraszając ich, aby zechcieli się zabawić, jadło bowiem i picie przygotowano, jako też i muzykę, aby młodzież mogła pohasać. Różia, ich wychowanica, jako najlepsza we włości śpiewaczka i tanecznicą, będzie tańcom przewodzić. Dziwi się jednak, że Różia razem z innymi z pola nie wróciła. —

Żniwiarze powiadają, że zaraz przybędzie: że przodowała na zagonie, a ukończywszy prędzej od innych robotę, chciała ich wyprzedzić, ale dostrzegłszy u stóp skały jakiegoś człowieka zemdlonego czy chorego, pośpieszyła mu z pomocą; — widzieli z daleka jak go właśnie w tę stronę prowadzi. — Odzywa się dzwonek kościelny na nieszpór; Bartosz, wzywa żniwiarzy, aby szli z nim podziękować nasamprzód Bogu i N. Maryi Pannie, za obfite żniwa i dokonaną pracę, zwłaszcza, że to jest wigilija do Wniebowzięcia, a po skończonych nieszpórach zaczną się okrężne z tańcami.

Scena II. Różia, ostróżnie z gór sprowadza Twardowskiego, niosąc dużą jego księgę; prosi, żeby spoczął i pyta, czy nie zechce czem się posilić. Twardowski odmawia, dziękując jej tylko za pomoc udzieloną. Opowiada jej, że zbierając w górach rośliny, osunął się ze skały, a spadając stracił przytomność; — szczęśliwym trafem zaczął się u krzaków, nad urwistym potokiem, lecz bez jej pomocy byłby może życie utracił: — pyta, czem mógłby jej to wynagrodzić. — Różia znów zaciekawiona dopytuje, dla czego on dla jakiejś tam jednej rośliny, życie swoje naraża — jaki cel? poco? i t. d. Twardowski jej to tłumaczy i zarazem zachwyca się naiwnością wiejskiego dziewczęcia, dając jej poznać, że mu się bardzo podobała i radby być przez nią pokochany, ale Różia w żart to obraca; gdy jednak Twardowski mocniej i natarczywiej nalega, Różia usłyszawszy organ i śpiew kościelny, wyrывa mu się i biegnie do kościoła.

Scena III. Twardowski sam. — W myślach jego odbywa się walka, pomiędzy namiętnością wywołaną widokiem Rózi, a nauką, której dotąd życie poświęcał, zestarzewszy się i zwiądzszy nad słońcem w księgach, a niczego nie doszedłszy i o krok choćby naprzód za pewną granicę nie postąpiwszy; — oskarża świat i Boga.

Scena IV. Z gospody wychodzi Szatan, w kusym niebieskim stroju z zakrzywionym harcapem z tyłu; siada na-

przeciw Twardowskiego, żartując i pokpiwając z niego, że się w dalekie zapuszcza rozmyślania, wtenczas, kiedy szczęście jest tuż blisko, byle je tylko potrafił uchwycić; pochlebia jego rozumowi i próżności, że jako człowiek z wyższem wykształceniem, powinien raz już porzucić wszelkie uprzedzenia, które dobre są dla gminu, lecz nie dla ludzi, którzy przez wszystkie stopnie przeszli wiedzy, — którym jeden tylko krok uczynić naprzód, a osiągną celu swoich marzeń. W tej scenie, słyhać wciąż pieśń pobożną ludu i organ kościelny. — Twardowski z zajęciem, chętnie słucha słów uwodziciela.

Scena V. Lud powraca z kościoła. — Kmieć Bartosz z żoną, ujrzawszy nieznanomych, zaprasza ich uprzejmie, aby i oni zechcieli wziąć udział w mającej się rozpocząć zabawie. — Muzyka, tańce żniwiarzy i śpiewki. — Twardowski tymczasem zbliżywszy się do Rózi, coraz bardziej nią zajęty, zaleca się jej i balamuci. Szatan zaś, bawi się swoim sposobem, wyprawiając różne figle i starając się niemi odwrócić uwagę, od zajętych sobą Twardowskiego i Rózi. — Wywołuje nareszcie zamieszanie i bójkę między żniwiarzami, a sam znika, wystawiając Twardowskiego na sztych pijanego i rozszalonego chłopstwa. — Zbliżająca się burza, rozpędza lud na wszystkie strony.

Scena VI. Na Krzemionkach. Szatan uprowadzając Twardowskiego, obiecuje mu wszystkie dostatki i uciechy ziemskie, w zamian za duszę. Twardowski przystaje. Chór duchów piekielnych tej czynności obecny, śpiewa. Przed podpisaniem cyrografu, Wiara i matka ukazują się Twardowskiemu, ale on ich ostrzeżenie odrzuca i cyrograf podpisuje, śród radosnego śpiewu duchów piekielnych. Szatan jako sługa pokorny, hołd mu oddaje. — Tymczasem, Bartosz na czele tłumu wieśniaków, zbrojnych w kije i palki, ścigając Twardowskiego, przybywa, aby się zemścić za Rózię. — Finał. — Twardowski nie mogąc się uwolnić od natarczywości

nacierającego chłopstwa, każe szatanowi przedstawić się we własnej swojej postaci. Szatan w ogniu, wśród błysku i grzmotu przedstawia się ludowi, który w strachu rozbiega się na wszystkie strony.

Taki szkic I-go aktu libretta do opery „Mistrz Twardowski,“ rzucony był na papier przez Zielińskiego, wraz z kilkoma początkowymi strofkami, które poniżej podajemy.

Akt I-szy.

Żniwiarze z kosami a żniwiarki z sierpami, z których pare na przedzie w wieńcach ze zboża, bławatków i maku, zstępują z gór śpiewając pieśń żniwiarską. — Przed domem stoi kmieć Bartosz z żoną, oczekując na przyjęcie żniwiarzy.

Chór żniwiarzy.

Plon niesiemyć plon,
Gospodarzu w dom.
W pracy szczęścił Bóg,
Dał niemało kop
Będzie pelen bróg,
I namłotny snop.
Plon wam niesiem, plon,
Gospodarzu w dom.

Bartosz.

Dzięki, dzięki mili żeńce
Za wasz trud u żniw.

Chór żniwiarzy.

Składamy wam dwa te wieńce
Z naszych zdjęte niw;

Niech wam po sto ziarn,
Każden wyda kłos,
A po młocbie zgarń,
Złota pełen trzos.
Plon wam niesiem, plon,
Gospodarzu w dom.

Bartosz.

Czem bogaci, przyjmiem radzi,
A choć chata nie wspaniała,
By ugościć — toć nie mała,
Wszak poskakać niezawadzi.

Chór żniwiarzy.

Co niewadzi, to niewadzi,
My wyskoczyć zawsze radzi.

Bartosz.

Będą skrzypki.

Jeden z chóru.

O! i basy!

Chór chłopców.

Toż zabrzczą nasze pasy.

Bartosz.

Będą tany,

Jeden z chóru.

I przyśpiwki.

Chór chłopców.

Toż to lep na nasze dziewczki.

Bartosz.

I nie zbraknie, chleba, miodu

Chór żniwiarzy.

Toć nie umrzem u was z głodu,

Bartosz.

A zaśpiewa nam Rozyna

Chór żniwiarzy.

Toż to słowik, nie dziewczyna.

Bartosz.

Lecz gdzież ona? . . . czy została? . . .

Jeden z chóru.

Byle skrzyпки posłyszala

To się znajdzie . . .

.

Ze sceny „na Krzemionkach“ mamy też tylko fragment, który poniżej podajemy.

Krzemionki.

(Okolica skalista. — Noc. — Niebo okryte chmurami.)

Chór duchów piekielnych.

Cieszymy się! cieszymy

Przez nasze sztuki,

Mąż wielkiej nauki

Wpadł w naszą sieć.

Teraz się spieszymy

Żądze w nim wzbudzić,

Wiarę wystudzić

I w dumę wzbicić.

Roztoczmy skrzydła na kształt czarnej chmury,

By żadne światło nie padło nań z góry.

(Twardowski i Szatan, w czarnych krótkich ubiorach wchodzą, prowadząc ożywioną rozmowę)

Twardowski.

Rzućmy dysputę — widzę że nie łatwa
Z tobą szermierka, — bo jesteś mistrz słowa
Zręczny, subtelny . . . a twa dziwna mowa,
Tak me pojęcia burzy i tak gmatwa,
Że w obec twego rozumu potęgi,
Z pokorą wyznać muszę — żem zwalczony.
Tylkoż mi powiedz, z jakiej czerpiesz księgi,
Tak silne argumenta?

Szatan (*śmiejąc się*)

Oj! uczony!

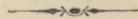
Ty widzisz tylko swe grube foliały,
Gdzie myśl spróchniała w pergaminu karcie;
Chcesz mojej rady? — to wszystkie szpargały
Spal — lub je mółom zostaw na pożarcie.

Twardowski (*oburzony*)

Co? . . . księgi spalić? . . . księgi, te filary,
Na których wiedzy kopuła się wspiera! . . .

Szatan.

Krucze to wspory, gdy w kopule szpary,
Przez które głupstwo zbutwiałe wyziera.
Wy, w koło siebie z ksiąg dźwignawszy mury,
W krętych manowców zesłiście krainę,
A myśl spowiwszy w formuł płataninę
Pragniecie osiąść tajniki natury,
Zamiast naturze przypatrzeć się z bliska,
I na uczynku badać jej zjawiska.
Raz myślą sięgnij po za ten krąg ciasny,
Spojrzyj wokoło okiem duszy własnej,
A dojrzyś wszędzie rojące się życie;
I to jest księga — której jedna karta
Nad stopy książnic waszych więcej warta,
Bo w niej zamknięta jest mądrość — użycie.



ROBIALIENI
1880

RÓŻNE WIERSZE

Z OBCYCH AUTORÓW TŁOMACZONE.

ROZNE WIKSZE
A DROGICH KUTYROW TOMASZOWY



PODZIAŁ ZIEMI.

(Z Szyllera.)

Zawołał Jowisz z górnej swej krainy:
„Ludzie, świat weźcie, niechaj waszym będzie;
Wam go oddaję na wieczne dziedziny,
Lecz w działach, miejcie braterstwo na względzie.“

Zaledwie wyrzekł — wnet młody i stary,
Kto mógł rąk użyć, biegł po łup w zawody;
Rolnik, zagarnął pól rodzajnych płody,
Myśliwy, stepy i borów obszary;

Kupiec, towarem zarzucił spichlerze,
Mnich, zaś wybiera szlachetniejsze wina,
Król, w udział mosty i gościńce bierze,
Mówiąc: „z dochodów, moją dziesiącina.“

Skończył się podział. — W tem z dalekiej strony
Przybył poeta, — już w porze spóźnionej

Nie mogła dojrzeć nic, wieszczka żrenica,
Już wszystko miało swojego dziedzica.

„Więc, najwierniejszy z twych synów, o boże!
Sam jeden jestem opuszczony w dziale? . . .“
Rzekł — i rozwodząc smutne swoje żale,
Łzą rosił tronu Jowisza podnóże.

„Kiedy cię marzeń zbłąkała kraina, —
Bóg odpowiedział — nie moja w tem wina;
Gdzież byłeś wtenczas kiedy świat dzieliłem?“ —
„Ja, — rzekł poeta — ja przy tobie byłem.“

„Mój wzrok zawisnął, wlepion w twe oblicze,
Ucho, harmonii niebios obłąkały tony,
Przebacz duchowi, twym blaskiem olśniony,
Utracił ziemi ponęty zwodnicze.“

„Świat już rozdany, — rzekł władca na niebie, —
Żniwo, i łowy, i handel — nie moje;
Chcesz-li żyć ze mną? — niebieskie podwoje
Jak tylko przyjdiesz, otworem dla ciebie.“

1832.



POŻEGNANIE JOANNY D'ARC.

(z „Dziewicy Orleańskiej,” Szyllera)

Żegnam was góry i was lube błonia,
I was spokojne doliny i gaje;
Joanna w wasze nie pójdzie ustronia
Joanna z wami wiecznie się rozstaje.
Łąki i drzewa, mej ręki sadzenie,
Niechaj was ciągną wiosna zazielenia;
Żegnam was groty i was zimne zdroje,
I echo — dolin rozgłosie daleki,
Coś mi na śpiewy odpowiadał moje;
Już was Joanna opuszcza na wieki.

Te miejsca, cichej radości mej świadki,
Rzucam na zawsze, za stopy mojemi;
I ty ma trzodko, rozprósz się po ziemi
Zostałaś teraz bez dozoru matki.
Bo inne trzody powiodę w tę stronę,
Gdzie niebezpieczeństw pole zakrwawione,

Bo mnie do tego, głos Boży nakłania,
Nie żadne ziemskie, nie moje żądania.
Ten, co się w krzaku ognistym objawił,
I Mojżeszowi, kazał z gór Horeba
By się przed srogim Faraonem stawił,
Ten — co Dawida małego pasterza
Zrobił zwycięzcą, — Ten który wymierza
Na lud pasterski, ciągle łaski nieba:
Z gałęzi drzewa, rzekł mi słowy temi:
«Idź, będziesz o mnie świadczyła na ziemi.
«Twe miękkie członki twarda miedź uciśnie,
«Na twojej piersi hartowna stal błysnie,
«Lecz twego serca niech miłość nie znęci,
«Ni zdradna rozkosz co powabem płonie,
«Bo nigdy dziecię, owoc lubych chęci
«Nie będzie na twem kołysał się łonie;
«Bo ciebie wyższą w dzieł rycerskich sprawie,
«Nad wszystkie ziemi niewiasty postawię.

«Bo najmężniejsi gdy struchleją męże,
«Gdy cios ostatni już Francją dosięże,
«Mą Oriflammę poniesiesz przed niemi;
«A jako zwinna żniwiarka śród pola,
«Jak kłos, zwycięzców zaściesz po ziemi.
«Potoczysz, koło fortunne swych czynów
«Wybawisz Francyi bochaterskich synów,
«Reims oswobodzisz i uwieńczysz króla.“
Niebo przyrzekło dać znak, gdy potrzeba,
Hełm mi przysyła, jest on darem nieba,
Siłą mnie boską, to żelazo wzrusza,

Mestwem Cherubów płonie moja dusza;
Na krwawe boje z tych miejsc mnie porywa
I pędem burzy daleko unosi,
I głos wojenny do serca mi wpływa,
I rżą rumaki i trąba bój głosi.

1833.



DO LISTKA.

(z francuzkiego.)

Od gałązki odcięty,
Biedny listku zeschnięty,
Gdzie lecisz? — «Nie wiem ja o tem;
«Gdy padł dąb, gromem rażony,
«Odtąd, niestałym polotem
«Raz, od zefiru niesiony,
«To znowu, przez akwilony,
«Lecę — dokąd wiatr mnie niesie.
«Czasem, się błąkam po lesie,
«Z lasów, ulatam w równiny,
«Z pól w stepy, — z gór na doliny;
«I dążę w mej podróży
«Dokąd świat dąży wszystkim:
«Gdzie lecą listki róży,
«I lauru listek.»

1833 r.

TEŚKNOTA.

(z Szyllera).

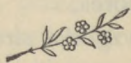
Gdybym z posad tej doliny,
Odzianej w tuman mgły siniej,
Znalazł wyjście w inne niwy,
Ach! jakże byłbym szczęśliwy!
Tam, postrzegam śliczny wzgórek
Wiecznie młody i zielony.
Kilka lotek, kilka piórek,
Niosłyby mnie w wzgórzka strony.

Dźwięk harmonii ucho słyszy,
Tony, słodkiej niebios ciszy;
Lekki wietrzyk ku tej stronie
Balsamiczne niesie wonie.
Złoty owoc, co dojrzewa
Lśni się w ciemnym liściu drzewa;
Nawet kwiaty, co tam rosną,
Oddychają ciągną wiosną.

Jak tam pięknie, gdzie promieniem
Wiecznie jasnym, słońce świeci,
Wietrzyk, co po wzgórzach leci,
Jak ożywczem poi tchnieniem;
Lecz tam dotrzeć — strumień broni,
Szumiąc falą wzdętej toni,
I tak wały swe zapienia,
Żem aż w duszy doznał drzenia.

Widzę łódkę co się śłania,
Ach! sternika nie ma ona;
Wstąp w nią śmiało, bez wachania,
Wszak łódź żaglem ożywiona. —
Z wiarą tylko i odwagą!
Bóstwo, próżno nic nie daje,
A tylko cud pod swą flagą
Nieść cię może — w cudów kraje.

1834 r.



DWA USTĘPY
Z TRAGEDYI „MACHBET“.

I.

(Aktu I-go, Scena 4-ta).

L A S.

(Trzy czarownice spotykają się z sobą).

Pierwsza Czarownica.

Siostro! racz swoje opowiedzieć czyny!

Druga Czarownica.

Wpędziłam nawy na morskie głębiny.

Trzecia Czarownica (do pierwszej)

A ty co? siostro!...

Pierwsza Czarownica.

Rybaka znajduję,

Który okryty łachmanem i w nędzy,

Łatając sieci, śpiewa i pracuje,

Jak gdyby zbiory posiadał pieniędzy.

I niestrudzony, wesół każdej pory

Wita piosenką ranki i wieczory;
Gdy mnie nędzarza śpiew ochoczy dręczy,
Zdawien mu dawna poprzysięgam zgubę.
Raz, gdy do wody rzucił siatki lube,
Mojemi czary, skarb w sieć podrzucony
Nagle mu złotem i srebrem zabrzączy;
Na taki widok, stanął jak olśniony.
W dom piekielnego wniósł nieprzyjaciela,
I odtąd, piosnki przebrzmiały wesela.

Drugie dwie Czarownice.

W dom piekielnego wniósł nieprzyjaciela,
I odtąd, piosnki przebrzmiały wesela.

Pierwsza Czarownica.

I żył na ziemi, jako syn stracony,
I wszystkim żądzom, popuścił wędzidła;
A blask fałszywej odlatął mamony,
Jakby go niosły nogi albo skrzydła.
Zawierzył złotu, w czarodziejstw postaci,
Niewiedząc głupiec, że je piekło płaci.

Dwie drugie Czarownice.

Zawierzył złotu, w czarodziejstw postaci
Niewiedząc głupiec, że je piekło płaci.

Pierwsza Czarownica.

Lecz kiedy gorzki nadszedł niedostatek,
I znikł pochlebnych przyjaciół ostatek —
Kiedy utracił wstyd i łaskę Boga,

Oddał się mocy piekielnego wroga;
Przedał mu chętnie i duszę i ciało,
I jako zbójca, trwożył kraj niemało.
Dziś, gdym przez owe miejsce przechodziła,
Gdzie on, skarb niegdyś swoją siatką imał,
Widziałam, jak się na brzegu zatrzymał,
Wzrok miał zapadły i zwiędłą jagodę,
I rzekł w rozpaczy, patrząc się na wodę:
„Wodna pokuso! tyś mnie omamiła,
Dałaś mi złoto, a ciągniesz w swe tonie.“
Skoczył, i zniknął w spienionych fal łonie.

Dwie drugie Czarownice.

Dałaś mi złoto, a ciągniesz w swe tonie,
Skoczył — i zniknął w spienionych fal łonie.



II.

SPIEW ODZWIERNEGO.

(z Aktu II-go, Sceny 5-tej).

Odźwierny (*wchodzi śpiewając*)

Mrocznej nocy znika cień,
Brzmi skowronek, świta dzień,
Na błękitne niebios fale,
Słońce wypływa wspaniale;
Zagłęda w królów komnaty,
I nędzarzy zwiedza chaty;
A co ukrył nocy cień
To rozwidni biały dzień.

(*Słyszać mocne stukanie*)

Stukaj! o stukaj! ktoś jest . . . bądź cierpliwy
Daj odźwiernemu skończyć pieśń poranną,
Podzięką Bogu, począć dzień należy;
A nic tak nie jest pilne jak modlitwa.

(*śpiewa dalej*)

Chwała i dzięki Tobie o Panie!
Co o tym domu miałeś staranie,
Z Twoich aniołów chórami
Tyś Panie czuwał nad nami.
Nie jeden zamknął oczy na wieki
I nie otworzy światu powieki;
Ten niech się cieszy, kto z przebudzeniem
Powita słońce świeżem spojrzeniem.

(*otwiera drzwi*)

Z „MARYI STUART“.

(Szyllera).

(Aktu III-go, Scena 1).

Park zamku Toteriŕay, na przodzie drzewami zarosły; w głębi rozległy widok.

Scena I.

(Marya wybiega prędko z pomiędzy drzew, za nią wolniej pospiesza Anna Kennedy, jej mamka.)

Anna.

Pani! ty biegiesz jakbyś skrzydła miała:
Nie mogę zdążyć, wstrzymaj się na chwilę!

Marya.

Pozwól mi w nowej wolności użyciu,
Być znowu dzieckiem — i ty się niem zrób —

I na zielonem ślicznych łąk okryciu
Doświadczmy lekkich, uskrzydłonych stóp:
Gdym się wydarła z ciemnego więzienia,
Gdy grób wilgotny nie ziębi mych skroń,
Pozwól, ach! pozwól, niech spragnione tchnienia
Wciągają lekką, niebem tchnącą woń.

Anna.

O droga Lady, więzień twoich szranki
W mały się tylko rozchyliły przedział,
Nie widzisz muru, który nas otacza
Bo go drzew gęste osłaniają liście.

Marya.

O dzięki, dzięki wam zielone drzewa,
Co osłaniacie mur mego więzienia;
Chcę o wolności, chcę o szczęściu marzyć,
Pocóż mnie budzić z słodkiego uśpienia?
Czyliż mnie łono niebios oddalonych,
Czarownym wdziękiem nie otacza wkoło?
Czyliż me oczy nie błędzą wesoło,
Pośród przestrzeni wzrokiem niezmiernych?
Tam — kędy we mgłę podnoszą się góry,
Tam się państw moich granica poczyna,
Te na południe wędrujące chmury,
Dążą, gdzie Francyi na morzach dziedzina.
Żeglarze wiatrów, spieszące się chmury,
Ktoby wędrował, kto żeglował z wami,
Niech wita, kraje młodości mej drogie;
Ja niewolnica, okryta więzami

Ach! innych posłów wysyłać nie mogę;
Pęd wasz swobodny w błękitów otchłani,
Wy, nie tutejszej królowej poddani.

Anna.

Ach, droga Lady! jesteś jak w obłądzie,
Długo pragniona wolność cię odurza.

Marya.

Tam na czółenku rybak sieć dostaje,
Ten drobny statek byłby mi zbawieniem,
Gdyby mnie szybko uniósł w lube kraje;
Dziś, jest mizernym człeka wyżywieniem.
Ja bym mu dała skarby i dostatki,
Z tego połowu mógłby wielkość snuć;
Znalazłby szczęście na dnie swojej siatki,
Gdyby mnie przyjął w swoją zbawczą łódź.

Anna.

Daremne chęci! czyż nie widzisz pani,
Jak twoje kroki, śledzi straż z daleka;
Surowy zakaz, co każdego człeka
Oddała, chociaż ma współczucie dla niej.

Marya.

Nie, dobra Anno! wierz mi, niedaremnie
Mego więzienia bramę odemkniono,
Ta drobna łaska, rodzi ufność we mnie
Że większem szczęściem będę obdarzoną.
Droga to ręka bramę mi otwiera,

Możne w tem widzę ramię Lejcestera.
Chcą mi stopniowo rozszerzyć więzienie,
Z małej do większej swobody przyswoją,
Aż w końcu, tego obaczę wejrzenie
Co moje więzy skruszy ręką swoją.

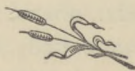
Anna.

Ja w tych sprzecznościach nie dopatrzę zgody!
Wczoraj ci wyrok śmierci odczytany,
A dzisiaj nagle używasz swobody!
Wszak mówią, że tym zdejmują kajdany,
Których na zawsze wolność wkrótce czeka.

Marya.

Słyszysz!... czy słyszysz?... jak przez las, przez błonia,
Myśliwskiej wrzawy przybliża się szum;
O jakbym rada, dosiąść teraz konia,
Złączyć się, zmięszać w ich ochoczy tłum.
Słyszę, tak słyszę... O! ten głos mi znany,
Dziś, wśród bolesnych chwil — niezapomniany;
Zawsze mi słodkie obudza wspomnienia,
Jak pieścił ucho, gdy wśród szkockich gór,
W głębokich jarach, które las ocienia,
Rogów myśliwskich odzywał się chór.

1833 r.



POCZĄTEK POEMATU
„MNICH“.

(z rosyjskiego, Jana Kozłowa.)

I.

Po za Kijowem, kędy Dniepr szeroki
Szumiącą falą uderza w brzeg kręty,
Pośród zarośli, na górze wysokiej
Stoi zakonu dom święty.

Wokoło niego, biały mur z ząbkami;
Baszta, na każdym podnosi się rogu,
A w samym środku, gmach święcony Bogu
Z złożonemi kopułami;

Rząd cel zakonnych i ciemne przechody,
Dalej kaplica koło świętej bramy;
W kaplicy obraz słynący cudami,
A obok, zimny źródł wody:

Niosący zdrowie jego strumień czysty,
Mruczy pod cieniem lipy wiekuiestój.

H.

Wieczór — świat cały gęsta mgła zacienia
Zorza już gaśnie na niebios błękiecie;
Wróciły stada i ucichły pienia,
Na głuchych polach obumarło życie;
Ni róg myśliwski nie zaszumi w lesie,
Cisza dokoła, — tylko wzdłuż parowy,
Słychać niekiedy, jak dzwonek pocztowy
Echem odbity, daleki dźwięk niesie.
Już i na Dnieprze, na rybaków łodzi
Nie widać ognia. Północ — księżyc wschodzi,
Gwiazdy goreją wśród błękitu łona,
Pola, zarośla, wody — sen obwija.
Klasztorna ustroń w cieniu pogrążona,
We śnie głębokim, trosk ziemi nie czuje;
Na wieży zegar dwunastą wybija,
Wszędzie spokojność i cisza panuje. —

W dalekiej celi, za ledwie dojrzany
Błyska kaganiec, — w niej męczennik młody,
Kończy swój żywot uciechom nieznanym;
Straty, cierpienia, smutki i przygody,
Na jego czole straszny znak wryły,
Okropność zgrozy wybiegła na lica;
Mnich, życie kończy — na brzegu mogiły
Los jego życia, kryje tajemnica.
Zkąd on? . . . kto taki? . . . któż to wiedzieć może.

Jakąś zgryzotą dręczony tajemną,
Pewnego razu, wśród burzy, w noc ciemną,
Przyszedł, i odtąd został się w klasztorze.
Przyjął i życie i suknie zakonne,
Z nikim nie mówił — bo serce ustronne
Już się zamknęło dla ponęt tej ziemi.
Zdolna zachwycić jego postać miła,
Każdego, trwogą nieznaną raziła;
Tylko w głębinie smętnej jego duszy
Spoczywał wiecznie znak ciężkich katuszy.
W czasie modlitwy i on głos swój czysty
Do niebios wznosił z błagalnemi dźwięki,
Lecz często łkania niezgojonej męki

Przerwały hymn uroczysty.

Bywało nieraz, że on w nocy cieniu,
Gdy niepokoje myśl jego dręczyły,
Opuszczał celę — i w długim odzieniu
Jak widno, błędził pomiędzy mogiły;
A teraz . . . mnich ten, opuszczając życie
Czeka schorzały na śmierci przybycie.

III.

Przy jego łożu, z wzrokiem przymilenia,
Starszy zakonu, trzymał krzyż zbawienia;
Umierający zwrócił zgasłe oko,
Płonił się — blednął — to wzdychał głęboko;
Dwakroć chciał powstać — na dół spadła głowa,
Dwakroć chciał mówić — w ustach zgasły słowa.
Zdało się — groźny sen go niepokoi,

Którego sobie przypomnieć nie żądał,
Bo się z obawą i dziko oglądał.
Mnichu! o mnichu! czyliż w myśli twojej,
Gdy zniknąć mają wątle życia szczątki,
Stała przeszłość i złudzeń pamiątki?
Lecz wreszcie, przemógł strach śmierci — bo siły
Gasnące prawie, — na chwilę wróciły;
Wziął rękę starca, przycisnął do łona
I mówił głosem, który w ustach kona:

IV.

«Ojczy! posępny między was przybyłem;
«Być nawet może, że myśli zbawienia
«Moją tęsknotą nieraz wam skłóciłem,
«I cichy spokój świętego schronienia.
«Oto są mego życia tajemnice!...
«Nieszczęście było sieroty udziałem;
«Wzrosłem, nie znając co dom, co rodzice,
«Rodziny pieśczęt nigdy nie widziałem;
«Igraszki dziecka, wraz z chwilą przyjemną
«Jak sen, jak mara, znikają przedemną;
«I kiedy moi rówieśnicy mali
«Z wesołym śmiechem w koło mnie igrali,
«Jam się już w myślach zapuszczał — i tonął;
«Naprawdę ogień czysty z całą siłą
«W tęsknej, młodzieńczej piersi mojej płonął,
«Nie miałem kogo kochać!... serc nie było.
«Niestety! tać musiałem, nieśmiały...
«Chroniąc się wzgardy ludzi obojętnych,
»Silne wzburzenia uczuć mych namiętnych,

- «I pierwsze duszy mej zapały.
«Smutek rozwijał dni mojej młodości,
«Dziko patrzyłem na rozkosze świata,
«Bo ich nie znałem — bo chwili radości
«Nie miały nigdy młode moje lata.
«Nie dla mnie miłość miała swe uśmiechy! . . .
«Nienawiść ludziom zaprzysiągłem skrycie!
«A proste, dzikie i surowe życie,
«Zdawało mi się pełnem być pociechy.
«Goniąc zwierzynę, po lasach dzień cały
«Lubiłem błądzić, — lub szerokie wały
«Dniepra przepływać — i jakby zniechcenia
«Śród niebezpieczeństw z życia się naigrawać!
«Ach! bo cóż dotąd miałem do stracenia? . . .
«Z kimże się było ze łzami rozstawać? . . .“

.....



ZÓRAWIE.

(Z rosyjskiego, M. Czyżowa.)

Zaledwie dostrzeżone w powietrza przestrzeni
Z krzykiem, zbite w rząd ściśniony
Lecicie, nie czekając chwil mroźnej jesieni,
W cieplejsze południa strony.

W te miejsca, gdzie Amuru srebrzące się wody,
Pieszczą brzeg kwieciami odziany;
Gdzie nieznane jesieni chłodnej niepogody,
Gdzie i szron zimy nieznany.

Swobodne, jak pęd wichrów na stepów równinie,
Jak wzburzone morza fale,
Jak myśl, wiecznie lecąca ku lubej krainie,
Wam obcy los mój i żale.

Niewolnik — namiętnością przykuty do ziemi,
Podnoszę łzawe spojrzenie; —
Napróżno wstrząsam skrzydła, ach! skrzydły mojemu
Nie wzleczę w niebios przestrzenie.

Z IMIONNIKA SYRYJSKIEJ DZIEWICY.

(z Arabskiego. 1).

Znam w ogrodach Kaiphy, jeden kwiat uroczy,
Promień słońca go szuka wśród liści palmowych,
A oko jego miłsze, niż gazelli oczy,
Błyszczy, jak kropla morza w łonie konch perłowych;
A zapach tego kwiatu, tak czarownie włada,
Że gdy Szeih przed obcego plemienia pogonią,
Ucieka, na bystrzejszej klaczy, niż kaskada, —
Gdy go zefir w przelocie otoczy tą wonią,
Wstrzyma się, by nią tylko mógł odetchnąć chwilę.
I choć Samum z odzieży wędrowca wywieje
Wszystkie inne zapachy, — wywiać nie jest w sile
Tej woni, którą w serce ten luby kwiat wleje.

1) Lamartine, w swojej na Wschód podróży, daje nam śliczne opisy miejscowości Syrii i zachwycające obrazy piękności kobiet tamtejszych. Wierszyk powyższy, przez młodego Araba, w imionniku pewnej Syryjskiej dziewczicy zapisany, dajemy według tłumaczenia francuzkiego.

Rośnie on nad strumieniem, co płynie doliną,
I brzegi u stóp jego bez szmeru podmywa;
Nazwij mi ojca twego, o piękna dziewczyno!
A wtenczas ja ci powiem, jak się kwiat nazywa.

1835.

Z WOLTERA.

Pięknej, a razem nieczulej Zuzi,
Lubiącej dary brać od kochanków,
Za jeden całus różanej buzi
Dał Jaś, trzydzieści baranków.

Lecz co innego nazajutrz z rana:
Szczęśliwszym Jasio został w zamianie,
Bo za jednego dostał barana
Trzydzieści razy pocałowanie.

Nazajutrz — Zuzia z Jasiem się pieści,
A trwożna, by go nie postradała,
Pierwej baranków wziętych trzydzieści,
Chętnie za całus oddała.

Nazajutrz — Zuzia ślinkę połyka;
I oddałaby psa i barany
Za jeden całus, przez swywolnika
Ludwisi, darmo oddany.

1835.

ŚPIEWACY
STAROŻYTNEGO ŚWIATA.

(z Szyllera.)

Gdzież wy jesteście, o wy doskonali
Śpiewacy dawnej swobody? . . .
Coście żyjącem słowem zachwycali,
Słuchaczów całe narody.

Wy, coście pieśnią, Boga z niebios tronu,
Do niebios ludzi rzucili;
Coście i duszę lekkim dźwiękiem tonu,
Na skrzydłach pieśni nosili.

I za dni naszych, znajdą się poeci,
Lecz gdzież słuchacze? . . . gdzie oni? . . .
Gdzież wzniosłe czyny? . . . cóż dziś myśl roznieci,
I komuż lutnia zadzwoni?

Szczęśliwy wieszczu, szczęśliwego świata!
Jedno słowo twego pienia,

Wznosiło umysł — z ust do ust przelata,
Do pokoleń z pokolenia.

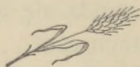
Jak się przyjmuje postańca boskiego,
Tak każdy ze czcią się korzył,
Aby powitać, co geniusz dla niego
Mową i pędzlem utworzył.

Do ognia, jaki pieśń dawną odznacza,
Płonęło słuchaczów czucie;
A do płomiennych tych uczuć słuchacza,
Wieszcz, żywił ogień w swej nucie.

Żywił, podsycił — szczęśliwy gdy dźwięki,
Umiął przelać w naród cały;
Gdy w głosie ludu, duch i myśl piosenki
Czysto mu nazad odbrzmiały.

Gdy mu widomie z zewnętrznego świata,
Stawali boscy niebianie,
Których wieszcz nowy, w zimne nasze lata,
Ledwie w sercu, pojąć wstanie.

1836 r.



FRANCESCA DI RIMINI.*)
USTĘP Z „KOMEDIY BOSKIEJ“ DANTA.

(z pieśni V-tej „Piekła“).

O wieszczu**) rzekłem ... radbym dwa te cienie,
Nad powiew lżejsze i z sobą złączone,
Spytać ... przez jakie zaszły tu zdarzenie? ...
A on mi na to: «Uważaj gdy w stronę,
«Ku nam, wiatr swoim poniesie je tchnieniem,
«To zaklnij owej miłości imieniem,
«Która je wiedzie, ... a one się zbliżą.»
Wiatr właśnie cienie pędził ku nam chyżo,
Ja głos podnosząc, rzekłem: „biedne duchy
Skazane cierpieć bez żadnej otuchy,

*) Francesca i Paulo — jest to najslawniejszy i najpiękniejszy ustęp poematu. Francesca, była córką Gwidona di Polenta, władcy Rawenny, zaślubiona z Gianciotto Malatesta, panem Rimini, kulawym i brzydkim. Paweł, brat Gianciotta był przeciwnie młodym, pięknym i przyjemnym. Dnia jednego

Jeśli wam mowy nie zbronne użycie,
Chodźcie, powiedziec, za co tu cierpicie?“ . . .
Jak dwa gołąbki, rozkoszą wiedzione,
Przez szlak powietrzny, nieruszając pióry,
Z podniesionemi skrzydłami do góry
Lecą, na gniazdo swoje ulubione,
Porywem wspólnej kierowane chęci,
Tak oni . . . z tłumem, gdzie był cień Didony,
Ku nam, przez wyziew stęchły i skłębiony
Sunęli . . . słów mych powabem zakłęci.
«O ty istoto! poważna i miła,
«Coś przez tumany piekielne zstąpiła
«Aby nas widzieć, cośmy w jednej chwili
«Wasz świat potokiem wspólnej krwi zbroczyli,
«Jeśli proźb naszych wysłucha Pan w niebie,
«Będziem go błagać o pokój dla ciebie,
«Boś ulitował się naszej niedoli.
«Chcesz mówić? . . . przemów, słuchać cię będziemy.
«Zapytasz? . . . wszystko chętnie opowiemy,
«Skoro wiatr ścichnie i mówić dozwoli.
«Kraj mój rodzinny jest przy morza brzegu, ***)
«W które Po, licznych rzek objąwszy wodę

czytali razem romans o Lancilocie z Jeziora i królowej Gieniewrze. — Paweł pocałował bratowę; w tej chwili wszedł Gianciotto i jednym ciosem oboje zamordował.

**) Dante mówiąc do Wirgiliusza, który mu w tych ekskursjach służy za przewodnika, daje mu różne nazwiska: poety, swego mistrza, mędrca i t. p.

***) Miasto Rawenna, kiedyś nadmorskie, dziś o trzy mile od brzegów morza oddalone, w które Po składa swe wody z wodami rzek z nim połączonych.

«Zstępuje . . . spocząć po długim przebiegu.
«Miłość . . . co w serce szlachetne i młode
«Nagle porywa . . . płomieniem zawrzała
«W duszy młodzieńca, dla pięknych form ciała,
«Które mi zdjęto w sposób . . . co znieważa,
«Że przypomnienie jeszcze mnie obraża;
«Miłość . . . co nigdy nie przebaczy temu
«Kto silnie kocha, taką mnie wzajemną
«Potęgą uczuć niosła ku miłemu,
«Że . . . widzisz: nawet po śmierci jest ze mną;
«Miłość . . . zawiodła nas razem do grobu,
«A jego . . . który wydarł życie obu,
«Czeka Kaina.»*)

To ich słowa były; . . .

Słuchając dusze tak ciężko zranione,
Schyliłem czoło i długom schylone
Trzymał, i podnieść nie miałem dość siły ;
Aż wieszcz mnie wyrwał z więzów zamyślenia . .
„O czym tak dumasz?“ . . . ja podnosząc głowę:
„Ach! ileż słodkich marzeń i złudzenia,
Zgon tak bolesny, rozproszył im marnie!“
Po tem zwracając do dwóch cieniów mowę,
Rzekłem: „Francesco! mnie twoje męczarnie
Łzy wytrącają żalu i litości,
Lecz powiedz: w chwilach czułego westchnienia
W jakiście sposób ulegli miłości? . . .
Jak odgadliście skryte wasze chęci?“

*) Kaina, jestto podług poematu, jedna z otchłani piekielnych, w której Dante pomieszcza bratobójców i w której miejsce dla Gianciotta naznaczył.

A ona . . . «Niema sroższego cierpienia
«Jak dni szczęśliwe odnawiać w pamięci,
«W chwili nieszczęścia . . . twój mistrz zna słów
[wątek;
«Lecz gdy tak pragniesz odgadnąć początek
«Naszej miłości, choć to męki wznowi,
«Opowiem . . . — jak ten co płacze i mówi.

«Raz, czytaliśmy wspólnie dla zabawy
«O Lancillocie . . . kiedy nim zawładła
«Gwałtowna miłość . . . bez żadnej obawy
«O nas, choć sami . . . księga tak zajęła,
«Że nieraz z sobą spotkały się oczy,
«Twarz się mieniła, płonęła lub bladła;
«Ach! zgubą naszą był jeden wiersz dzieła,
«Gdyśmy czytali . . . jak w uśmiech uroczy
«Kochanek złożył rój całunków wrzących;
«Wtenczas . . . o wtenczas . . . mamże mówić o tem,
«Ten . . . co odemnie już się nieoddali,
«Przycisnął usta do moich ust drżących . . .
«Księga i autor . . . był nam Galleotem; *)
«Dnia tego, myśmy więcej nie czytali.»
Gdy to duch jeden mówił . . . wówczas drugi
Tak rzewnie płakał, że wzruszony zbladłem,
W oczach mi zmierzchno i jak martwy padłem.

Piza. d. 14-go Grudnia 1850 r.

*) Nazwisko osoby, która służyła za pośrednika miłostek
Lancillota i królowej Giniewry.

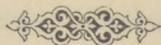
KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO.



TREŚĆ TOMU DRUGIEGO.

JAN Z KĘPY, urywek starej legendy	5
GIERMEK, epizod	27
SAMOBÓJCA, poemat	55
Do czytelnika	57
W miejsce przedmowy	59
STEPY, poemat	109
Wstęp	111
Przygrywka	121
I. Step	123
II. Góry	133
III. Bajga	147
IV. Śpiew	167
Objaśnienia do części drugiej	171
Objaśnienia do części trzeciej	173
KIRGIZ, powieść	175
Przypisek wydawcy	225
Warjanty	226
KOŃ BEDUINA, powieść wschodnia	229
Objaśnienia	245
ANTAR, obrazek wchodni	249
POKUSY, fantazyja	283
Objaśnienia	313

CZARNOKSIĘŻNIK TWARDOWSKI, dwa ustępy z dramatu, osnutego na poda- niach gminnych	317
Objaśnienia	365
Przypisek wydawcy	366
RÓŻNE WIERSZE, z obcych autorów tłoma- czone	
Podział Ziemi, (z Szyllera)	375
Pożegnanie Joanny d'Arc, (z „Dziewicy Or- leańskiej“, Szyllera.)	377
Do Listka (z francuzkiego).	380
Tęsknota, (z Szyllera)	381
Dwa ustępy z tragedyi „Machbet“.	
Trylog czarownic	383
Śpiew odźwiernego	386
Z „Maryi Stuart,“ (Szyllera)	387
Początek poematu „Mnich,“ J. Kozłowa	391
Żórawie, M. Czyżowa	396
Z imionnika Syryjskiej dziewicy (z arabskiego)	397
(Z Woltera) «Pięknej a razem nieczulej Zuzi»	398
Śpiewacy starego świata (z Szyllera)	399
Francesca di Rymini, z „Komedyi Boskiej“ Danta	401



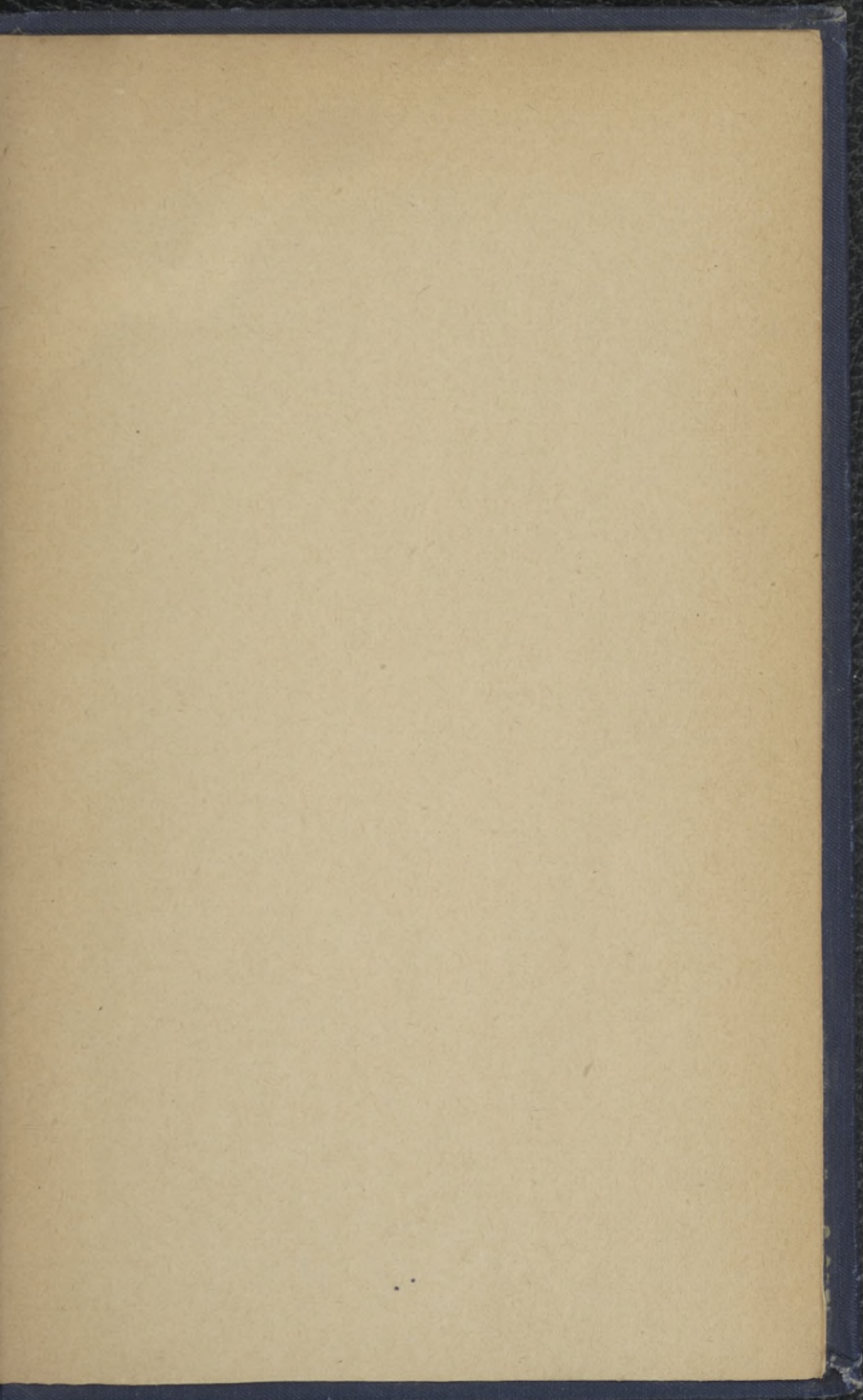
OMYŁKI W DRUKU.

Strona.	wiersz	zamiast	ma być
6	5 od góry	Skakspeare	Shakspeare
10	3 od góry	strony	struny
32	11 od góry	przydworniznać	przydworni, znać
37	2 od góry	w jednebym	w jedne bym
76	6 od dołu	jest nieśmiertelną	jest nieśmiertelny
78	10 od dołu	Termopyle	Termopile
85	9 od góry	nie kiedy	niekiedy
—	13 od góry	promienia	promieni
103	9 od góry	Gdzie	Gdzież
115	11 od góry	Hana-Irzyma	Hana-Iszyma
124	9 od dołu	blękite	blękitne
125	8 od dołu	blęknite	blękitne
127	16 od góry	bochaterów	bohaterów
145	11 od góry	budzi	zbudzi
168	4 od dołu	kraju.	raju.
179	7 od góry	goni?	dogoni?
270	13 od góry	sobie	siebie
276	2 od góry	zgorzkiego	zgorzklęgo
287	3 od góry	Kańskiego	hańskiego
297	5 od góry	wspina	wspiera
339	12 od góry	blyszczące się	zablyszczą się
363	1 od dołu	słysząc	slychać

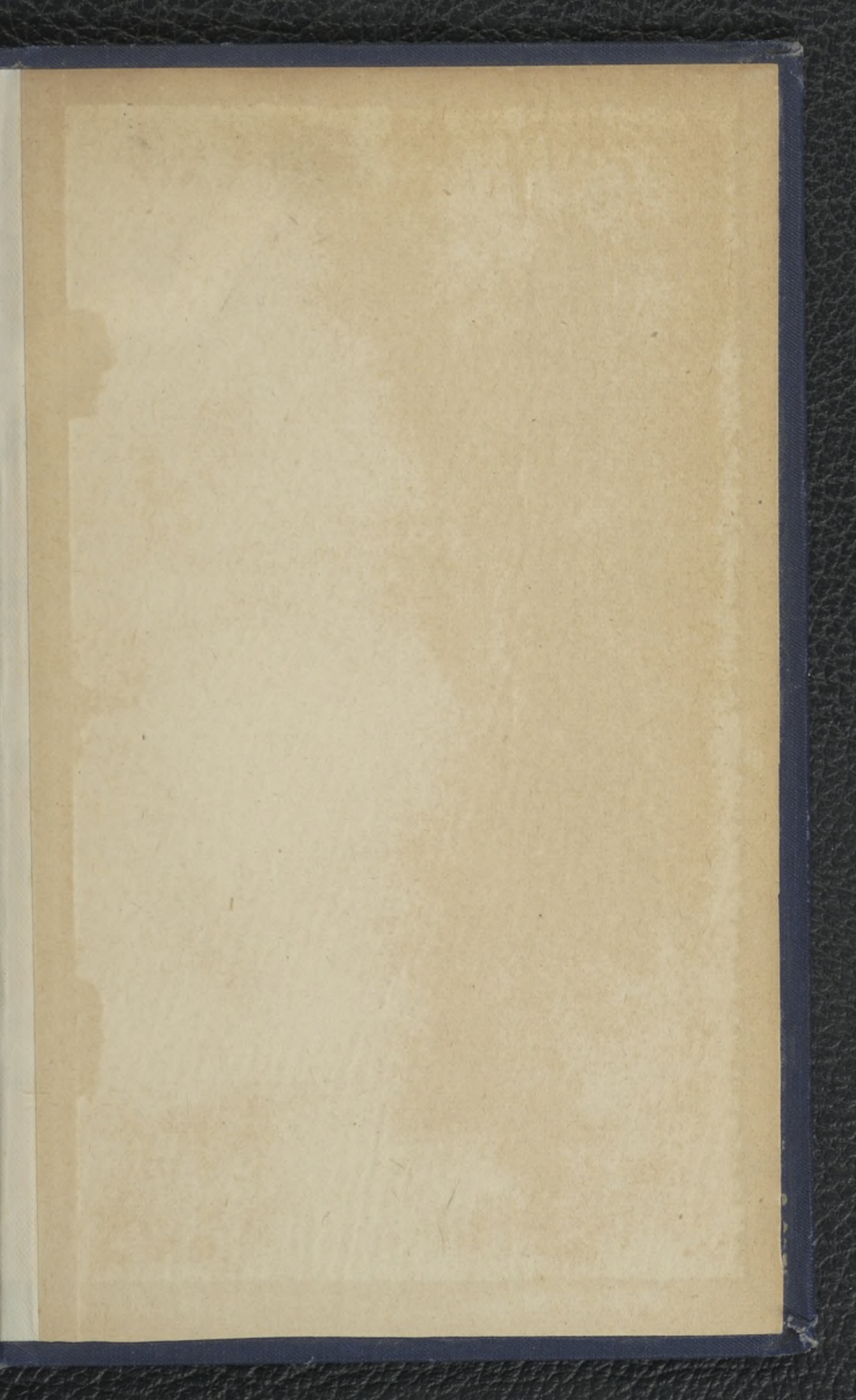




4/1906









BIBLIOTEKA
NARODOWA

46177

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001017094441